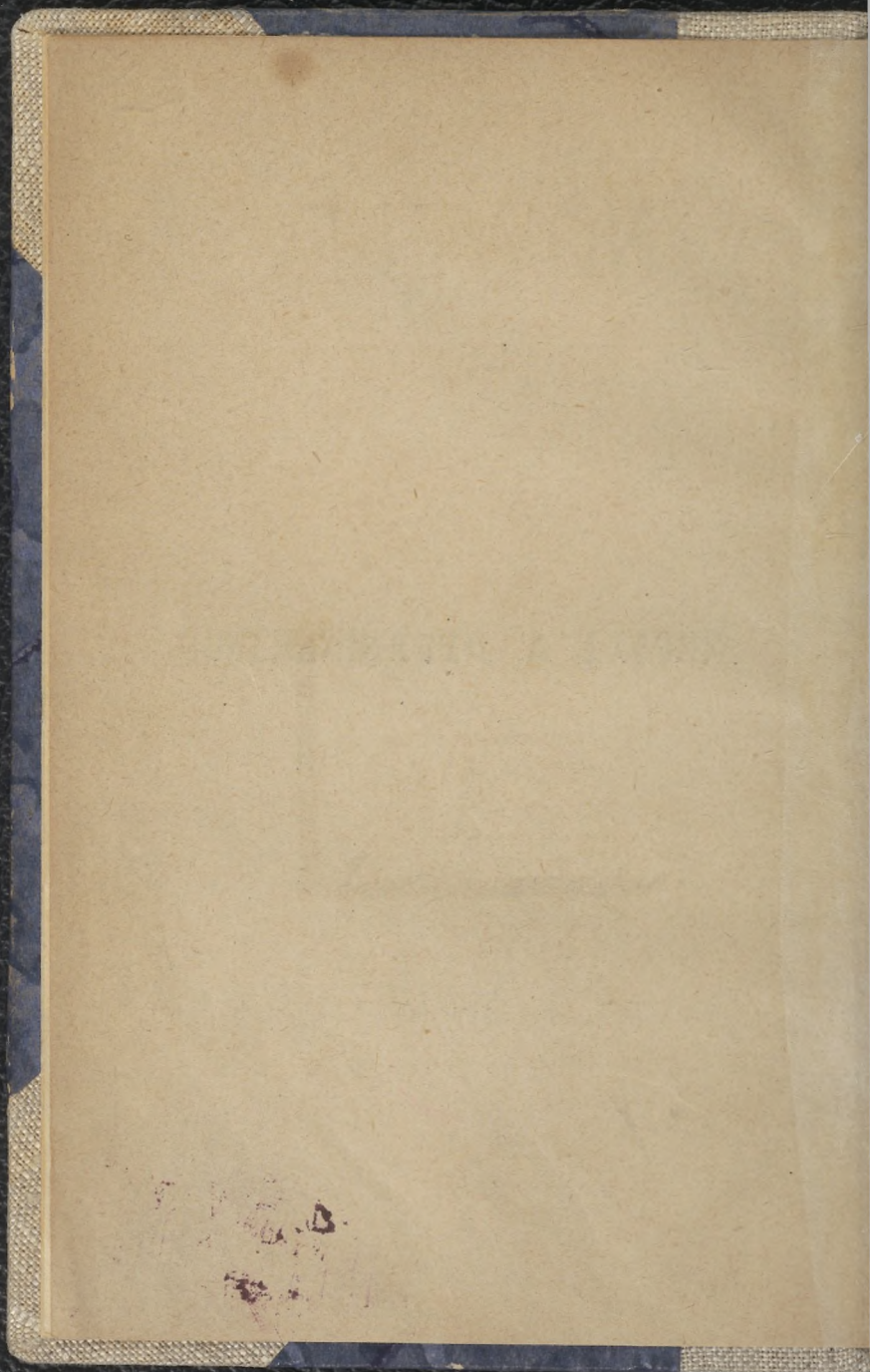


1292,846

21

NOWELE A. DYGASIŃSKIEGO.

Mieczysława Radziejewska



NOWELE

ADOLFA DYGASIŃSKIEGO.

Tom II.

NA TRZECIÉM PIĘTRZE.
Z NIEDOLI KOBIĘTY.
ŚMIERTELNE KOSZULE.
W WIELKIĘJ WŁASNOŚCI.
NIEZDARA.
JESZCZE JEDEN NIEZDARA.

WARSZAWA.

Druk Braci Jeżyńskich (dawniej J. Ungra),

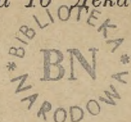
Nowolipki Nr. 9.

1888.



Дозволено Цензурою.

Варшава 16 Декабря 1887 г.



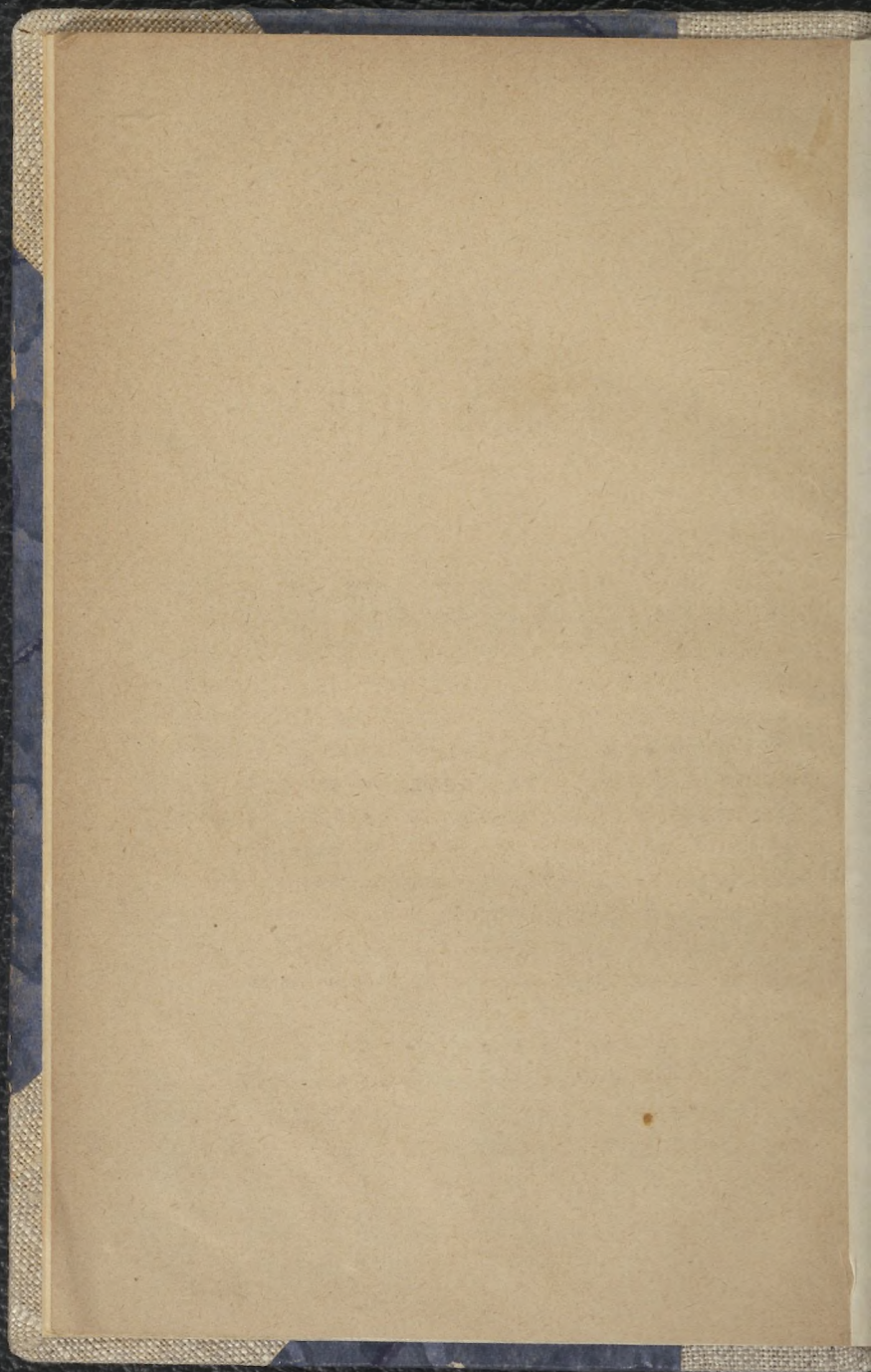
I 292.816

T.2



1972 W 495/60

NA TRZECIÉM PIĘTRZE.



NA TRZECIÉM PIĘTRZE.

I.

Lat temu będzie znacznie więcej niż dwadzieścia, było się wtedy młodzieńcem. Poszukiwałem był dla siebie mieszkania od 1-go Kwietnia. Jak wiadomo, rządzi się człowiek w takich razach różnymi względami, zawsze zaś chodzi o to, aby za tanie pieniądze znaleźć wygodę, a jeśli można—i zbytek. Atoli wiadomo także, iż te różne względy różnie działają na różnych. Dzisiaj śmiać się przychodzi, że młody student i na to zważał, jacy też będą jego sąsiedzi lub sąsiadki. Przypadkiem spostrzeżona jakaś postać w nadobnym negliżu, jakie czarne lub niebieskie oczy odrazu przechylały szalę na rzecz wyboru mieszkania.

Owego to czasu, począwszy od ulicy Żórawiej, szedłem przez Marszałkowską, zwiedzając przecznice to na prawo, to na lewo i od bramy do bramy odczytując wywieszone karty. Zmarnowałem

na takie poszukiwania aż pół dnia czasu, jakkolwiek z początku rządziłem się dwoma tylko względami: jak największą taniością i chęcią obcowania choćby z okrucem przyrody; chciało mi się trochę widoku na niebo i nieco roślin w sąsiedztwie. Poszedłem nareszcie ulicą Hożą w kierunku okopów, gdzie też w jednym z nowych, wielkich domów znalazłem to, czego szukałem. Był tutaj do wynajęcia pokój na trzecim piętrze, więc z dobrym widokiem na niebo, a w dodatku pełno ogrodów dookoła.

Miejscowy stróż oświadczył mi, że taki, jak go zwał, „kawalerski” pokój, kosztuje siedm rubli na miesiąc; spuściłem więc nos na kwintę i pomyślałem sobie: „niechby był o połowę mniejszy, a kosztował cztery ruble. Dodaję tu nawiasem uwagę, że w młodości, podobnie jak po śmierci, człowiek jako lokator małą wartość przywiązuje do zajmowanej przez siebie przestrzeni.

Stróż z ulicy Hożej widocznie żywił sympatyą dla ludzi młodych, bo, spostrzegłszy moje zakłopotanie, natychmiast ofiarował się z interwencją u „pana rządcy.” Zamknął on pokój na klucz, jak gdyby się obawiał, aby ktoś nie uniósł stamtąd ściany, okna lub pieca i wypuścił mię na długi, ciemny korytarz, a sam poszedł przedstawić sprawę panu rządcy. Sam nie wiem, dlaczego i ja na dół nie zszedłem,—tak sobie przez roztrągnięcie.

Chodziłem najprzód po korytarzu, przyglądałem

się licznym drzwiom; potem wyszedłem do sieni, zaopatrzonej w okno i stąd rozpatrywałem niebo oraz ziemię. Ta sień, podobnie jak i pokój do wynajęcia, znajdowała się od tyłu domu; okno wyglądało na rozległe ogrody, których roślinność zaledwie się w paki wiązać poczyniała.

Moję wyobraźnię stać było wówczas na tyle rzutu w przyszłość, żem sobie pomyślał:

— Tutaj przyjemnie będzie mieszkać w lecie.

I z tą myślą znowu poszedłem w ciemny korytarz, kiedy mi naraz przyszła do głowy inna myśl: „Czemu ja się włócę po trzecim piętrze?” I zatrzymałem się na chwilę przed jednymi drzwiami. Zaledwie to uczynił i już postanowiłem schodzić na dół, kiedy drzwi się uchyliły, a ja przez szparę, dzięki światłu od wewnątrz, ujrzałem przed sobą postać białą, po części i czarną; białość stanowił strój, ręce, szyja, twarz,—czarność włosy rozpuszczone na ramiona, brwi wyraziste i oczy kobiety. Miałem wielką ochotę uchylić czapki na znak uszanowania przed tém zjawiskiem; ale cóż kiedy drzwi natychmiast zamknięto. Moje postanowienie opuszczenia trzeciego piętra doznało wstrząśnienia i zamieszania.

— Otóż tu będę oczekiwał na powrót stróża od pana rządcy“—Powiedziałem sobie w duszy.

Znowu teraz poszedłem do sieni, ażeby z okna rozpatrywać okoliczną przyrodę; ale wydało mi się, że owa kobieta biała, z długimi czarnymi włosami, stanęła pomiędzy mną a przyrodą. Roz-

począłem przechadzkę po sieni, a jeśli mię pamięć nie zawodzi, to nawet nuciłem sobie coś pod nosem, jakkolwiek jestem osobnikiem wysoko nie-muzykalnym.

Tymczasem stróż nie powracał z decyzją pana rządcy; jak się później dowiedziałem, pani rządczyni pragnęła skorzystać z jego odwiedzin i kazała mu wynieść na podwórze poduszki oraz materace, aby się przewietrzyły. Takie rozkazy mają nieraz wpływ na życie osób trzecich.

Już sam nie pamiętam, com wtedy myślał, kiedy w korytarzu skrzypnęły drzwi, a wnet potem przechodziła przez sień młoda, bardzo urodziwa kobieta, z jasnymi włosami, modremi oczyma, z poważnym, prawie melancholijnym wyrazem twarzy; miała na sobie ubranie ciemne, a w ręku trzymała świstek papierów, nuty muzyczne, o ilem mógł sądzić na rzut oka. Przechodząc obdarzyła mię spojrzeniem pełnem dobroci i łagodności; czémprędzej usunąłem się na bok i z uszanowaniem uchyliłem czapki. Ona zaledwie mi głowę skinęła. Słyszałem, że z nadzwyczajną lekkością zbiegła na dół ze schodów i znowu sobie pomyślałem:

— Jednakże w tym domu są nadzwyczajnie przyjemne warunki mieszkania; pełno jest przyrody, a sąsiadki mają postaci istot nadprzyrodzonych; wyglądają jak zaczarowane księżniczki z bajki.

I, czemu może kto nie zechce dać wiary, formalnie się już potem paliłem do tego mieszkania

na trzeciém pięttrze. Wolno mię za tę żądę zgromić jakiemu moralście. Cóż robić? Ja taki byłem, przyznaję się, bioreę na siebie cały ogrom winy.

Nareszcie na schodach rozległ się ciężki odgłos kroków i sapanie mojego protektora. Stróż powrócił, oznajmując, że tylko dzięki jego wstawienictwu pan rządea opuści na lokalu rubla miesięcznie, że sześć rubli należy opłacać z góry każdego piérwszego, i że, w razie zgody z méj strony, powinienem złożyć najmniej dwa ruble zadatku. Przytém stróż ów wyliczył mi jeszcze rozmaite dogodności, przysługujące takiemu jak ja lokatorowi; prawil mi, że on, jego żona, syn, będą mogli obsługiwać mię za opłatą dwóch tylko rubli na miesiąc. Dowiedziałem się również, że ostatni lokator był to emeryt, człowiek bardzo porządny lecz chorowity, a wyprowadził się na nowy rok z tego powodu, iż w mieszkaniu nie znosił ciepła.

— U niego nigdy się w piecu nie paliło.—mówił stróż, ale po obu stronach mieszkają panie, u których się bardzo moeno w piecach pali; tamten pan nie mógł znieść takiego gorąca i musiał się wyprowadzić... W lecie nie będą te panie tak paliły, a pan będzie miał bardzo przyjemne mieszkanie.

Dziwny to był rodzaj mojego zajęcia się dwiema sąsiadkami; zeszedłszy już nawet na dół, nie śmiałem się zapytać stróża, co one są za jedne, obawiałem się, aby ten człowiek nie pomyślał so-

bie, że z racyi ich sąsiedztwa wynajmuję mieszkanie na trzeciém piętrze.

Kiedym już złożył zadatek i odchodził, stróż tak mię zachęcał:

— Może się tu pan zaraz sprowadzić, bo przecież mieszkanie wolne.

Rad byłem owęj zachęcie; ale dobrze to stróżowi mówić takie rzeczy, a daleko trudniej przeprowadzić się na zawołanie człowiekowi, który dopiero na pierwszego płatny jest „za korepetycyę”.

Powróciłem do domu i, jak dziś pamiętam, zabrałem się do studyów gramatyki sanckryckiej Boppa. Lecz daremnie, ani rusz!...

W wyobraźni mojej pierwiastki zamieniły się na mnóstwo czarnych oczu, które przez szpary drzwi spoglądały na mnie i wyrażały wszystkie myśli całej ludzkości.

Słoki Mahabharty stały się splotami czarnych włosów, warkoczami, to znów pięknymi łukami brwi, a wydłużone litery sanskrytu, były to po prostu piękne kobiety i nie więcej.

Byłem tak nierozsądnym, że złożyłem książkę i począłem okrutnie ziewać.

„Jestem znużony,” pomyślałem sobie, „trzeba się rozerwać czémś wesołym!” I wyciągnąłem rękę po broszurę Lambdy o *jocie*.

Jeszczem téj książki nie dotknął, a już się wszczęło ponowne ziewanie.

— Możeby doczytać gramatykę księdza Malinowskiego? Ej, nie! Trzeba się koniecznie przespać.

Więc wyciągnąłem się na łóżku, myśląc o niebieskich migdałach. Aż tu nagle własne moje sumienie zaczyna ze mną prowadzić grubiańską polemikę:

— Nieuku i próżniaku, głupcze, cała twoja filologia psu na budę się nie zda!...

— Słaba głowo, mały charakterze, zobaczyłeś jedną babę i już zapomniał o obowiązkach, o nauce!... Zakałę przynosisz zastępowi wielkich mężów, których dzieła ośmieliłeś się wprowadzić do swój izby i zrobić uczestnikami głupich myśli...

Spojrzałem z łóżka ku stolikowi i dostrzegłem najprzód „historią języka niemieckiego” Grimma. Zdało mi się, że uczony Niemiec, łysy i wygolony, otwiera bezzębne usta, aby się szyderczo rozśmiać i powiedzieć: Dumm, der du bist Slavel!...

Odwróciłem czempredzėj głowę do ściany, jak gdyby mi książka na prawdę wymyślała, i na szczęście usnąłem.

Nazajutrz obudziłem się poważny i trzeźwy, zabrałem potrzebne notatki i książki, aby się udać na wykłady. Szedłem zamyślony, a gdym się z zamyślenia ocknął, spostrzegłem, że zdążam w stronę przeciwną uniwersytetowi; byłem w pobliżu ulicy Hożej.

— Na lekcją już nie zdążę—rzekłem sam do siebie—trzeba się przejść.

Dobre dwie godziny chodziłem tam i napowrót po Hożej; ale nie spotkałem nikogo, oprócz kolegi, który poszukiwał mieszkania i wielce ubolewał przedemną, że przed kilku dniami upatrzył sobie bardzo odpowiedni pokój na trzeciem piętrze, który dziś właśnie chciał zadatkować, a tymczasem ktoś go podkupił. Tym *ktos* ja właściwie byłem.

Na takich i tym podobnych niedorzecznościach zbiegał mi czas drogi. Jeżeli wziął do ręki Homera, to mię głównie zajmowały przydomki, jakimi ten poeta obdarza pleć piękną; myślałem wtedy o kobietach białoramiennych, pięknowarkoczych, srebrnonogich, różanopalcych, białoszyich, modrookich, a nawet i sowiokich.

Kwestya nagłosów, pogłosów, aorystów, trybów, bezokoliczników i t. d. zmalala w moich przekonaniach, a raczej ja znikczemniałem.

Czasem odzywał się tylko we mnie stary nałóg; ni stąd ni z owąd wypadał mi z ust jakiś wyraz języka pra-aryjskiego; porywałem się wtedy, wołając: *bharami* i zaraz wyraz ów porównywałem ze słowiańskim *berą*; atoli w zachwycie takim dochodziłem najwyżej do drugiej osoby liczby pojedynczej: *bharasi*, po słowiańsku *bereszi*. Potem gasł mój entuzjazm i gramatykę zasłaniała mi jakaś kobieta... Sam nie wiem, co to było.

Nadszedł czas przeprowadzki. Jedna dorożka zabrała cały mój majątek i powiozła go na ulicę

Hożą. Tutaj pomyślałem sobie, że nareszcie wpływam do portu szczęścia; bo przecież wobec rzeczywistości nie miałem już potrzeby oddawać się jakimś nierozsądnym marzeniom.

II.

Na świecie zaczęła się wiosna, jasna, ciepła, wonna, przyjemna. Na Hożej ulicy, po ogrodach, białe kwiecie obsypało szczerze jedne drzewa, a na innych znowu pojawiły się delikatne, zieleniusiękie listki. Ziemia poczęła płodzić, dzięki małżeństwu swemu ze słońcem. Każdy deszyk mnożył roślinność, miał trawniki po owych ogrodach. Nieraz grzmoty huczały, niby namiętności jakich wielkich istot; przelatywały po niebie ognie błyskawic, trzask się rozlegał w atmosferze, burze ognia i wody spadały na ziemię.

Myślałem wtedy, jak wspinałemi są czynności twórczej przyrody, to działanie olbrzymich potęg, które natura wyzwala z głębi istoty swojej, ażeby własne twory przenikać dreszczem miłości i pobudzać do rozsiewania życia. Czułem, że i moją pracę wspierają te same siły, rozbudzając myśli.

Było mi już teraz bardzo dobrze na tém trzeciém piętrze.

Przy pracy witałem nieraz wschodzące słońce i przy pracy żegnałem zawsze jego zachód. Gdy

nastał maj, pracowałem tém stateczniej: przeszły, uśmierzyły się moje szale.

A jakże to być mogło?... Wszakże sprowadziło mię tutaj sąsiedztwo dwóch uroczych kobiet i nadzieja obcowania z przyrodą. Byłoby człowiek w dwudziestym czwartym roku życia obojętnym na nieśmiertelne piękno niewieście? Tak nie było; ale wolne serce poszukuje wolnego.

Moje sąsiadki były to dwie nauczycielki muzyki: brunetka cudzoziemka pochodziła z Genewy i miała imię Matylda, blondynka Stanisława przed trzema laty z okolic Kiele przybyła do Warszawy.

Łos zdarzył, iż tego roku pierwsze dni wiosny przyniosły im obu wielbicieli i kochanków.

Pod koniec maja wszystkie skarby wiosny wylały się już na ziemię; w ciągu dnia liście drzew lśniły się wierzchem od słońca, spodem rzucały cień; wieczorem znowu dokoła ciemnych kasztanów z piramidalnymi kwiatami, brzęcząc, latały roje chrabąszczów. Powietrze bywało przezroczyście; wieczorna gwiazda pojawiała się każdodziennie na niebie, lekko rozpromienioném po zachodzie słońca. Witałem ją zwykle z mojego okna na trzeciém piętrze, porzucałem wtedy molne przedegzaminowe zajęcia i szedłem do ogrodu, parkanem odgraniczzonego od dziesięciu innych ogrodów.

Poezya jest w człowieku nie w przyrodzie; Przyroda wiosenna nastrojała mię tylko dziwnie.

nie umiałem jój weale obserwować, a ona brała w zarząd moje zmysły i dawała im swe skinienia. Upajałem się wonią bzów, słuchałem jednostajnej muzyki chrabąszczów, patrzyłem jak biały kot przebiegał grządki, czaił się na mysz, na skowronka lub pliszkę, nocującą w bruździe, — zresztą oddychałem, żyłem. A przecież pomimo mnóstwa interesów w przyrodzie, człowieka nie tak nie pociąga, jak inny człowiek — zwłaszcza płci odmiennój. Miałem więc pociąg spoglądania z ogrodu w otwarte wieczorami okna moich sąsiadek. W jednym z nich siedziała zawsze brunetka, panna Matylda z jakimś mężczyzną; w drugim — panna Stanisława także z mężczyzną. Później sprawdziłem, że wielbicielem brunetki był blondyn, blondynki—brunet.

Czasem szept, czasem śmiech, czasem dźwięki muzyki dolatywały mię z owych okien.

Nadszedł czerwiec; po Saskiej Kępie, po Łazienkowskim parku brzmiały słowicze pieśni; przyroda wabiła mię nieraz w pole, nad Wisłę; ale blizkie egzamina pozwalały, co najwyżej, na przechadzkę po ogrodzie. Więc mi codziennie tylko wschodziła wieczorna gwiazda, a księżycowe blaski wywoływały nieraz dziwne zjawiska w mrokach ogrodu.

Dwie pary wysiadywały ciągle w dwóch oknach.

— Wnet drugi miesiąc minie, jak się kocha-



ją... Myślałem sobie. „A czy długo trwa miłość ludzka?”

Złożyłem nareszcie pierwszy egzamin, bardzo niedorzeczny, bo z Filozofii. Profesor wymagał, ażeby uczniowie wierzyli w to, co on spostrzegał we własnej duszy; mówiąc przez przenośnię — był to daltonista.

Potem już codziennie przypadał jakiś egzamin, a przy każdym chodziło o to, aby jak najwięcej pamiętać. Machina, która umiała zatrzymywać dużo wyrazów właściwie uzwiązkowanych składała egzamin z odznaczeniem. Po takiej wiwisekcyi, dokonanej na duszy ludzkiej, każdy zdrowy człowiek przez rok przynajmniej musi być bezmyślnym, z czego niejeden już się nigdy nie uleczy, a nawet bezmyślność swoją w dziedzictwie potomstwu przekaże.

Po ostatnim egzaminie powróciłem do domu ciężki, jak kloc drzewa lub bryła kamienia, miałem w sobie uczucie, iż czaszka moja jest podobna do worka gałganiarki. Gdym usiadł przy swoim oknie, mogłem się zdobyć tylko na jedną jedyną myśl krytyczną:

— Jestem tak głupim, jakim jeszcze nigdy nie byłem: Historia przeczy logice i psychologii, psychologia — historyi i logice... a gramatyka.

Dopiero w rok potem przyszła mi inna myśl do głowy:

— Oh, żeby tak raz można się było pozbyć ciężaru, którym mi umysł obarczono!...

Lecz ludzi wychowuje się na to, aby miernymi tylko byli.

Po egzaminach poszedłem do ogrodu, chcąc się orzeźwić i odetchnąć w chłodzie nocy. Usiadłszy na darniowej ławce, spoglądałem w kierunku trzeciego piętra. Tylko okno mego pokoju wyglądało jak czarny otwór krateru wygasłego wulkanu. W innych oknach połyskiwało światło, a w oknach sąsiadek moich widać było po parze głów, oczyma zwróconych ku sobie. Sen nieprzeparty mię ogarnął i zasnąłem. Jak długo spałem, tego nie wiem, lecz gdy się zbudziłem, w żadnym oknie całego domu nie było już światła, tylko okna mych sąsiadek oblał księżycowy blask i przy jego pomocy wyraźnie widziałem uśmiechy szczęścia... Widziałem więcej, bo cała unki miłości.

— Choćby się już kochać przestali — myślałem — to po chwilach takich zostanie im jednak pamięć szczęścia...

Przeszedł czerwiec. Lipcowe skwary dniem piekły, a nocą połyskiwały brylanty obfitej rosy, światło gwiazd odbijając w sobie. Mineły bzy, pierwiosnki i konwalie, opadały już róże i jaśminy, rozwinęły się lepiej akacje i lipy, daleko w świat posyłając swój zapach. Dawno zamilkły słowiki; młode pokolenia ptaków odbywały pierwszą szkołę życia, trzepocąc się po drzewach

w pobliżu gniazda. Zwolna miłosne pieśni parstawały się tryumfalnymi okrzykami ojców i matek na widok odchowanej dziatwy. Miłość wykończyła jedno dzieła, a rozpoczynała inne... Ogrody wrzały teraz odgłosami szczęścia ziszczonych nadziei; ale gdyś się dobrze wsłuchał, to wśród tych odgłosów rozpoznawałeś i dźwięki niespokojnej troski, ba — i bolesne krzyki zawodu dolatywały do uszu twoich.

Spiesz się życie przyrody, milionowymi kształty powstaje, rwie naprzód, pędzi, znika... Nie! Ono ruch nowy rozpoczyna, ruch wieczny, bez początku i końca, ruch, w który się boleść i rozkosz wplata.

Przywykłem żyć dniem na trzecim piętrze w méj izbie, wieczorem na dole w ogrodzie. Wszakże i w ten spokój milczących, poważnych drzew wpadał szum życiem do późnej nocy wrzącego miasta. Różne turkoty, gwary uliczne, zdaleka lecąc, zlewały się tu w głos jeden zgłuszony niekiedy świstem lokomotywy. Zdawały się tego nie słyszeć szybujące ponad drzewami nietoperze, których ciemne postaci odbijały na lazurówém tle nieba. Może podobnie dla uszu człowieka dźwięki wszechświata są ciszą. Na wyskrzone światłami niebo skądś zpoza murów wysokich gmachów księżyc się różkiem swoim wychylał.

Spoglądałem i wtedy także w okna swoich sąsiadek. Brunefka i blondyn od samego zwiерzchu

siedzieli już obok siebie. Blondynka zdawała się na kogoś oczekiwać; samotna jej główka odwracała się nieraz ku drzwiom pokoju; ja nie wiem, może niespokojne serce było tęsknotą. Ktoś wszedł, bo szybko powstała od okna; widziałem tylko cienie, migające przy świetle lampy, zapewne się witali. Księżyc wznosił się już w górę, był czysty, niczym nie przyćmiony, wyglądał jak złamany lub niedokończony złoty pierścień.

Każde z dwóch okien miało swoją parę. Brunet spóźnił się coś w końcu lipca i już codziennie tak późno przybywał. Ha! może musiał, może obowiązki...

Ale snadź kochał, skoro przybywał.

W wielkie skwary przyroda szybko popada w starość, żółknieje, szarzeje, lysieje, nim ją skostniała siwizna zimy przypruszy.

Sierpniowe upały opiekły ziemię; pył, pajęczyna, gąsienice na liściach drzew osiadły. Z barwnych kwiatów głównie się astry tylko trzymają; po grzędach tu i owdzie się bielą spóźnione kwiaty maków, a nad nimi brudne lby słoneczników górują; na grubych łodygach, z pomiędzy płowiejących zielonych wstęg długiego liścia świecą żółte ziarna kukurydzy, zdobne, niby buńczukiem, ciemnym kołtunem włosów. Po ogrodach zdaleka czuć woń wloszczyzny; wylegają się jeszcze na zagonach ogórki, otyłe kalarepy obsiadły ziemię, modrzą się kapusty, rumieńcem połyskują pomidory; liście dzikiego wi-

na czerwień pokrywa; rzepa i marchew w tłustej ziemi tak napeężniały, że na wierzch aż wylażą. Ponad tém wszystkiém bujają gromadnie białe motyle z wytartemi skrzydły, a ślimak z kosmatą gąsienicą pelzają po listkach.

I teraz także spoglądałem w okna sąsiadek na trzeciem piętrze; w jedném siedziała panna Matylda ze swoim blondynem, w drugiem oknie brakowało pół pary... Panna Stanisława wczesnie zamknęła swoje okno.

— Ptaki poszukują ciąglój wiosny, pomyślałem i dlatego odlatują przed zimą; ciekawym, czy téż często się zdarza, że słowik lub skowronek opuścił swoją samkę, pozostawiając ją tu na zimę samotną wśród mrozów, w nagrodę za miłość.

Pojawiły się sloty, ogrody poczerniały, opadły liść zasiał je zupełnie. Nie odbywałem już swych wieczornych przechadzek i nie wiedziałem nic, co się dzieje z sąsiadkami. Spadły śniegi, a zima kajdanami mrozów skrępowała ziemię; ludzie odsunęli się od przyrody, poszukując ciepłego pieca. Spotkałem wtedy raz przypadkiem pannę Matyldę; była piękna, miała twarz uśmiechniętą, oczy jaśniejące szczęściem. Niedługo potem spotkałem pannę Stanisławę, jej twarz wyrażała jakieś cierpienie, była znekana, blada a oczy spuszczała w ziemię.

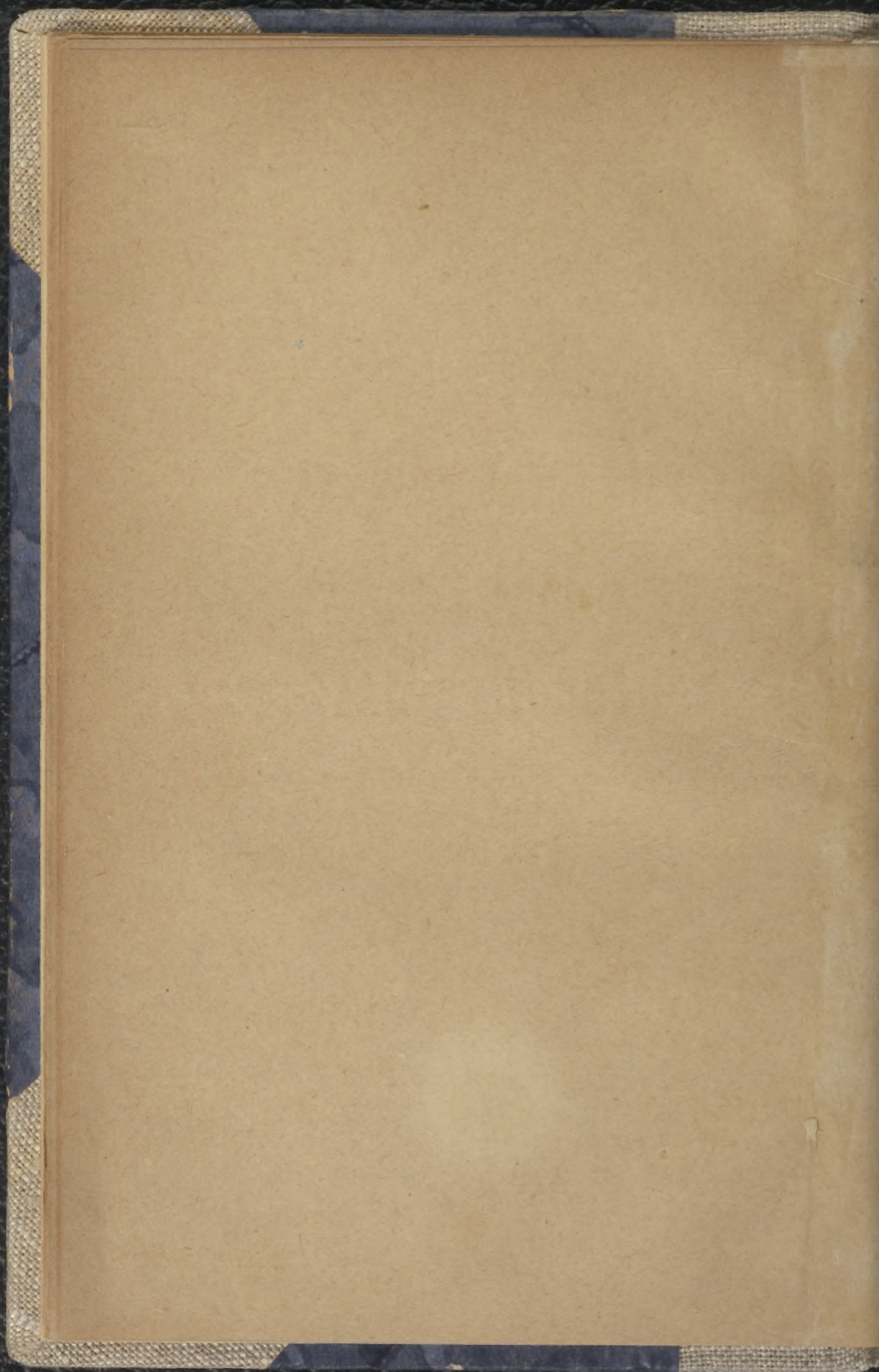
Nie wyprowadzałem stąd żadnych wniosków. Bardzo wesole są zwykle zapusty w Warsza-

wie; nikt tego nie wie, dlaczego wtedy ludzie się tak radują. Noc zamienia się w uroczyste święto; wszędzie brzmią dźwięki skocznej muzyki i pełno wesółych gwarów. Rok stary się skończył, a pierwsze dni nowego rozpoczynano od hucznych zabaw w stolicy.

Pamiętam w jednym styczniowym dniu, zaledwie słońce zaszło, a już swym blaskiem księżyc oblał ziemię zaraz z wieczora. Zmrożony śnieg iskrzył się od tego światła. Stałem właśnie przy oknie, rozmyślając o zmienności w przyrodzie i życiu ludzkim; tutaj wpadło do mnie księżycowe światło. Przypomniały mi się moje dawne wieczorne przechadzki i zeszedłem do ogrodu tego zimowego wieczora. Z miasta dolały tutaj liczne dźwięki dzwonek od sanek i, jak dawniej, słychać było niekiedy świst lokomotywy. Spojrzałem w okna sąsiadek: wewnątrz nich gorzało światło, zewnątrz oblewał je blask księżyca. Wpatrzyłem się uważnie i nie wiem, czym rzeczywiście widział, czy mi się może tylko zdawało, że w każdym z tych okien spozstrzegał postać kobiety: brunetka stała jakby w niecierpliwem oczekiwaniu, miała na sobie białą, godową suknię, welon otaczał jej głowę, a w ręku trzymała bukiet pięknych kwiatów; blondynka była czarno ubrana i nieustannie ocierała oczy, jakby z łez. Może to było moje złudzenie...

Nazajutrz dowiedziałem się, że na trzecim piętrze nie mam już sąsiedztwa, bo panna Matylda wyszła za mąż, a panna Stanisława gdzieś się podziała i nikt nie wie, co się z nią stało...

Z NIEDOLI KOBIĘTY.



Z NIEDOLI KOBIĘTY.

Dla każdego robotnika ciężkim jest tydzień ciągłej pracy; ale bardzo ciężkim jest on dla wątłej kobiety. Cesia pracowała przez cały tydzień od 8-jej rano do 8-jej wieczór; pracowała w szwalni przy maszynie, wykończyła obstalowaną do sklepów bieliznę. Tydzień pracy jednostajnej, tydzień turkotu maszyny, tydzień ślepania oczyma nad białym płótnem, tydzień monotonnego ruchu rękami i nogami—może człowiekowi obrzydzić życie. Dla takich świąteczne wytchnienie jest istnym rajem szczęścia.

Kiedy więc Cesia powróciła w sobotę do swjej izdebki na poddaszu, obszywała sobie świeży kołnierzyk przy sukience, a przytém marzyła, jak ona się jutro, w niedzielę, dobrze ubawi. Skończyła obszycie kołnierzyka, przygotowała sobie strój na święto, a potem wydobyła ze starego kufra mnóstwo drobnych rupieci i poczęła je przeglądać; zaszyła jeszcze dziurki w rękawicz-

kach, zacerowała pończochy; wyjęła na wierzch fotografią jakiegoś blondyna, przypatrzyła jęj się uważnie, westchnęła... Następnie wzięła do rąk inną jeszcze fotografią—bruneta i przy nięj także westchnęła. Wydobyła różne pokruszone i zwiędle listki, miłe pamiątki gry w zielone; nareszcie wszystko to pozwijala i zamknęła w kufrze.

Ułożywszy sobie jeszcze włosy i nakrywszy je czepeczkiem, Cesia położyła się w łózkę; ale nie mogła zasnąć, gdyż marzyła, jakby ona to chciała być mężatką, panią domu. Oprócz męża, miałyby służącą, dwa pokoje z przedpokojem i kuchnią, no—i może jeszcze coś więćej; zwyczajnie, jak w małżeństwie... Wśród tych marzeń zasnęła więć się dziwić nie trzeba, że we śnie widziała jasnowłosego tłusciutkiego aniołka, którego pieściła, niby swego synka. Śnił jęj się pokoik sehludny z dwoma łózkami bielutko usłanemi, stojącemi przy ścianie, a przy jednęm z tych łózek stała pleciona kołyseczka z daszkiem, obszytym zieloną gazą. Widziała tęż we śnie maleńki salonik z doniczkami kwiatów w oknie, ubranęm białą firanką; zwierciadło wisiało na ścianie, stół stał przed małą kanapką, a na stoliku leżało z fotografiami album, oprawne w niebieski akksamit.

To wszystko śniło się i śniło Cesi przez całą noc, a przeto prędko ona noc tę przespała. Obudziła się rano i mówiła sobie:

— Jakie tęż to dziwne sny człowiek nieraz

miewa. Co one mogą znaczyć? Po co się to wszystko przyśniwa?

Poczęła się myć, przystrajać i śpiewała sobie z Gasparona:

„Uczułam drganie w każdym tętnie,
Ómdlała padłam tuż;
On patrzył na to obojętnie;
Ah, niema mężczyzn już!
Leżałam w trawie sama jedna,
Nie śmiałam nawet krzyczeć—biedna.
Kolo mnie zbójców pięciu aż;
Rumieniec wybiegł mi na twarz.”

Jak tylko się ubrała, wzięła do ręki książkę do nabożeństwa, w kieszeń włożyła woreczek z tygodniowym zarobkiem i wyszła. Wstąpiła najprzód do kawiarni, będącej prawie na rogu ulic — Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej; wypila tam szklanekę kawy, zjadła rogalik; miała ochotę zjeść jeszcze śmietankową babkę, lecz jej żal było pieniędzy. Przy sposobności przejrzała „Kuryera Świątecznego,” a rysunek na pierwszej stronie tego pisma nabawił ją takiego śmiechu, że zwróciła na siebie uwagę innych gości; zapłaciła więc za kawę z ciastem i wyszła.

Udała się teraz Cesia do Święto-Krzyżkiego kościoła; tutaj wydobyła z kieszeni książkę z modlitwami i przeczytała naprzód jej tytuł; zdawało się dziewczynie, że na nią ktoś patrzy, spojrziała zatem na kościół i spostrzegła tuż obok ławki jakiegoś młodzieńca z czarnymi wąsikami; widziała



wyraźnie, że człowiek ten usiłuje przysunąć się blisko do ławki, w której przed Cesią siedziała z brzegu jakaś poważna pani.

Ni stąd ni zowąd przypomniała sobie swój sen nocny i postanowiła modlić się szczerze; ale w książce nie mogła jakoś znaleźć odpowiedniej modlitwy. Przewróciła kilka kartek i natrafiła na „Pieśń o Boskiej opiece,” znowu odwróciła kilka innych kartek i spostrzegła napis: „Modlitwa o zwalczenie wad i złych skłonności;” na tej modlitwie poczęła z namaszczeniem ćwiczyć swą pobożność, czytając półgłosem: „Co chwila czuję się winną, bo dla lenistwa swego opuszczam się w pracy i modlitwie, bo nieposłuszeństwem i uporem martwię swoich przełożonych, bo nie chcę pohamować gniewu oraz niecierpliwości za lada okazyją”... Cesia pomyślała sobie, że ta modlitwa do niej się nie stosuje, więc znowu poczęła przewracać kartki, a pominąwszy „modlitwę osoby zamożnej,” na „Salvum fac” się zatrzymała... Jaka też to może być modlitwa? Pomyślała i poczęła odczytywać. W czasie tego zerknęła okiem i spostrzegła, że młodzieńca z czarnymi wąsikami nie było już w kościele.

— „Pewno on się nie mnie przyglądał.” Myślała i ziewnęła ukradkiem.

Następnie odczytała jeszcze parę modlitw, parę litanij, czas przeszedł i nabożeństwo się skończyło.

Wraz z tłumem pobożnych, Cesia opuściła świą-

tynię; ludzie popychali ją, więc bezwiednie szła Nowym-Światem. Jakiś młodzieniec przeszedł obok niej i zajrzał jej w oczy, ale się nie zatrzymał, poszedł dalej. Tłum prawie ją niósł do placu Św. Aleksandra; tu przypomniała sobie dziewczyna, że dzień jest piękny i że warto użyć przechadzki do Łazienek; zwróciła się téż w owym kierunku, postanawiając pójść piechotą w tamtą stronę, a z powrotem przyjechać w tramwaju.

Idąc samotna, kupiła dwa okrągłe pierniki; miała chęć kupić sobie jeszcze pomarańczę, miodu tureckiego, lub parę ciągaczek; ale i tym razem żal jej było ciężko zapracowanych pieniędzy. Czerwcowe słońce przyświecało rozkosznie, zieleności było powszędę pełno; usiadła w pobliżu bieluchnego pałacyku i poczęła chrupać swoje pierniki, spostrzegła na kanale łabędzia, więc podeszła i rzuciła mu parę kawałków. Przechodziły rozmaite towarzystwa: mężczyźni z kobietami i z dziećmi, a Cesia rozmyślała, że ona jest samotna, że nie ma żadnego towarzystwa; żalowała, iż przyszła tu sama jedna, a mogła przybyć z jaką przyjaciółką. Obeszła wkoło sadzawkę, rozmarzyło ją świeże powietrze, zmęczyła się, chciałaby spać, odpocząć... Postanowiła spieszyć do przystanku tramwaju i wyszła z parku. Po drodze zobaczyła, że ludzie piją wodę; ona miała także silne pragnienie, ale się nie mogła docisnąć do kubka. Naraz spostrzegła, iż właśnie pije wodę ten sam młodzieniec z czarnymi wąsi-

kami, którego widziała niedawno w kościele; on ją także spostrzegł, wypił wodę, popłukał kubek i, napelniwszy go świeżą wodą, podał Cesi. Wypiła, a zwracając szklanke, rzekła:

— Dziękuję.

Jednakże potem, zamiast iść pod górę do przystanku tramwajów, dziewczyna zeszła na bok w kierunku ogrodu Botanicznego i usiadła na opróżnionej ławeczce pod drzewem. Młodzieniec z czarnymi wąsikami podążył za nią, lecz usiadł na innej ławeczce zdala, a Cesi przesyłał jednak spojrzenia.

— Czemu on nie usiądzie obok mnie? Myślała dziewczyna. Przecież tu tyle wolnego miejsca, a ja siedzę sama jedna.

Po upływie pół godziny czasu wstała z ławki i ścieżką zeszła do głównej drogi, wiodącej w Aleje Ujazdowskie. Nie wypadło oglądać się poza siebie, lecz gdy skręcała, mimowolnie w bok rzuciła okiem; była ciekawa, co porabia młodzieniec, który został na ławce. I on także powstał i szedł za nią w oddaleniu.

— Grzeczny chłopiec. Myślała Cesia. Inny, toby niezawodnie zaczął. I poczuła w sobie sympatyą dla młodzieńca z czarnymi wąsikami.

Kiedy doszła do przystanku tramwajów, rzuciła raz jeszcze okiem za siebie i spostrzegła, że młodzieniec trop w trop szedł za nią, jak woda. Zwinęła parasolkę, bo tramwaj właśnie przystanął, weszła wewnątrz i usiadła; wyjrzała teraz

przez szybę i spostrzegła, że młodzieniec pędził ku niej pospiesznie; widocznie się obawiał, aby tramwaj nie odjechał. Cesia miała wielką chęć palcem pokazać konduktorowi przybywającego; lecz konduktor miał fiziognomią jakąś poważną, stanowczą, położył już rękę na dzwonku i, zmierzwszy okiem tramwajowych pasażerów, zadzwonił... Koń szarpnął raz, drugi, a machina ruszyła z miejsca. Atoli w téjże chwili dobiegł do tramwaju młodzieniec z czarnymi wąsikami i wskoczył wewnątrz; chustką otarł pot z czoła a spostrzegłszy obok Cesi miejsce niezajęte, usiadł natychmiast.

Dziewczyńie zabiło serce, uczuła w sobie potrzebę szybszego oddechu; ale tłumiała przyspieszony oddech. Niebawem téż przypomniały jej się wszystkie obrazy snu nocnego. Kiedy konduktor brał od niej pieniądze, a wzamian za pieniądze wydawał bilet, przez roztargnienie upuściła trzymaną w ręku parasolkę, którą młodzieniec z czarnymi wąsikami podniósł i z uprzejmością jej podał.

— Dziękuję. Odrzekła zapłoniona Cesia.

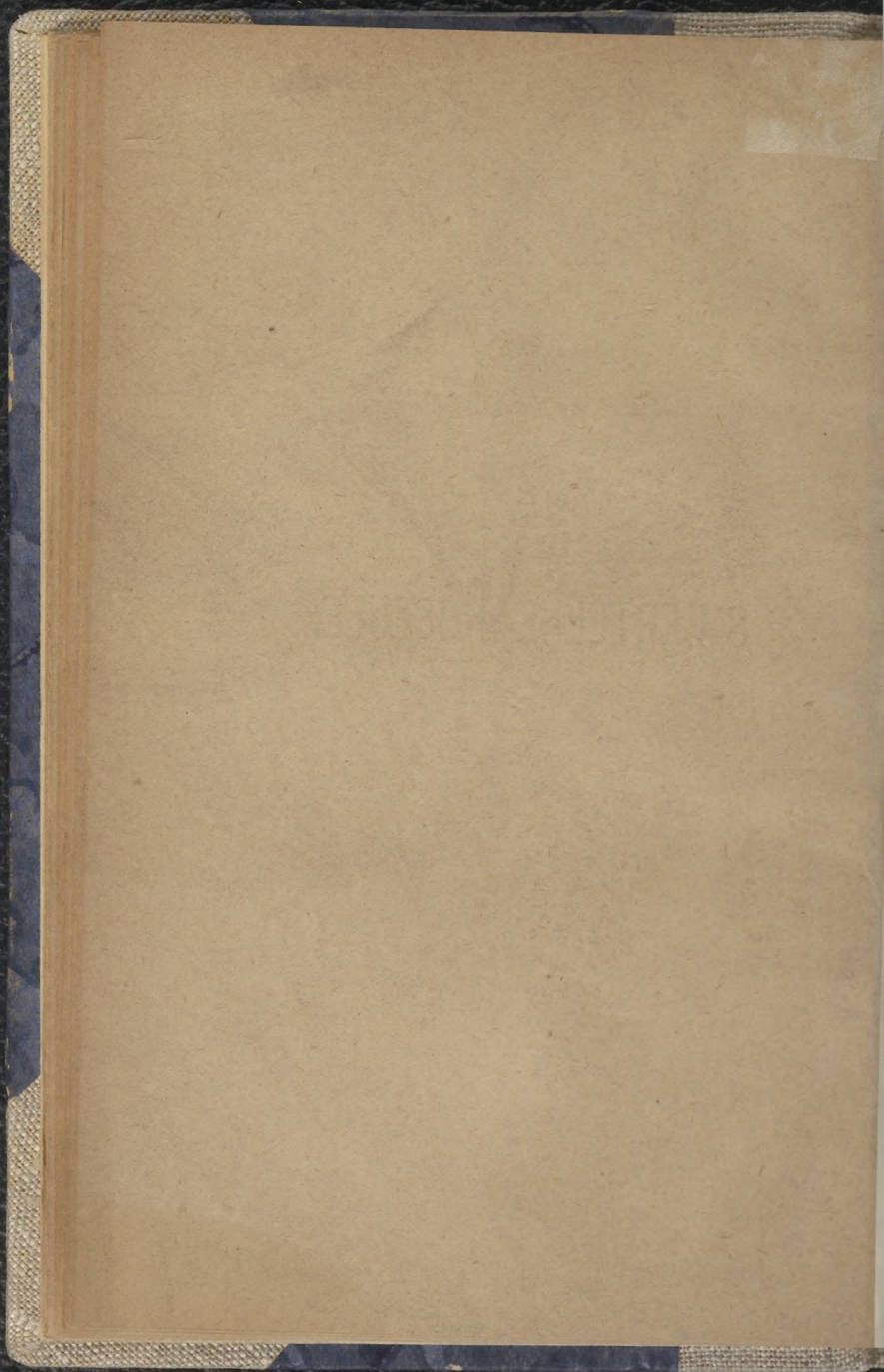
A on stał się teraz mowniejszym, począł wychwalać pogodę dnia i wyraźnie do niej zwracał się z rozmową. Dziewczyna była bardzo zadowolniona, tak że postanowiła sobie w głębi duszy jechać tramwajem długo, aż na Krakowskie-Przedmieście, jakkolwiek powinna była wysiąść na rogu ulic: Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej.

Atoli przy skręćcie Marszałkowskiej na Królewską przyjemny ów młodzieniec porwał się jak oparzony, wyskoczył z tramwaju i zniknął wśród tłumu w Saskim ogrodzie. Cesi zrobiło się przykro na sercu i wysiadła na najbliższym przystanku, rozmyślając z goryczą, że i dzień świąteczny, choć wolny od pracy, pełen jednak zawodów.

Kiedy dotarła pieszo z powrotem do ulicy Święto-Krzyskiej, postanowiła kupić sobie ciastko na osłode trosk życiowych i w tym celu wstąpiła do narożnej cukierni. Ciastko jój podano; ale biédaczka, gdy chciała zapłacić, spostrzegła, iż niéma w kieszeni woreczka z całkowitym swoim majątkiem w gotówce.

W nocy z niedzieli na poniedziałek Cesia śniła i snuła marzenia senne do rana; noc wydała jój się bardzo długą, bo sny były niemiłe.

ŚMIERTELNE KOSZULE.



Śmiertelne Koszule.

W Warszawie, w jednym z domów przy ulicy Wspólnej mieszkało młode małżeństwo. Mąż Bolesław Zanieski miał lat dwadzieścia dziewięć; z początku kształcił się na artystę malarza; ale widocznie talent mu nie dopisywał, bo rzucił pędzel a oddał się drzeworytnictwu. Żona Wanda liczyła lat dwadzieścia.

Wszystkiego dwa lata czasu minęło, jak się ta para pobrała, więc było tam kochania co nie miara.

Powiadają, że miłość dodaje sił do pracy; my sądzimy, iż praca, z jakiegokolwiek pobudek się ją wykonywa, tém bardziej wyczerpuje siły, im jest energiczniejszą. Drzeworytnictwo należy do bardzo mozolnych zajęć i niebardzo popłaca, a Bolesław musiał z téj pracy rąk i oczu utrzymać swój własny dom oraz starego ojca, który mieszkał na wsi. Czegóżby on nie zrobił dla swojej Wandzi? Zapracowałby się, gdyby jęj do szczę-

ścia tego było potrzeba. Ojca — rzecz prosta — tak nie kochał; ale wysoko szanował obowiązek synowskiej miłości i zawsze zadosyć mu czynił. Najmniej dbał o siebie; chodził w wykoszlawionych butach, w pomiętym kapeluszu, a kołnierz od surduta zawsze do góry stawiał, ażeby utaić niedostateczny stan kołnierzyków od koszuli i brak krawatu. Przecież, pomimo takiej troskliwości o swoich kochanych, Bolesław i tak nieraz sobie wyrzuczał, że im mało daje.

Całym zbytkiem życiowym tego człowieka było wypalanie jakich dziesięciu lub dwunastu papierosów codziennie. Trwonil więc dwadzieścia cztery złote na miesiąc, puszczał je z dymem, jak mówił, a delikatne sumienie szeptało mu: „Czy nie lepiej było kupić czapkę dla starego ojca, pół tuzina pończoch dla żony?... Oj ty nieponiu!” Bolesławowi się zdawało, że go sumienie tak łaje, a to on sam się gromił.

Raj szczęścia dwojga młodych ludzi znajdował się na trzecim piętrze. Dobrze, iż takiego raję nikt im nie mógł zazdrościć i z niego ich wypędzić. Ażeby się tam dostać, należało przebyć czterdzieści ośm schodów dosyć wygodnych i nieźle oświetlonych oraz dwadzieścia kilka mniej wygodnych, a wcale nieoświetlonych. Atoli, gdyś się już z brudnego korytarza domacał drzwi i gdy je szczęśliwie otwarłeś, uderzało na ciebie jasne światło raję, uczuwałeś jakąś nadzwyczajnie miłą atmosferę téj wysokięj siedziby małżonków.

W ogóle były tam dwie izby: jedna—to przedpokój, kuchnia, może nawet gotowalnia i rodzaj garderoby; druga znowu—to salon, gabinet pana i pani, pokój stołowy, sypialnia. Niczego im nie brakowało.

Wejźmy tam wewnątrz, przypatrzmy się temu rajowi, tylko zachowajmy się cicho, bo oboje pracują: on rytuje, ona szyje.

W jedném oknie wisi klatka z czyżykiem, miłutkim ptaszkiem, który się ferta z zérdkki na zérdkę, a za każdym skokiem pogwizduje: „pii—pii—pii!” Skromna, bieluchna firanka po obu stronach okna zwiesza się w draperye i białością swoją odbija od zieleni roślin, które z doniczek na świat boży tęskno spoglądają przez szklanne szyby. Nie są to bynajmniej jakieś wyszukane kwiaty; kupowało się je zapewne za Żelazną Bramą, a może na placu Aleksandra; ale nawet najpospolitsze i najtańsze kwiaty są téż pięknymi kwiatami. Bluszczyki pną się tu z wdziękiem po ramach okien, młodemi latoroślami sięgają coraz wyżej; bodziszek kwitnie ponsowo pełnym kwiatem, a kaktus, mirt—to przecież egzotyczne rośliny.

Przy tém oknie on ma swoją pracownię, siedzi nad drzewkiem zarysowaniem, nałożył szkło na oko i, trzymając rylec w ręce, rytuje.

Przy drugiem oknie jest jój gabinet pracy; ona tam ma swoje kwiatki, swoją franke, nie ma tylko klatki z czyżykiem; usiadła przy stoliku i szyje na maszynie. Maszyna skacze, mruczy

i warczy, od drugiego zaś okna w takt czyżyk jój przygwizduje, a może mu się zdaje, że maszyna dla niego taki marsz wygrywa i przeto z żérdki na żérdkę wciąż skacze.

Cóż oni więcéj jeszcze mają, oprócz samych siebie, ptaszka, kwiatów i narzędzi pracy?... Nie-wiele więcéj!

W pierwszej izbie przy drzwiach stoi parasol mocno nadwerezony, jak ptak z wylamanemi skrzydłami; przy parasolu—para męzkich dziurawych kaloszy; nad kaloszami na haku wisi wypłowiale palto pana domu, a nad niém—pogięty kapelusz. W najciemniejszej części tego pokoju widać kuchenkę i stolik, a na stoliku samowarek, kilka szklanek, talerzy, nożów, widełców, garnuszków.

W drugim pokoju, prócz stolików, na których zasiadła do pracy para małżonków, stoi łózko, usłane jak gdyby na wystawę; nakryto je kapą różowo podszytą i wzorzysto haftowaną. Jest tu jeszcze sofka, a na niéj poduszcзка kanwowej roboty, przed sofką — stolik, na nim lampa i albumik z fotografiami.

— Bolciu — odezwała się Wanda, podsuwając pod igłę maszyny jakąś płócienną szmatę — czy téż ty pamiętasz, że szóstego czerwca mamy świętego Norberta?

— Naturalnie! Ale zawsze dobrze, żeś mi przypomniła... Trzeba do ojca napisać list z powinszowaniem imienin.

— Ja mu posyłam na wiązanie kapeuszek, haftowany pelą i pantofelek, wyszyty paciorkami na zegarek.

— A ja portret Kościuszki, który sam rytowałem na drzewie.

— Szkoda jednak, że ojciec przy nas nie może mieszkać. Odezwała się znowu Wanda.

— Byłoby to z wielu względów pożądane i dla nas i dla niego; ale niepodobna 86-o letniego starca wyrwać ze wsi, gdzie całe życie przepędził. Onby się tu w Warszawie zatęsknił...

Umilkli, znowu zaturkotała maszyna, czyżyk gwizdał, Bolesław puścił w ruch swój drzeworytniczy rytec, a promienie słońca, wpadając z boku, jasnością oblewały listki roślinek w doniczkach.

Przypatrzmy się fizyognomiom państwa Zanieskich.

Bolesław jest to szatyn, twarz ma pogodną, oczy duże ciemne, spoglądające na świat bez zmrużenia, — jak gdyby mówiły: tylko prawdę chcemy ze świata do duszy przenosić, tylko prawdę chcemy światu z duszy oddawać... Szczupły, średnio wysoki, przybladły, ręce ma chude, delikatne, a postać nieco pochyloną ku ziemi.

Wanda stanowi fizyczny typ warszawianki. Jest to córka matki, która dużo czasu poświęcała na to, ażeby sznurówkami kępować swoje ciało; ale zwyczaj nie od matki się zaczął, początku trzeba szukać u babki i prababki. Wnuczki

przyjęły w spuściźnie tradycją tortury żeber i piersi, przyjęły ją z tą wiarą dobrą, z jaką gmin daje przewagę urokom oraz zażegnaniom nad radą lekarza. Idzie to z pokolenia w pokolenie i robi swoje: pracuje nad niedokształceniem kobiety.

Piękno niewieściego ciała schodzi na karykaturę: robi się deską, albo dzbankiem.

Wanda miała twarzyczkę milutką, białą jak saska porcelana; jej ciemne delikatne włosy strzępiły się w grzywce nad czołem, jak kiści jedwabiu, naumyślnie roztrzebanego z nitki; skóra na ciele zdawała się być delikatniejszą jeszcze od błonki w jajku, otaczającej białko i żółtko. Spojrzawszy na nią, musiałeś koniecznie powiedzieć: „ona jest za delikatna, za wątła, ażeby zdolną była spełnić twarde obowiązki, które odwieczna przyroda przepisała kobiecie.”

Wandzia była pięknym cackiem, które należy oprawić w złoto, brylanty i przechowywać w miękkich pudełkach dla rozkoszy oczu. Takie niewiasty są dobre na drobne bożyszcza, ale nie mogą one stać na straży gatunku swego.

Sprawiedliwa przyroda odmówiła Zanieskim potomstwa, nie pozwoliła im skosztować najwyższego szczęścia wszystkich organizmów żywych; poleciła im surowo powstrzymać rozwój takiego pokroju. Musieli oni poprzestać na bezcelowej społecznie miłości małżeńskiej, kochali się bardzo w swoim dualistycznym egoizmie.

Ktoby się uważnie przyglądał Wandzi, dostrzegłby, że kobiéta owa codziennie przed południem bywała niezwykle ożywiona; prześliczne szafrowe oczy połyskiwały jêj jakimś dziwnym blaskiem, a na policzki występowały rumieńce; bywała ona wtedy wymowna, czynna; ku wieczorowi znikało ożywienie wraz z rumieńcami i Wanda czuła osłabienie, a przytém oddawała się przeróżnym marzeniom o przyszłości.

— Wandziu — mówił Bolesław, odkładając na bok lupę, rylec drzeworytniczy i na poręczu krzesła prostując swą kolumnę pacierzową. — Od kilku dni słyszę, że ty mi coś niedobrze kaszlesz.

— A to znowu co nowego? odrzekła Wandzia. Ja już od urodzenia kaszlę, mój drogi, a nigdy jeszcze nie czułam się tak zdrową jak teraz... Czasami tylko zasycha mi trochę w gardle i koniec.

— Ha, może mi się tylko zdaje; ale ty masz i głos jakiś zmieniony.

— Nie miejże też Bołciu przywidzeń!.. Jak wyjdiesz na miasto, kup mi karmelków ślazowych, a odpędzimy chorobę. Tegoby nam jeszcze było potrzeba, żeby choroba do domu weszła...

— Oj prawda, żeśmy się z wielką biędą cokolwiek dopięro wygrzebali. Ja już myślałem, że ojcu nie będę mógł wcale pomagać... A gdyby teraz przyszło nieszczęście, choroba...

— Powiadają, że chory w pół godziny zje to, co zdrowy przez cały dzień zarobił. Gdybym zachorowała, to ty, biédaku, nie nastarczyłbyś pracować.

— No, teraz — to jeszcze pół biédy! Codziennie mam zamówienia nowój jakiéjs roboty.

— Wiesz co? Jak zarobisz dużo pieniędzy, to sobie na przyszły rok pojedziemy w Tatry... Ma tam być prześlicznie.

— Dlaczegożby nie! Pojedziemy, pojedziemy! Na ten cel będę odkładał pieniądze za rytowanie królów polskich, których zamówił u mnie wydawca „Ilustracyi...”

— Mój drogi, powiedz mi téż, czy drzeworytnik jest artystą, czy rzemieślnikiem? — przerwała niespodzianie Wanda.

— Skądże ci przyszło znowa do głowy takie pytanie?

— Bo gdyś mi mówił o rytowaniu królów, to sobie pomyślała, że możesz zostać sławnym; ale znowu przypomniało mi się, że kiedyś pani Męcka dowodziła panie Kralskiej, iż drzeworytnik wcale nie jest artystą.

— Pani Męcka nie miała racyi, chociaż ja rzeczywiście jestem rzemieślnikiem! Rzekł Bolesław z pewnym smutkiem w głosie. Muszę odrobić pracę obstalowaną i wykończyć ją na oznaczony termin. Nie mogę się nazwać nawet wirtuozem, ponieważ częstokroć nie jestem w stanie sumiennie wykonać swego zadania. Z tém wszyst-

kiem drzeworytnik jest artystą, jeśli ma talent, wykształcenie i jeśli sprzyjają okoliczności...

— No, to powiem ci, że ja tak samo myślałam, mój jedyny wirtuozie, artysto!.. zawołała Wanda, a z temi słowy powstała od swój maszyny, podszła do Bolesława i przechyliwszy się przez poręcz krzesła, złożyła pocałunek na jego czole.

On pochwycił w swoje dłonie obie rączki żony, założył je sobie na szyi i rzekł.

— Czy tobie dużo na tém zależy, czyją jesteś żoną: rzemieślnika, wirtuoza lub artysty?

— Dla mnie wszystko jedno! odparła Wanda. Ale jabym pragnęła, żeby ciebie wszyscy ludzie wysoko cenili.

I tak prowadzili rozmowę; ona stała za poręczą krzesła, na którym Bolesław siedział; rękami oplotła mu szyję, a on te piękne kochane rączki tulił to do ust swoich, to do piersi. Naraz Wandzia poczęła grubym głosem kasłać sucho, potem się skrzywiła, jak gdyby nie mogła czegoś przełknąć i pobladła.

— Ah, znowu ten szczególny kaszel! — zawołał Bolesław. Trzeba się koniecznie poradzić lekarza, bo mię to zatrważa.

— Mój drogi puść mię... muszę już iść do roboty! mówiła Wanda, krzywiąc się, jakby jój co dolegało, o potem dodała z przymuszonym uśmiechem: — Jak umrę, uwolnię cię od siebie, to

wtedy niezawodnie zostaniesz wielkim artystą...
Bolciu, puść ręce moje!

— Bez całusa nie puszcę! rzekł mąż stanowczo.

— To pocałuję w oczko—powiedziała Wanda, której widocznie przykreść sprawiało pozostawać w postawie stojącej.

— Nie chcę — odparł Bolesław — bo oczy całusów nie czują.

— A co czuje całusy? pytała Wanda, mieniając się cała i zmuszając do uśmiechu.

— Usta!..

— To niechże się mój artysta podniesie, bo ja się nachylić nie mogę, jakoś mi nie dobrze...

Bolesław w tej chwili puścił ręce żony, porwał się z krzesła, a widząc, że Wanda pobladła, objął ją wpół i z niepokojem spoglądał w jej szafirowe oczy.

— Co ci jest, Wandeczko?.. Tyś cierpiąca? mówił. — Usiądź! I przysunął jej swoje krzesło.

Wanda ze skwapliwością usiadła, oparła się o poręcz krzesła i odetchnęła teraz swobodniej. On przyglądał jej się od stóp do głowy, nareszcie uderzył się dłonią w czoło i rzekł:

— Przychodzi mi na myśl, moja Wandziu, że ty się nielitościwie sznurujesz; jesteś nadzwyczajnie ściśniętą w pasie... Patrz, moje dziecko, bardzo mało brakuje, żebym cię objął palcami rąk swoich!..

— Po co się ty wtrącasz w takie sprawy?..

panie artysto, to rzecz kobiet, jak się mają ubierać!—powiedziała Wanda tonem nawpół poważnym, nawpół żartobliwym.

— Tak, tak, zapewne! Ja ci téż wcale nie wzbraniam ubierać się, jak ci się podoba; ale sądzę, iż taka męczarnia dla zdrowia twego jest bardzo szkodliwa i ten kaszel...

— Najniezawodniéj ze sznurówki pochodzi. Podchwyciła Wanda ironicznie. — Wszystkiemu złemu na świecie winne są sznurówki.

— Już to przyznan ci się, Wandeczko, że gdyby mię kto na cały dzień zamknął w taki twardy i ciasny gorset, to zdaje mi się, że byłbym w położeniu motyla, wbitego na szpilkę.

— Eee, gdzie téż to mężczyźnie o takich rzeczach rozprawiać!—mówiła Wanda, i chciała już odejść do swojej maszyny, gdy ją Bolesław zatrzymał temi słowy:

— Wandziu, na miłość Boga, ty się cała mienisz! Tobie się coś stało!

— Nic się nie stało; wiesz dobrze o tém, że jestem trochę anemiczna, siły mię czasem ni stąd, ni zowąd opuszczają.

— Więc proszę cię, moja złota, siedź tu jeszcze! Pomówimy. Co ci się tak bardzo spieszy? Cóż ty tam fabrykujesz na téj maszynie?..

— Obrębiam ściereczki do uprzątań kurzów w mieszkaniu, odpowiedziała Wanda, siadając znowu na krześle i biorąc do ręki jeden z drzeworytniczych rylewów. — Czy jabym téż potrafi-

ła ryć na takim drzewku?—rzekła. Naucz mię, Bolesławie rytować, a będziemy zarabiali dużo pieniędzy... Jakby to było dobrze, pojechalibyśmy sobie w Alpy... Nie,—do morza... albo do Włoch.

— Po co ty maż psuć sobie swoje prześlizne oczka, które mi najpochmurniejsze niebo zamieniają na włoskie?

— Proszę, jaki to romansowy jest dzisiaj ten mój drzeworytnik!—powiedziała Wanda; przyłożyła do oczu łupę, popatrzyła na drzewko w połowie już wryte i chciała coś powiedzieć, kiedy naraz głos jój scichł zupełnie i zamarł gdzieś w krtani.

Bolesław wpatrywał się w żonę z tkliwością, może mu jaka smutna myśl przeszła przez głowę, bo sposepniał.

— Moja najdroższa Wandziu! rzekł, składając przed nią ręce jak do modlitwy. Pozwól mi rozpiąć suknię i zdjąć tę przeklętą sznurówkę! Będę ci za to już we wszytkim uległy, a wdzięczność moja nie będzie miała granic.

— A to znowu co takiego? zawołała ze zdziwieniem Wanda. Gdzieś się pan uczył zasad przyzwoitego zachowania wobec kobiety... Oho, to można nazwać nawet zuchwalstwem! Mój pan zachowuje się nie jak artysta, ale jak prosty rzemieślnik... I swawolnie uderzyła go swoją drobnutką rączyną, dając klapsa: — A ty niepotém!

— Moja jedyna żono, tu nie o przyzwoitość chodzi, bo przyzwoitość jest rzeczą umowy; tutaj

rozgrywa się sprawa o twoje zdrowie, o nasze wspólne szczęście, — mówił z powagą Bolesław.

— Figlarz jesteś jegomość!.. rzekła Wanda, uśmiechając się z naiwnością małej dziewczynki. Nie pozwalałam na żadne rozsnurowania, zwłaszcza że moja sznurówka jest higieniczna, jak mię zapewniła firma „Steiner...” Zresztą ściskanie gorsetem doprowadza każdą kobietę do takiego punktu, poza którym dopiero może być mowa o szkodliwości.

— Moje dziecko, zarówno fabryki sznurówek, jak i sznurowane kobiety nie mają pojęcia o anatomii i fizjologii ludzkiego ciała.

— Dlaczego też, ty Bolciu, używasz takich wyrazów, o znaczeniu których sam nie masz dobrego pojęcia?.. Niech sobie o tém mówi lekarz, bo to jest jego zawód; ale ty czynisz to chyba z tego powodu, żeby mię nudzić. Co ci znowu dziś tak zależy na mojej sznurówce?

— Słuchaj kochanko, już mię nazywaj nudnym, nieznośnym belfrem, ale pozwól mi raz zdjąć z siebie ten gorset. Zobaczysz, jak ci będzie do twarzy bez niego. Wiesz chyba o tém przecie, że kobiety w Grecyi nosiły suknie zupełnie swobodne, i dlatego dzisiaj mamy pojęcie, jak piękne mogą być kształty ciała ludzkiego, jeżeli ich przesady fałszywój cywilizacyi nie skoszlawią.

— Ha, ha, ha! Piękniebym wyglądała na ulicy w szacie wolno puszczonej! Wszyscyby się oglądali na mnie, jak na rarogę, a każdy w duszy pomyślałby sobie: flejtuch baba!.. Na obrazach

dla jakich świętych może i dobre takie szaty, lecz ja nie chcę być żadnym dziwolągiem.

— Ależ o tobie niktby nie pomyślał nawet, że chodzisz bez gorsetu przez niedbalstwo, albo z powodu jakiejś pretensjonalności! Weale na to nie wyglądasz. Jesteś piękna jak zjawienie, a gdy zrzucisz z siebie sznurówkę, będziesz jeszcze stokroć piękniejsza.

— Mój Bolesiu, nie możesz tego powiedzieć, żeby nieboszczka moja mama była kobietą lekko-myślną, albo żeby mnie nie kochała, a jednak, kiedym skończyła 13 rok życia, sama włożyła na mnie gorset, mówiąc: Wandziu, masz niedobrą figurę, trzeba ją ratować gorsetem!... No, panie mężu, cóż znaczą wszystkie twoje argumenta wobec takiego faktu jednej z najlepszych w świecie matek? Czy cię i to nie przekonywa, że żona twoja nie dopuszcza się żadnej zbrodni, nosząc na sobie gorset?..

Bolesław uśmiechnął się z goryczą a potem znowu tak mówił:

— Nie chcę ubliżyć bynajmniej naszej mamie, istotnie, była to zacna niewiasta, a jednak, moja Wandziu, i ona także karmiła ten zabójczy przesąd sznurówki. Alboż to ubliży jej pamięci, jeśli ty zrzucisz z siebie straszną klatkę, w którą doprawdy nie ubralbym tygrysicy?

Zdawało się, iż Wandę wzruszyły słowa męża; była widocznie podniecona do walki, bo z wielkiem ożywieniem zawołała.

— Panie mężu, a teraz i ty uderz się w piersi! Jeżeli ja odziedziczyłam przesąd sznurówki, to czyż ty nie pielęgnujesz przesądu, który przynajmniej tyle wart, co i sznurówka?.. A któż to tak nałogowo pali papierosy, że nieraz w pokoju ciemno od dymu, aż czyżyk nasz zdaje się na to narzekać, a kamelia moja ani razu nie zakwitnęła?.. Ja ci jednak tego przesądu nie wymawiam, Bolesiu, kocham cię, wiesz o tém, jakkolwiek dym tytoniu, którym przejęty jest zupełnie twój surduty i twoje usta, wcale nie należy do najmiłszych aromatów.

Mąż zamyślił się przez chwilę, może się nawet zawstydził, tém bardziej że żywy ten spór zdawał się wyczerpywać Wandę; jęć głos to grubiał, to znowu cichym się stawał. Bolesław stanął przed żoną, ujął jęć rękę, przycisnął do ust i mówił w te słowa:

— Bardzo dobrze, Wandeczko, bardzo dobrze! To lubię, powiedziałaś mi szczere słowa prawdy... Rzeczywiście, i ja posiadam nałóg, którego w żaden sposób nie można bronić i nazywać chwalebny. Więc zrobmy teraz pomiędzy sobą układ:— ja przestanę kopcić moimi papierosami, jakkolwiek mi to przyjdzie niełatwo, ty zrzucisz ze siebie gorset. Żeby zaś żadne z nas nie miało pokusy wrócenia do swego nałogu, to ja w téj chwili zdejmę z ciebie sznurówkę i przechowam ją w swym stoliku na pamiątkę dla przysłych muzeów starożytności; — ty znowu zabierzesz zaraz

moje maszynki do robienia papierosów, gilzy, cygarniczki i tytoń... czy zgoda?

Zadumała się Wanda, lecz naraz podniosła na męża oczy i rzekła figlarnie:

— A nuż ci się potem zaczną lepiej podobać kobiety, noszące pod sukniemi gorsety?..

— Wtedy, Wandziu, przywdziejesz na siebie znowu gorset ze stalowych sprężyn, ja zaś nie będę miał najmniejszego prawa do robienia ci pod tym względem uwag... Ale obecnie twierdzą, że obywatelka, stworzona na matkę i żonę, nie powinna iść za przepisem zgubnej mody. Więc pozwól, że cię oswobodzę od téj tortury, daj kobietom naszym przykład ze siebie, bo zawsze ktoś pierwszy zrzec się musi przesądu; inaczej przesąd będzie istniał. Błagam cię, Wandziu!..

— Zdejmij.. Powiedziała przycichłym głosem Wanda; ale poprzez długie, jedwabiste rzęsy w prześlicznych, modrych jak bławaty oczach, błysnęły niby perły łzy żalu.

Ona robiła ze siebie istotne poświęcenie dla miłości męża, może jój się zdawało, że jest bohaterką...

Bolesław z prawdziwem zadowoleniem odpiął ten gorset równie sztywny i twardy, jak skorupa żółwia; ale przy owéj czynności swojej spostrzegł, że koszulka na żonie jego jest cała w dziurach i prawie w strzępy podarta.

— Wandziu!—zawołał. Na Boga, ty chodzisz

w lachmanaeh prawie; tobie koszul brakuje!...
O ja niedobry!

Ona roześmiała się tym śmiechem, właściwym dzieciom, w którym czuć lży zmartwienia, ale dziecko jednak się śmieje, bo chce komuś sprawić przyjemność. Wanda myślała o wiecznym rozbracie ze sznurówką, którą nosiła jej prababka, babka i matka; ona niewyraźnie pojmowała tę dużą tradycyą starego przesądu.

Kiedy już zniknęły stalowe więzy, Zanieska odetchnęła jakoś swobodniej. Bolesław ze złości złożył zdjęty z żony gorset, owinął go starannie w numer jakiegoś ilustrowanego czasopisma, obwiązał systematycznie szpagatem i zamknął w szufladzie swego stolika. Potem upadł na kolana przed Wandą, mówiąc:

— Wyrządziłem ci przykrość, moja ubóstwiona, ale mam przekonanie, że teraz zniknie twój kaszel, ustanie chrypka.. Ty zaś, Wandziu, zdobyłaś sobie stanowisko rzeczywiście emancypowanej kobiety, bo emancypacya rzetelna w pierwszym rządzie musi prowadzić do wyrzeczenia się przesądów niedorzecznych a szkodliwych dla całych pokoleń... Dalaś ze siebie przykład niewieściej dzielności, oby cię naśladowano!

Następnie każde z nich zabrało się do swojej pracy. Zaturkotała maszyna do szycia i poszedł w ruch rylec drzeworytniczy.

Bolesławowi stał teraz ciągle w myśli obraz fatalnie podartych koszul Wandy; był on zbyt wra-

żliwy, ażeby mu myśli takie pozwoliły przez dłuższy czas spokojnie pracować. To też za chwilę powstał od pracy, pożegnał żonę i pobiegł do wydawcy, „Ilustracyi,” który zwykle dawał mu obstalunki.

— Panie zawołał—jestem w nagłej potrzebie daj mi ze trzydzieści rubli zaliczki na drzeworyty „królów,” któreś u mnie zamówił!

Ale wydawcy mają zasadę zaliczać połowę tylko tego, co żąda współpracownik pisma; przeto i ów wydawca odrzekł:

— Mogę panu służyć piętnastu rublami...

— A ile za to będzie... Bolesław o mało że nie zapytał:—koszul?—Ale się zmiarkował i ugryzł w język. Niech będzie i piętnaście—odpowiedział.

— To proszę pana pokwitować, a kasa natychmiast wypłaci, odrzekł wydawca.

Bolesław niebawem dostał do rąk piętnaście rubli i z tymi pieniędzmi pobiegł do składu bielizny przy ulicy Wierzbowej. Jakież tam były piękne koszule! Cheiałby ich był z tuzin zakupić dla swojej Wandzi; ale nie mógł z powodu nadzwyczajnej drożyzny. Subjekt sklepowy wydobywał na wierzch, pokazywał i zachwalał przeróżne gatunki koszul, a Zanieski ciągle zapytywał o cenę, poczem odsuwał towar na bok, mówiąc:—To także dla mnie za drogie!

A jednak w głębi duszy myślał sobie:—moja Wandzia nie takich koszul warta... Szkoda, że jestem biędny; ubrałbym ją, jak królowę...

Subjekt widocznie się domyślił, że Bolesław ma kieszeń niebardzo zaopatrzoną, bo nareszcie zapytał:

— A ileż pan chce kupić koszul i po czemu?

— Chciałbym z pół tuzina, a rozporządzam piętnastu rublami. Odrzekł drzeworytnik, nieco zażenowany.

— Ooo, to u nas pan nie dostanie! Towar mamy wyborowy i dlatego ceny nasze są wyższe,— pomruknął subjekt z pewnym lekceważeniem i niebawem począł sprzątać ze stołu oraz układać w pudła porozrzucone koszule.

Bolesław przebiegł z pół Warszawy, oglądając bieliznę damską; nareszcie powiedziano mu o jakiejś pokątnej fabryce bielizny przy ulicy Freta. Poszedł tam i obstalował cztery koszule, które mu przyobiecano dostarczyć dopiero za trzy tygodnie, ponieważ szwalnia miała nawał obstalunków już poprzednio zamówionych.

— Jeżeli tak, to proszę wykończyć pół tuzina takich koszul damskich— powiedział, dając zadatku dziesięć rubli; był bowiem pewny, że do tego czasu zarobi dostateczną ilość grosza.

— Na imieniny swoje, dwudziestego trzeciego czerwca, Wandzia otrzyma odemnie nowe koszule na wiązanie — powiedział, a następnie polecił do koszul tych podobnych.

Kiedy...
już u...

szkaniu kurze i zabrała się do przygotowania na maszynce kawy, którą para małżeńska pijała zwykle na podwieczorek.

— Gdzieś ty tak długo biegał, Bolciu? pytała Wanda. Jesteś cały pokryty pyłem i potem, jak gdybyś piechotą chodził z kompanią pobożnych do Częstochowy.

— Chodziłem za interesami, byłem u swego wydawcy, a spościłem się tak i zakurzyłem naumyślnie, ponieważ wiedziałem, że w domu są nowe ściereczki do uprząwania pyłu, więc może mię kto niemi wytrze.

Wandzia zapaliła spirytus pod maszynką, potem wydobyła z kosza czystą chusteczkę, podszła do męża i poczęła mu ocierać czoło, twarz, mówiąc z pieśczołą:

— Oj ty brzydalu jakiś! Czy to do żony należy robić porządek około ciebie?... Nie mogłoby się to samo umyć, kiedy się samo tak zamorusało?...

— A nie! zawołał Bolesław. Przecież Westalki są od tego, żeby przestrzegały czystości.

— Westalki? Co to to plecie? Patrzcie państwo, jaka pretensjonalność! To on niby ma być bogiem, czy ołtarzem bóstwa, a ja jego kapłanką? Hm, hm!...

I z temi słowy dokonała ocierania twarzy męża, poczęła się żywo krzącać, a wreszcie po-
szkami,

oraz łyżeczkami a miły aromat kawy gotowanej rozszedł się po całym pokoju.

Zaledwie Bolesław wziął do ręki rylec, rozpoczął pracę, a już żona wzywała go natarczywie do picia kawy.

— Żoneczko, pozwól mi, żebym dzisiaj wypił kawę przy swoim stoliku; mam tak dużo roboty— prosił Zanieski.

— Oho, co nie, to nie! Nie pczwalam! Za moją sznurówkę, codziennie będziesz musiał, tyranie, pić razem zemną kawę. Skorom się rozstała ze swą najbliższą mi przyjaciółką, to niechże mam teraz z ciebie przynajmniej pociechę.

— Przecież i ja straciłem także wcale dobrych przyjaciół—papierosy! zawołał Bolesław.

— Żart na stronę — mówiła Wanda — siadaj Bolciu, bo kawa wystygnie, a ja chcę z tobą pomówić o bardzo poważnych sprawach.

Bolesław rzucił rylec i szedł do stolika, myślarząc w duszy:

— Jak ja też dzisiaj będę pił kawę bez papierosa?

Usiadł naprzeciwko żony, wziął do ust łyżeczkę kawy i rzekł:

— Proszę mi powiedzieć, co to za poważna rozmowa ma się tu dziś odbyć?

Czy ty wiesz Bolciu, czego u nas w domu najbardziej potrzeba w tej chwili? zapytała Wanda.

— Wiem! Odparł mąż bez wahania, i już już miał powiedzieć:— koszul dla ciebie, gdy sobie przypomniał, że koszule mają być właśnie

imieninową niespodzianką, przeto na chybił trafił rzekł: — Trzysta sześćdziesiąt pięć obiadów za pięć złotych!

— Et, klituś hajduś! odparła żona z uśmiechem. Nam dużo rzeczy potrzeba; ale przedewszystki-
kiem — drugiego łóżka, bo ty się na tój krótkiej
sofie nigdy nie możesz dobrze wyspać, a ja, my-
śląc o tém, że się tak poniewierasz, również się
nie wysypiam...

— Cóż ty znowu mówisz, Wandziu? Żartujesz,
czy co? Toż ja, jak tylko sięgnąć mogę pamię-
cią, nie spałem nigdy na łóżku, a nawet rzadko
kiedy miałem w życiu poduszkę! Dopiero teraz
na tój miękkiej sofie mam prawdziwie królew-
skie spanie.

— Ale ja tego nie chcę i basta! powiedziała
Wandzia ze stanowczością nadzwyczajną. Przed-
wczoraj spadłeś w nocy na ziemię razem z po-
duszką i potłukłeś sobie rękę, więc chyba mam
czekać aż się zabijesz. Zresztą nie znam żadne-
go porządnego małżeństwa, coby w domu nie
miało dwóch łóżek.

Na ten argument Bolesław począł się śmiać do
rozpuku, wołając:

Oj jój!.. Dalibóg umrę ze śmiechu!.. Więc taka
miała być między nami poważna rozmowa?..
Ha, ha, ha! Wyborne!..

— Nie śmieć się! rzekła poważnie Wanda. Bo
ja przecież nie mogę nikogo zaprosić do domu,
w którym jest jedno łóżko.

— Czy pani wypowiedziała już wszystko?

— Weale nie! odparła Wanda. Ale ta pierwsza kwestya musi być najprzód rozstrzygniętą, zanim postawię kwestyą drugą.

Mówiąc to, włożyła do ust łyżeczkę kawy; widocznie jednak nie mogła przelknąć płynu, bo się skrzywiła, a szeroko rozwarte oczy zwróciła na męża.

— Wandziu, co ci się stało? zawołał Bolesław, porzucając swą kawę i biegnąc do żony. Niezawodnie udławiłaś się bułeczką?..

Ona wstała, była blada, wsparła się na ramieniu męża, obeszła dokoła stołu, zasłaniając sobie ręką usta; potem usiadła i rozległ się ów suchy kaszel.

— Ah, nie! To nie! powiedziała słabym, stłumionym głosem. Mnie czasem coś tak zatyka w gardle. Podobno w dzieciństwie miałam zawsze nabrzmiące migdałki.

— Bójże się Boga, moje dziecko, toż najpotrzebniejszą dla nas w téj chwili jest porada lekarska!

— Zawsze z tym lekarzem wyjeżdżasz! A ja powiedziałam raz na zawsze, że lekarza nie chcę, nie potrzebuję! mówiła Wanda z naciskiem, a każdy dźwięk jój głosu brzmiał jakimś odrębnym tonem, jak gdyby narząd mowy potrzaskał i popękał.

— Ja wiem jednak, że jeśli cię bardzo poproszę, to się zgodzisz na wezwanie lekarza, pozwolisz aby ci gardło obejrzał.

— Właśnie, że nie pozwolę! powiedziała Wan-

da z uporem. Za zdjęcie sznurówki mam prawo żądać do domu drugiego łózka i być nieposłuszną na punkcie poddania się oględzinom lekarskim.

— Zważ, że i ja mógłbym mieć prawo do pewnych ustępstw z twój strony, nie wspominając ci nawet o zrzeczeniu się palenia papierosów.

Wanda niebawem znowu się ożywiła, chrypka jej znikła, głos się zrobił jakiś czystszy, kaszel już nie występował. Bolesław też był spokojniejszy, przestał nastawać na przyzwanie lekarza, widząc, że to żonie sprawia przykrość. Teraz rozpoczęła ona snuć jak najpiękniejsze plany urządzenia skromnego mieszkanka; nie tylko zaś przedstawiła jak najdokładniejszy obraz tego małżeńskiego raju, upiękzonego w swojej wyobraźni, ale nadto poddawała mężowi projekta, ażeby łatwym a tanim kosztem dojść do rozmaitych sprzętów i ozdób w domu.

— Już ja biorę na siebie układ ze stolarzem o łóżko — mówiła — jestem pewna, że nam je dostarczy na miesięczne wypłaty; nie będziesz Bolesciu czuł tego wydatku, a to samo zrobimy też i z kupnem kółder.

Tak rozsnuwała różowe a bardzo zuchwałe projekta na przyszłość, dowodząc mężowi w sposób przekonywający, że do wszystkiego dojść można w drodze miesięcznych wypłat...

Bolesław mniemał, że owe plany nie są niczym innym, jak tylko owocem bogatą fantazyi, któ-

ra—podług niego - odznaczała się Wandzia. Oby się był nie mylił!.

Zaczął się piękny czerwiec. Małżeństwo nasze wysłało imieninowe dary na wieś do ojca. Zanieski gorliwie pracował nad wykończeniem obstalunków, Wanda robiła w domu porządki, przygotowywała mężowi posiłek, bawiła się rozsnuwaniem coraz nowych planów i po swojemu zawsze kasłała, chrypla, traciła głos, odczuwała suchość w gardle.

Jakoś na tydzień przed imieninami Wandzi, jednego dnia około godziny jedenastej zrana, Bolesław spostrzegł, iż żona ma nadzwyczajne wypieki na policzkach, że oczy połyskują jęj niezwykle, a usta są spalone. Mimo to, Wanda mówiła dużo, a głos się jęj bardzo mienił. Kiedy nadeszła zwykła obiadowa godzina, oboje małżonkowie zasiedli do stołu, ale ona jeść dziś nie mogła; brakowało jęj apetytu i przelykanie pokarmu było niezmiernie utrudnione. Pięrszsy to raz wyznała przed mężem, że jest słaba i musi odpocząć w łóżku. Zasnęła mocno, wnet się jednak ocknęła, narzekając na dokuczliwą duszność. Bolesław od dwóch dni już wykończył robotę i otrzymał za nią stosunkowo bardzo dobrą zapłatę; postanowił on sobie, że na imieniny ofiaruje żonie nie tylko owe obstalowane koszule, ale także zamówił na dzień ten kilka doniczek z kwiatami.

Pod wieczór Wanda popadła w jakąś dziwną

rozpacz, a noc przepędziła niespokojnie, mąż więc nazajutrz udał się do lekarza i zaprosił go do domu. Lekarz przybył dopiero po południu, kiedy Wanda czuła się właśnie znacznie lepiej.

Nastąpiło rozpoznanie choroby. Po długich opukiwaniach oraz należytém zbadaniu gardła, lekarz usiadł przy stoliku drzeworytnika i przepisał jakąś receptę, a jednocześnie zostawił Bolesławowi na stole kartkę, napisaną w te słowa: „Przy chorój nie możemy otwarcie rozmawiać, musisz się więc pan koniecznie sam na sam ze mną rozmówić; oczekuję niezawodnie jutro rano o siódmój.”

Zanieski pożegnał lekarza, a kiedy rozpatrywał receptę, spostrzegł tóż i fatalną dla siebie kartkę, która mu narobiła dużo niepokoju.

Nazajutrz odwiedził lekarza, a ten zaraz na wstępie zadał mu następujące pytanie:

— Czy w rodzinie pańskiej żony nie umarł kto na suchoty?

Pytanie takie przeraziło Bolesława i odrzekł:

— O ile wiem, umarła siostra matki mojej żony... Ale czyż pan doktor znajdujesz ślady téj choroby u?...

— Tak jest! Żona pańska ma suchoty gardlane w ostatnim stopniu. Ja mam obowiązek powiedzieć to mężowi... Jesteś mężczyzną i musisz się przygotować...

— Co?.. wrzasnął Bolesław, jak gdyby go kto

wrzątkiem skropił. Niema żadnego ratunku?...
To niepodobieństwo! Ona umrzeć nie może!...

I spoglądał jak błędny w oczy lekarzowi, który z zimną krwią wziął go za rękę, mówiąc:

— Przedewszystkiém musisz się pan uspokoić, bo śmierć jest to codzienne zjawisko w rodzaju ludzkim; następnie możesz wezwać innego jeszcze lekarza, choć jestem pewien, że i z jego ust nie otrzymasz innéj wiadomości... Dla żony pańskiej w téj chwili niema żadnego ratunku.

Bolesław wybiegł na miasto jak szalony, popędził do jednego z tych lekarzy, co to mają pierwszorzędną sławę, przemówił do niego odrazu na wstępie błaganiem i zaklęciem, ażeby zechciał zbadać chorobę Wandy. Sławny lekarz nie odmówił Zanieskiemu i niebawem pospieszył do choréj; zrobił on swoje, obejrzał Wandę, a mężowi oświadczył, że poprzedni lekarz jest w zupełnym porządku.

W takich razach gdy człowiekowi odejmą lekarze nadzieję i rozum — z pomocą przychodzi Bóg, choć nareszcie i on nie pociesza. Ażeby żyć, trzeba mieć dobry organizm.

Ktoby chciał odczuć straszny stan duszy Bolesława, musiałby kochać żonę tak jak on swoją Wandę.

Jest w rodzaju ludzkim pewien dobór, w którym błogo bywa poczuwać się w parze. Zowią to miłością. Miłość taka jest wprawdzie rzadką rzeczą, jednakże nie leży ona bynajmniej poza

obębem rzeczywistości. Tylko jeden wyraz charakteryzuje dobrze ów stosunek:

Dobrali się!

Tém gorzej dla nich, że się przedwcześnie musieli rozłączyć.

Wanda w ciągu téj choroby swojej była aniołem nie kobietą. Z badań lekarzy i z całego zachowania się Bolesława zrozumiała ona odrazu, że tu chodzi o sprawy najwyższego porządku: o życie. A jednakże jój zachowanie się było spokojne i pełne godności. Trzeba tylko wiedzieć, że jój choroba miała swój charakter, że ona wspierała Wandę, podszeptowała chorój nieustannie: „Ty będziesz jeszcze zdrową i szczęśliwą!” Przyroda bowiem nie opuszcza nas nigdy.

Krzepiła się przeto niewiasta, składała ciągle dowody żywotnej energii oraz przytomności umysłu.

Nadszedł i dzień urodzin Wandy. Czerwcowe słońce powitało go uroczym promieniem, a wróble i jaskółki zaświegotały lubo do swoich piskląt. Bolesław był bez porównania daleko bardziej rozdrażniony, aniżeli jego żona. Nie spał on przez noc całą, budził go najmniejszy szelest, wstawał, zapalał światło i przyglądał się chorój. Ona spoczywała blada, zdawała się być bezsilna, lecz spokój anielski miała rozlany po twarzy. Jeden raz tylko w nocy roztwarza swe wielkie oczy, a spoglądając na męża z łagodnością rzekła:

— Czemu ty nie śpisz Bolciu? Jestem dziś zupełnie zdrową; jutro pojedziemy tramwajem do botanicznego ogrodu.

Jedenasta godzina zrana wybiła na dworcu kolei Warszawsko - Wiedeńskiej, kiedy Bolesław, siedząc przy łóżku chorąg zony, podawał jęg jakieg lekarstwo, łagodzące cierpienia. Przyjęła podaną sobie dawkę, a potem chwyciła rękę męża, przycisnęła ją do ust i mówiła:

— Wszystko przemawia za tęg, że będę zdrowa... Wtęg uczuła widać jakąs dolegliwość, bo zawołała:—Ah!.. I z tym wykrzykiem kilka grubych łez grochem stoczyło się po jęg licu.

Bolesławowi pękało serce ze wzruszenia, nie śmiał się odezwać, tylko do ust swych cisnął bładą, wychudłą rękę Wandzi; ta ręką była jakas bezwładna i zaledwie ciepła; zdawało się, że życie płącze się w nięg resztkami.

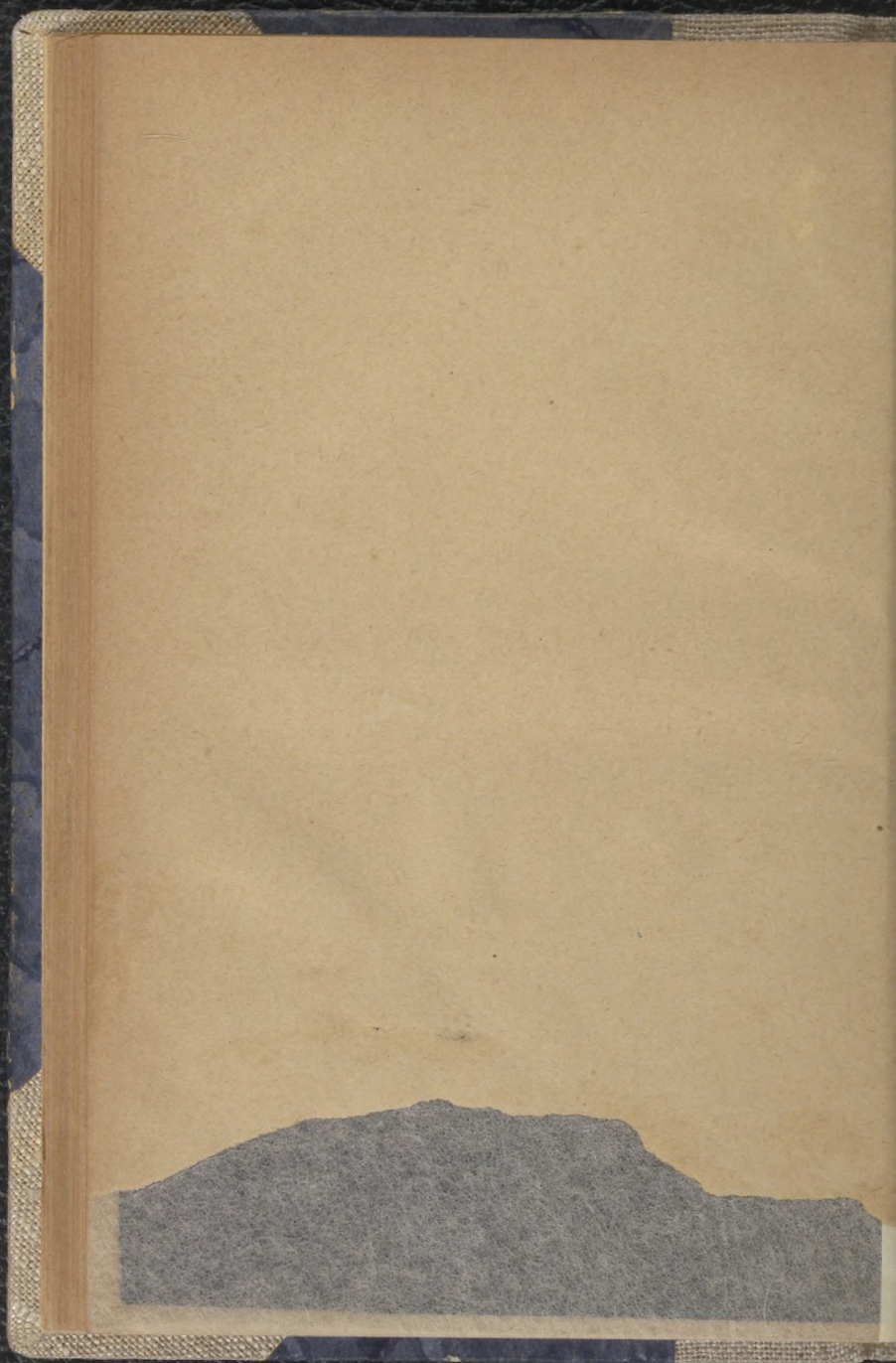
W tym właśnie czasie zapukał ktos do drzwi mieszkania i Zanieski poszedł, ażeby drzwi otworzyć. Ujrzał on przed sobą dwóch posłańców, z których jeden przynosił ze szwalni koszule, a drugi — koszyk z doniczkami od ogrodnika. Odebrał sprawunki i zapłacił kosztą.

— Niech nas pan jeszcze pokwituje z odbioru—domagali się obaj posłańcy.

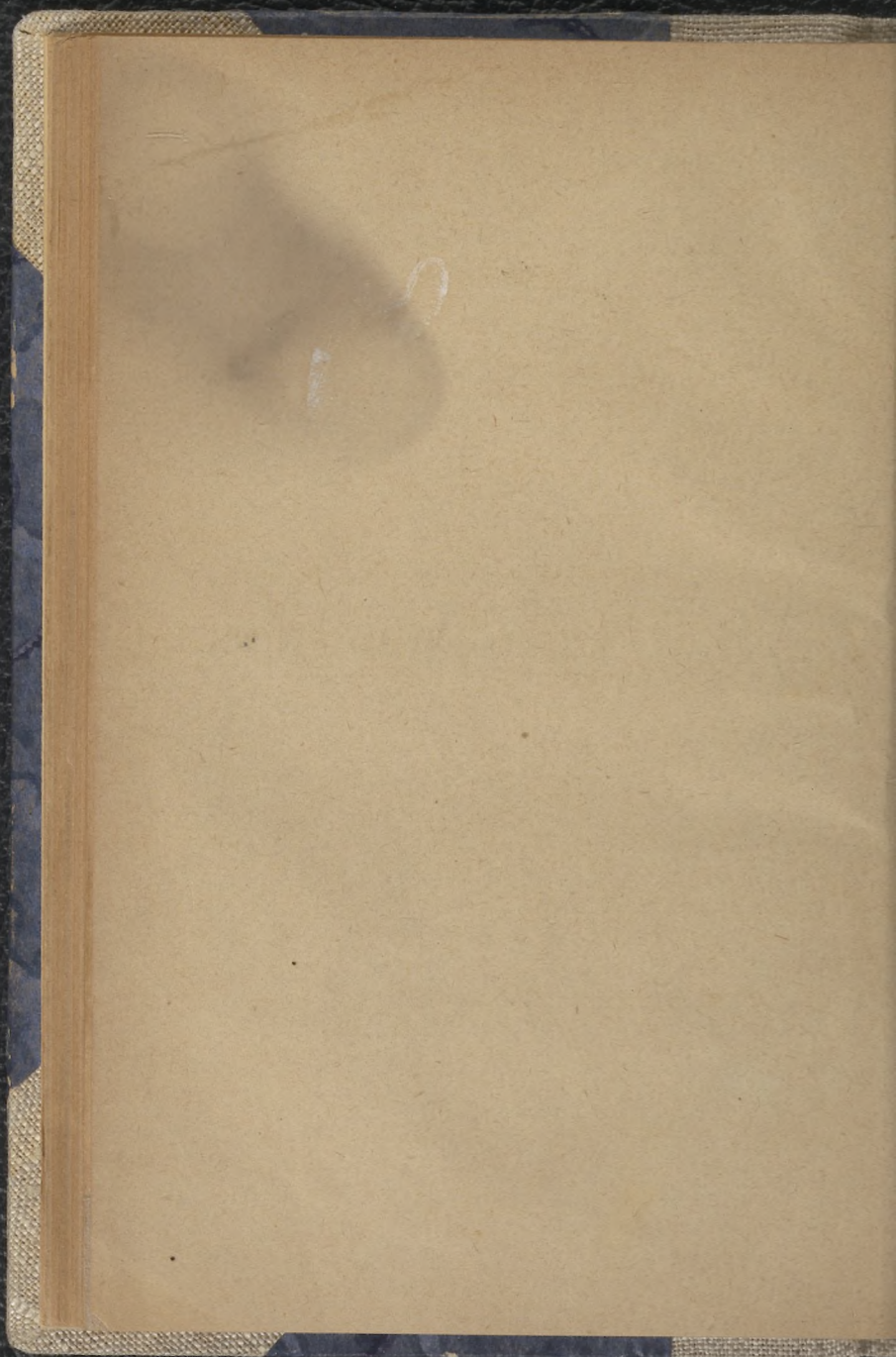
Bolesław usiadł przy stoliku i każdemu napisał odpowiednie pokwitowanie.

Kiedy nareszcie powrócił do łóżka Wandy i kiedy przemówił do nięg, przedstawiając dary na wiązanie, nie odebrał już żadnej odpowiedzi.

Koszule i kwiaty przybyły w sam raz... do trumny.



W WIELKIÉJ WŁASNOŚCI.



W WIELKIĘJ WŁASNOŚCI.

I

Jesteśmy w sferze stosunków wielkiej własności, w dobrach Dopłacińskich, będących wielką własnością hrabiego Piusa Świtańskiego. To pan z panów; ziemi posiada on dużo, żyje też po pańsku, choć spotykamy się z powszechną opinią, że ruina grozi owój wielkopańskiej fortunie. A przecież sam hrabia osobiście czuwa nad interesami majątków swoich, czyli pracuje. „Zarząd główny dóbr i interesów hrabiego Piusa Świtańskiego w Kalinowie—poczta i telegraf Płótno”—jak opiewa napis na blankietach drukowanych—posiada wprawdzie specjalną kancelaryą, lecz hrabia wydaje rozporządzenia, podpisuje je własną ręką i każe sobie sprawę zdawać ze wszystkich raportów, składanych przez rządców. Hrabia Pius jest do najwyższego stopnia ścisłym człowiekiem na punkcie życiowym i żadnej innej cnoty nie ceni wyżej nad akuratność; każda jego

czynność przypada w czasie oznaczonym punktualnie. I tak: rano, akurat o godzinie 8 i minut 25, pija herbatę z łyżeczką śmietanki, a przytém spożywa parę świeżych grzanek; ta czynność zajmuje mu ściśle 25 minut. Punkt o kwadrans na pierwszą wypija kieliszek staréj madery, a w pięć minut potém służba podaje mu na ciepłych talerzach pieczone mięso, następnie—filiżankę bulionu, później znowu mięso, kompoty, a ostatecznie—maleńką filiżankę czarnej kawy, maleńki kieliszek likieru i cygaro; ta czynność zatrudnia pana hrabiego przez półtóry godziny czasu. Po śniadaniu przez pół godzinki drzémie w głębokim fotelu, a zbudziwszy się, wychodzi na przechadzkę do ogrodu. Od godziny czwartéj do piątéj zajmuje się interesami majątkowymi, od piątéj do szóstéj daje posłuchanie rozmaitym interesantom, a od szóstéj do wpół do siódméj wypoczywa nieco po pracy, leżąc na sofie z rękoma założonemi pod głowę. O wpół do siódméj hrabia umywa sobie ręce i wdziewa na siebie inny kostyum, o siódméj staje w oknie i marzy, o wpół do ósméj zasiada do obiadu, o dziewiętéj zaczyna drzémac i drzémie do dziesiątéj, o dziesiątéj każe sobie czytać na głos gazetę, o kwadrans na jedenastą podają mu herbatę, o kwadrans na dwunastą udaje się do łóżka. Nazajutrz, o wpół do ósméj zawsze jest już na nogach. Jest to pan bardzo poważny, trzeźwo myślący, enotliwy, szanowny i szanowany. Hrabia Pius sam nie jest

bardzo pobożny, ale ceni ludzi pobożnych i tylko takimi się otacza, za co w tych czasach materyalizmu i religijnej obojętności należy mu się wdzięczność. Największe jego łaski posiada człowiek najpobożniejszy, pan Feliks Spluwacki, rodzaj pełnomocnika i totumfackiego; hrabia wyraża się tak o Spluwackim:

— To moja prawa i lewa ręka, co mówię, głowa i nogi.

Jeżeli hrabia skarżył się naprzykład na zawrót głowy albo swędzenie łopatki, Spluwacki zaraz tego samego dnia zamawiał w parafii mszę świętą na intencją powrotu do zdrowia pana hrabiego. O innych wielce pobożnych czynach tego hrabskiego oficjalisty zamierzmy, gdyż wyliczanie ich kosztowałoby dużo czasu.

II.

Dobra Dopłacińskie leżały o kilkadziesiąt mil od Kalinowa, głównej rezydencji hrabiego Świńskiego; sam hrabia Pius już od lat dziesięciu nie odwiedzał tej posiadłości, czasem tylko wysyłał Spluwackiego, aby obejrzał stan rzeczy, zmienił administracyą i t. d. To też osoba dziedzica była istnym mitem w Dopłacinie; w bytność jego autentyczną niższą hierarchią służby, jak polowi, karbowi, pozwalała sobie powątpiewać; wyższą znowu, jak pisarze, ekonomowie, myśleli sobie:

„Co tam taki dziedzic znaczy, którego nie zna za den oficjalista.” A dziedzic nie przyjeżdżał do Dopłacina dlatego, ażeby sobie nie zakłócić prawidłowej ścisłości w życiu. On sąsiedztw nawet w okolicy Kalinowa nie odwiedzał z obawy, aby nie był zmuszony zjeść coś niestrawnego. Kiedy Spluwacki nawet wyjeżdżał do Dopłacina, już hrabia był niezadowolniony, bo i to mu psuło ustalony porządek.

— Mój Spluwasiu—mawiał wtedy,—niechże cię Opatrzność prowadzi; ale mi tu będzie ciężko bez ciebie, więc staraj się prędko powracać.

Rozczulony pełnomocnik całował hrabiego w rękę, ocierał łzy z oczu i jechał do Dopłacina, jakby na wieczne wygnanie.

Mieszkalny dom pana rządecy w Dopłacinie był to stary dwór, sprawiający na widzu wrażenie średniowiecznego klasztoru. Piętrowy ten budynek przedzielały korytarze, z których na prawo i na lewo prowadziły drzwi do różnych komnat. Mury były tutaj grube, wchodowe drzwi mocne, zamczyste. Kiedy nocną porą zasunięto rygle, można było spać bezpiecznie, nie obawiając się żadnych złodziei i rabusiów, a takich nie brakowało w okolicach Dopłacina.

Właśnie w czasach, do których się odnosi nasze opowiadanie, codziennie wieści głosiły o jakimś nowym napadzie — to na dwór, to na jaką plebanią lub karcznię. W Dopłacinie, podobnie jak w całej okolicy, bardzo się obawiano napadu

łotrów, którzy podobno w bandach po dwudziestu i więcej ludzi urządzali wyprawy nocne, zabierali co było do zabrania, potem dawali nura i znikali gdzieś w lasach. Więc, jakkolwiek ufortyfikowane było mieszkanie pana rządy, jednak pamiętano tu, że na świecie niejedną już niezdobytą fortecę szturmem wzięto; ostrożność przeto radziła mieszkańcom warownego domu mieć się na baczności. To też stodoły, śpichrze, lamusy obstawiono stróżami, stajnie znowu z kołmi zaparto na żelazne zasuwę, których odjęcie wymagałoby bardzo dużo czasu, siły i zręczności, a nawet głębszego wniknięcia w tajemnice fachu ślusarskiego. Chociaż literalnie nikt w Dopłacinie nie miał pieniędzy, na któreby się łakomili złodzieje, niemniej wszyscy drżeli przed spodziewaną napaścią; drżały przedewszystkiem kobiety, należące do rodziny pana rządy Psikockiego: jego żona, trzy siostry żony i jój matka.

Jeszcze najlepiej w takich wypadkach epidemicznej trwogi jest stróżom nocnym, bo ci pilnują przedewszystkiem samych siebie i w razie niebezpieczeństwa mogą pierwsi uciekać, gdzie im się podoba.

Bandy rabusiów składały się podobno z chłopów i żydów, wszystko ludzi strasznej powierzchowności; jedni z nich mieli być obrośnięci włosiem czarnym, drudzy—rudym, byli wzrostu olbrzymiego i siły nadzwyczajnej.

Niedawno—opowiadano — napadli na plebanią

w Osieczynie i narobili tam straszną psoty: dziewczkom będącym w służbie pozawiazywali spodnice na głowie, organieście zakneblowali usta chrzaniem, psy rozpędzili na cztery wiatry, a księdzu proboszczowi zabrali wszystko co do grosza, nawet takie pieniądze, za które jeszcze mszy nie odprawił. Tragiczność i złośliwa humorystyka przeplatały wieść o złodziejach.

Mówiono, że chociaż w bandzie byli żydzi, jednak rabusie wcale nie oszczędzali żydów, ograbili naprzykład jakiegoś pachciarza ze wsi niezbyt odległej od Dopłacina; człowiekowi temu związali ręce i nogi, ubrali go w strój wiejskiej baby, wsadzili w czółno i puścili na wielki staw w Dopłacinie, gdzie pachciarz pływał do samego rana.

Od tego czasu, 'ktokolwiek obcy przejeżdżał przez Dopłacin, spoglądano nań krzywem okiem, chyba że się taki wdał w rozmowę i począł rozpowiadać, gdzie mianowicie oraz w jaki sposób rabusie dokonali ostatniego napadu. Przerazenie tak wielkie było w klasie inteligentnej, że ludowy nauczyciel z Dopłacina wychodził o zmierzchu codziennie przez czas jakiś na groblę ponad stawem, zabierał ze sobą w kieszeń co miał najbardziej wartościowego, wlaził na rozłożystą wierzbę i tam przesiadywał do świtu. Inni ludzie, bardziej uposażeni w odwagę, sypiali wprawdzie w domu, ale tak, jak myszy na pudle; ci przygotowali sobie różne gatunki broni odporniej; je-

dni zaopatrzyli się w kije, zakończone żelaznemi dzidami; drudzy przechowywali pod poduszką kawałki szys żelaznych, któremi za jedném uderzeniem można było napastnikowi wybić wszystkie zęby. Zresztą, wszystkie narzędzia, dające się użyć za oręż, na wierzch wydobyto.

Nie możemy powiedzieć, żeby się złodziei obawiał rządcą w Dopłacinie, pan Ryszard Psikocki; ten człowiek posiadał dosyć wojskowej odwagi, brakowało mu tylko cywilnej, a przeto bał się narazić każdemu, z kim miał do czynienia. Dobrą, za nadto dobrą duszą był Psikocki, człowiek eichy i przedziwnie cierpliwy; ale miał on żonę Eugenią, która się obawiała nadzwyczajnie złodziei, podczas gdy mąż znowu drżał przed jój pantoflem silniej, niż liść osieczyny wobec podmuchów akwilonu. Kogóż się nie obawiał pan rządcą w Dopłacinie! Wszystkich, a za to jego nie obawiała się ani jedna dusza. Bał się przede wszystkim plenipotentą Spluwackiego i hrabiego Piusa Świtańskiego, którego wcale nie znał. Jeżeli więc wypadło jakieś wielkie nieszczęście, pan rządcą zwlekał ze złożeniem raportu, aby się nie narazić dziedzicowi i pełnomocnikowi; przychodziło do tego, że z powodu zwłoki i wahań zgromadziło się nieraz kilkanaście nieszczęśliwych wypadków, o których ostatecznie donieść już musiał władzy. Wtedy dostawał kapelusza co się zowie, bo ani hrabia, ani Spluwacki nie bali się go wcale i nie mieli powodu oszczędzać.

Jeżeli też na którym z folwarków Dopłacińskich miał miejsce wypadek smutny pod względem gospodarskim, to Psikocki nie śmiał za to również zrobić wyrzutu ekonomowi, albo go usunąć od obowiązków, lub przedstawić zarządowi głównemu. Była to rzeczywista ofiara własnego temperamentu, męczennik życia—ów pan rządea.

III.

Do Dopłacina między innymi należał folwark Cygarówka, gdzie rządził ekonom, chłop olbrzymiego wzrostu, z wąsami wypłowiałymi, które mógłby sobie za oba uszy namotać, i z brodą prawie do pasa. Chyba żaden ze strasznych ongi Hunnów, przybyłych do Europy pod wodzą Atyli, nie posiadał postawy bardziej obudzającej trwogę, jak ów ekonom. Długie włosy porastały mu na policzkach, uszach i rękach nawet, a spod krzaczastych brwi świeciły srogością niebieskie, wypłowiałe oczy. Ten człowiek był samowładnym panem w Cygarówce, rządecę nazywał „ciepłe kluski,” plenipotent i hrabia nie istnieli dla niego, a z ludźmi obchodził się jak z dzikimi zwierzętami, które należało poskramiać. Powiadają, że piramidy egipskie i różne podziw budzące pomniki starożytności powstały tylko dzięki energicznemu używaniu kija. Może to nie jest całą prawdą, jednakże powiedziec tu musimy, iż z ca-

łego Dopłacina jedna Cygarówka przynosiła intratę hrabiemu, a autorem téj intraty był właśnie ekonom, Dominik Wielgasiewicz. Ależ ta intrata kosztowała dużo ludzkiego bólu!.. Wielgasiewicz nikogo nigdy nie skarżył do sądu, czekał tylko chwili, aby się z chłopem winowajcą spotkać w cztery oczy bez świadków i wtedy wymierzał sobie sprawiedliwość. Miał on zaś takie pięści, że ich nie potrzebował uzbrajać w żaden oręż. Bali się go wszyscy, jak ognia; nie mogło tam być mowy o nieposłuszeństwie służących, o kradzieży, bo tak zwany sprężysty ekonom, karał pierwszego lepszego. Chciano go raz okraść, lecz ujął złodzieja i tak zbił, że złodziej pół roku odchorował i zaniechał kradzieży we dworze. Usiłowano go także puścić z dymem, ale jakoś miał przecucie, nie spał wtedy i własnymi rękami pożar ugasił; potem przyzwał do siebie stróża nownego i, nie wdając się z nim w żadną rozprawę, zbił go okrutnie; swoją drogą sprawił srogą łaźnię karbowemu, który o świcie przyszedł do niego po klucze od stodoł.

Psikocki zachowywał z Wielgasiewiczem jak najlepsze stosunki i przedstawiał go kilkakrotnie do gratyfikacji głównemu zarządowi; gratyfikacyą zatwierdzono, a jeżeli ekonom pieniędzy nie oglądał, to tylko dlatego, że ich w kasie Dopłacińskiej wечно brakowało.

Bywały zdarzenia trudne, z których panu rządcy ciężko było wybrnąć,—wówczas albo wsiadał

na konia i osobiście jechał do Cygarówki, albo wysłał konnego, zapraszając Wielgasiewicza na naradę do Dopłacina.

W tym Dopłacinie jednego roku obrodziła się wspaniała pszenica, rosła gęsto „jak las,” albo lepiej „jak mur.” Psikocki cieszył się, że przecież prawdopodobnie będą znaczne dochody. Atoli, kiedy brzegami przejeżdżał konno i paśł oczym widokiem zachwycającej oziminy, przyszło mu do głowy przekonać się, czy też i w środku niwy jest taki sam urodzaj, jak na krańcach; skierował przeto konia w bruzdę, puszczając się przez łąn cały. O mało teraz pan rządcą nie zapłakał, ujrawszy, że prześliczna pszenica całymi zagonami jest wyżnięta już przez jakichś szkodników. Gdy strapiiony powrócił do domu, opowiedział swój kłopot żonie; ale ona go sfukała i czyniła wyrzuty, że jest mało energiczny, a z ludem sobie radzić nie umie.

— Ciekawym też, coby w takim wypadku zrobił Wielgasiewicz? — myślał zmartwiony Psikocki i wysłał gońca do Cygarówki, zapraszając pana ekonoma na naradę.

Ekonom wsiadł czempredzój na swego bułanego wałacha i zjawił się w Dopłacinie. Psikocki i Wielgasiewicz pojechali teraz w pole, a rządcą, ukazując pasy wyżniętego zboża, pytał:

— Cóż tu zrobić mój panie? Jak znaleźć szkodnika?

— Nic łatwiejszego — odparł Wielgasiewicz; — tu

wszyscy kradli tę pszenicę, więc trzeba tylko pierwszemu, kto się nasunie, sprawić ucziwe lanie, a on innych wyda.

— Co pan mówisz? Jak można bić pierwszego lepszego! To przecież krzyżująca niesprawiedliwość! — zawołał Psikocki.

— Gdzie wszyscy są złodzieje, tam się nikogo niesprawiedliwie bije—odpowiedział ekonom.— Niech tylko pan rządca mnie zostawi przeprowadzenie śledztwa, a złodziei wnet będziemy mieli w rękach.

— Ale owszem, owszem! Rób pan, co chcesz; ja głowę tracę już, jak tu się usprawiedliwić przed zarządem; gotowi mnie jeszcze o kradzież posądzić.

Wtém podczas owój rozmowy, gdzieś w dali poza pszenicą rozległ się trzask z bata owczarskiego. Wielgasiewicz przez chwilę popatrzył w tym kierunku, a potém rzekł:

— No, Pan Bóg oto oddaje nam w ręce szkodnika! Ten, który teraz z bata trzasnął, jest złodziejem.

Zaledwie te słowa wyrzekł, dał łydkę bułanemu, aż się koniowi w brzuchu odezwało, i w pełnym ewale popędził w kierunku, skąd się rozległ trzask z bata. To owczarz z Dopłacina paśł właśnie owce i przypadkiem parę razy z bata sobie wypanił. Wielgasiewicz dopadł do niego i, niewiele myśląc, począł go batem okładać, przyczém bynajmniej ręki nie żałował, a wykrzykiwał nieustannie:

— Mów mi zaraz, łajdaku, kiedy, jak i kto wyżył tam pszenicę!

— Oweczarz uciekał, jak wąż się kręcił, — nic mu to nie pomogło, baty raz po raz nań spadały i cięły najrozmaitsze części ciała. Nareszcie, bi tego snadź nazbyt udreńczyły tak gęste ciosy, bo począł błagać:

— Daruj, wielmożny panie, daruj życie!

Ale Wielgasiewicza nie utrudziło to biecie, młócił, a pytanie swoje powtarzał, dodając:

— Musisz mi, kondlu, wszystko wyśpiewać, a nie, to duszę z ciebie wytrzęsę!

Dopióróż oweczarz, na kolanach klęcząc, począł robić wyznanie grzechów:

— Toć moja baba odrobinę ino wyżyła, a pan mię bez miłosierdzia katuje! Oweczarz z Kobyłej Woli więcéj kradnie i nikt mu nic nie mówi.

Na te słowa Wielgasiewicz bić przestał i rzekł poważnie:

— Widzisz mój Koprze, tegom chciał. Bardzo dobrze, bardzo dobrze!.. Mitręga, oweczarz w Kobyłej Woli, kradnie... O, ja wiem, to huncwot, złodziej! Gdzie tobie do niego! A co on kradnie?

Koper się zdawał namyślać, lecz ekonom zrobił ruch taki, że obity niebawem począł składać zeznanie, jako Mitręga naumyślnie podpędza owce pod granicę wsi sąsiedniej, dokąd przybywają chłopi z owcami chudymi, zdechlakami, które wymieniają na najpiękniejsze owce dworskie, za co

Mitrega pobiera wynagrodzenie od sztuki w momencie brzęczącej.

— Byłem tego pewny, że Mitrega złodziej! — zawołał ekonom. — Tyś zrobił, jak Bóg przykazał, jak ksiądz ludziom robić zaleca; wydałeś złodzieja, tak trzeba postępować; ale musisz mu to w oczy powiedzieć...

— A cóżbym nie miał powiedzieć; czy to ludzie nie wiedzą? — odrzekł Koper.

Teraz ekonom z Cygarówki znowu dał łydkę bułanemu i popędził miedzą, aż ziemia dudniła. Koper spoglądał za nim przez chwilę, potem powstał z kłęzącego położenia, splunął pogardliwie i mruknął:

— Skąd ta zatracona sobaka wiedział o tój pszenicy i tak mi zrypał plecy, żem się o kęs pod ziemię nie wkopał!.. Musi czarownik z niego... Pedają, co ma za pazurem ziele takie...

Wielgasiewicz w lansadach wrócił do Psikockiego, który zdaleka nań oczekiwał, i, osadzając na miejscu konia, rzekł:

— Panie rządcu, nie jednego złodzieja, ale dwóch ująłem! Nietylko takiego, który pszenicę wyżynał, ale jeszcze innego, który owcę za dopłatą wymienia na braki.

I szczegółowo opowiedział wszystko.

Psikocki brał się za głowę, słysząc całą tę historią, a w duszy sobie myślał:

— Co to za genialny człowiek ten Wielgasiewicz!

Potém zaś rzekł:

— Mój panie Wielgasiewicz, i cóż tu zrobić z takimi złodziejami? Trzeba do sądu oddać chyba całą sprawę?

— Broń Panie Boże! — zawołał ekonom. — Nie można władzy z rąk swoich wypuszczać! Jak to raz bestye przewąchają, że się jest słabym, cały Dopłacin dyabli wezmą.

Rządca westchnął i czekał, aż mu Wielgasiewicz udzieli rady co zrobić.

— Trzeba ukarać bardzo suruwo, jak najsurowiej, panie rządco! — wołał ekonom z Cygarówki. — Trzeba zerznąć skórę, innego sposobu niema; co im pan zabierze? Z zasług wytrącić, to będą jeszcze lepiej kradli i wtedy już słusznie, bo z biędzy... Chociaż i teraz pewno nie z dostatku kradną. Pensye od roku pozalegały...

Psikocki znowu westchnął, poczem mówił:

— Bić nie wolno, prawo zabrania; zapominasz pan, że mamy sądy!

— Ja to przecież wiem! — odparł Wielgasiewicz. — Ale czy ja mogę wytaczać 365 procesów na rok i co dzień w sądzie stawać? Cóż się wtedy zrobi z Cygarówką? Zresztą, jeżeli panu rządcy o to chodzi, ażeby tych dwóch złodziei, których właśnie ująłem, nie bić samemu, to ja mam sposób na nich doskonały.

— Cóż za sposób?

— Niech pan rządca mnie odda w ręce spr-

wę, a ja ją tak pokieruję, że oni się sami ukarzą lepiej, niżbyśmy ich ukarać byli w stanie...

— Rób, panie Wielgasiewicz, skoro uważasz, że postąpisz dobrze... Jednak mnie przerażają barbarzyńskie i nieludzkie środki postępowania z ludem.

Ekonom z Cygarówki uśmiechnął się ironicznie, jakby chciał powiedzieć:

— Po co się bierzesz do gospodarstwa?

Pod dworem w Dopłacinie, o zmroku już można było widzieć dwóch owczarzy—Kopra i Mitręgę, którzy się tu stawili na wezwanie pana rządcey. Obaj ci ludzie widocznie mieli coś do siebie na wątrobie, bo stojąc zdala jeden od drugiego, przesyłali sobie od czasu do czasu pogardliwe spojrzienia. Nareszcie wezwano ich do kancelaryi pana rządcey, gdzie się znajdował Wielgasiewicz; ten badawczo popatrzył na obu chłopów i tak mówił:

— Słyszysz ty, Mitręga, Koper powiada o tobie, że owce dworskie kradniesz i na wieś okoliczną wydajesz!

— Tak on gada na mnie, bo sam złodziej!— odparł Mitręga.—Za cóżby kupił dwie jałówki jak łanie, które trzyma na wsi u ludzi, a dworską paszę im wynosi?... Czy on to owcom nie odejmuje od gęby konieczyzny, wyki, owsa? Nawet sól wynosi do krów swoich, żeby się dobrze sprawiały...

— Hm, hm!—mruknął Wielgasiewicz, okręciwszy sobie z pięć razy wąż około palca.—I cóż ty,

Koprze, mówisz na to? Mitrega powiada, żeś złodziej ostatniej klasy...

— Wielmożny panie!—zawołał Koper. — Pieszczeka, wiatr niesie!

— A ja ci powiem—rzekł Wielgasiewicz,—że gdyby mię kto nazwał złodziejem, a ja nie ukradł, to jakbym go urznął w gębę, zęby wszystkieby mu wyleciały. Widać, mój kochany, żeś ty złodziej, kiedy słuchasz cierpliwie tego, co ci Mitrega mówi... Jakto, niewinny człowiek pozwala, żeby go od złodziei wyzywali? Co żeś ty wart?

Właśnie téj tylko podniety brakowało Koprowi; podszedł on do Mitregi tak jak kogut, mający chęć stoczyć walkę, podchodzi do innego koguta; zamierzył się, i potężny policzek spadł na twarz owczarza z Kobyléj Woli. Rozpoczęła się teraz walka, która była straszną, zaciętą; obaj przeciwnicy wrywali jeden drugiemu włosy, już znowu chwycili się wzajemnie za gardła; na policzkach krew się pokazała, odzież w strzępy leciała.

Do kancelaryi wszedł Psikocki, a Wielgasiewicz rzekł:

— Po cóż tu takich bić, kiedy oni się sami wybijają jak najlepij. Jabym przecież żadnemu z nich nie mógł sprawić takiej łaźni, jaką oni sobie tu wyprawiają.

Taka to była roztropność ekonomy z Cygarówki, wprawdzie za gorliwość niegratyfikowanego, lecz często przedstawianego do gratyfikacyi.

Innym znowu razem do śpichrza w Doplacinie dobierał się jakiś „koronny” złodziej i wykradał ziarno po korcezyku, po dwa, a schwytać go nie można było. Daremnie Psickocki robił coraz nowe znaki na zsypkach, pozmieniał zamki i nocnych stróżów, nie to wszystko nie pomogło, zboże ginęło i ginęło bez śladu. Dalejże więc przyzywać Wielgasiewicza na radę. Ekonom i w takim trudnym przypadku jeszcze sobie umiał poradzić; przedewszystkiēm wybadał dobrze, na kogo to mianowicie pada podejrzenie, i przekonał się, że obwinięnym o kradzież jest chłop komornik, który już dwa razy odsiadywał kryminał, a obecnie głównie złodziejstwem się trudni. Z takim ciężka sprawa!

A jednak dał sobie z nim radę pan Dominik Wielgasiewicz. Gdy się już wywiedział, jakimi drogami chodził ów złodziej, nazwiskiem Mateusz Piskorz, ekonom zasadził się na niego w wąwozie około stodół. Było to w letni wieczór o późnym zmierzchu. Piskorz przechodził właśnie tamtędy, o czēm Wielgasiewicz dobrze wiedział i na przechodzącego napadł niespodziewanie, trzymając w rękę dubeltówkę z odwiedzionymi kurkami. Przestraszony chłop cofnął się kilka kroków w tył, ale ekonom przyskoczył do niego, a przyłożywszy mu broń palną do piersi, wołał:

— Na kolana, złodzieju, na kolana! Módl się bo ostatnia twoja godzina już nadeszła!..

Piskorz, drżąc cały, ukłęknał. Wielgasiewicz kazał mu wówczas jedną rękę wyciągnąć do gó-

ry, a drugą położyć na lufie—i wymawiał słowa przysięgi, które chłop za nim powtarzał:

„Biorę Pana Boga i wszystkich świętych za świadków, a klnę się na tę straszną fuzyą, nabitą kulami, że już nigdy z Dopłacińskiego śpichrza nie zginie ani jedno ziarnko pszenicy. Jak mi Boga przy skonaniu potrzeba, tak przysięgi dotrzymam, a gdybym ją złamał, niech mię ta fuzya zastrzeli i dusza moja niech idzie do piekła w żywy ogień. Amen.”

— Teraz wstań, złodzieju!—zawołał Wielgasiwicz na chłopą, który się trząsał ze strachu.—Pamiętaj, że Bóg jedyny patrzy z góry na nas; On to oddał cię w moje ręce dzisiaj i pragnie, żebyś się poprawił, dlatego muszę ci dać pamiętkę.

Powiedziawszy to, ekonom pochwyił Piskorza w swoje ręce, ścisnął tak, że mu aż w żebrach trząsało, dał kilka szturchańców i wreszcie wypuścił.

Odtąd kradzieże zboża ze śpichrza zupełnie ustały.

Stopniowo coraz to więcej udziału brał ekonom z Cygarówki w sprawach zarządu dóbr Dopłacińskich; wzywano go nareszcie codziennie w celach zaprowadzenia porządku i karności.

Zdarzyło się, iż żyd Szmulka z Garwolina zakupił był w prowencie za osobnym kontraktem kawał pola z kartoflami, już przez dwór zasadzonymi. Ale kartofle się nie urodziły i widoczném było, iż izraelita zrobił bardzo zły interes; chciał przeto zrzuci-

cię się z kontraktu. Psikocki, człowiek dobry, zgodziłby się być na ustępstwa, bo dla czegoż znowu krzywdzić biédnego żyda, jeżeli się nie jest antysemitą? Ale kontrakt był potwierdzony przez pełnomocnika Spluwackiego i przez samego hrabiego Piusa Świtańskiego. Więc pan rządcą, choćby chciał, żadnego ustępstwa Szmulce zrobić nie mógł. Żyd atoli był niezmiernie natrętny, codziennie przyłaził do Dopłacina i skamlał błagał, zaklinał; nareszcie ułożył sobie w głowie, że trzeba Psikockiego doprowadzić do gniewu. „Jeżeli bymnie rządcą wybił przy świadkach — myślał Szmulka, — to się rozchoruję, wezmę świadectwo doktora i wytoczę proces w sądzie, a w taki sposób odzyskam część strat, które mię dotknęły na kontrakcie o kartofle.”

Jakoż garwoliński izraelita codziennie, za ledwie słońce weszło, już ze świadkiem, innym żydkiem, czatował przy drzwiach dworu w Dopłacinie a Psikockiego ściagał jak mara wszędzie: w domu, w polu, w stodołach, szedł za nim nawet do lasu i zawsze ze świadkiem.

Tego już było za dużo dla pana rządcy, postanowił przeto i owę sprawę przekazać do załatwienia Wielgasiewiczowi.

— Dam ja jemu świadków! — zawołał ekonom z Cygarówki i wnet jął się do zbadania stanu rzeczy.

Szmulka, gdy się dowiedział, z kim teraz będzie miał o kartofle do czynienia, przyprowadził

ze sobą do Doplacina aż dwóch świadków; był bowiem pewien znacznego uszkodzenia swego na zdrowiu, a tém samym dużego wynagrodzenia, które mu sąd w takim razie przyzna.

Po téj saméj kancelaryi, gdzie przed niedawnym czasem odegrał się krwawy dramat dwóch owczarzy — Mitregi i Kopra, wielkimi krokami przechadzał się Wielgasiewicz, już motając wąsy na palcu, już pogłaskując brodę. Pod drzwiami kancelaryi, z czapkami w rękach stało trzech żydków z Garwolina, a środkowe miejsce pomiędzy nimi zajmował właśnie Szmulka. Ekonom od czasu do czasu głos podnosił, rzucał piorunujące spojrzenia, przyskakiwał do żydów i zdawało się że lada chwila odegra się znowu krwawy dramat w kancelaryi. Szmulka, widząc, iż tym razem ma do czynienia z człowiekiem gorącym, postanowił koniecznie doprowadzić do awantury; on — zwykle uniżony, czapkujący, wyrażał się oto z coraz większym zuchwalstwem, tak że Wielgasiewicza kilka razy ręka zaświerzbiała. Kiedy narreszcie ekonom powiedział Szmulce, że jest „złodziejem i łajdakiem,” żyd odpowiedział:

— Ny, kiedy pan żydkowi takie słowo mówi, to pan taki sam...

Panowała króciutka chwila strasznego milczenia, w czasie której Wielgasiewicz krwią się zalał na twarzy, a trzech żydzi, rzędem stojący pod drzwiami, pobledli i oczy w ziemię spuścili, pokornie oczekując piorunu. Pan ekonom wnet sta-

nął przed nimi, szybko obiema rękami pochwycił za łby dwóch skrajnych świadków i trzasnął nimi o środkową głowę Szmulki. Tępy chrzęst trzech czaszek, partych olbrzymią siłą, rozległ się w kancelaryi jakoś złowrogo; żydom musiało się bardzo zaćmić w oczach, ale żadne słówko skargi z ust ich nie wyszło; jeden ze świadków chwycił za klamkę, otworzył drzwi i wyszedł w uroczystém milczeniu, za nim wysunęli się pozostali—równie spokojnie.

Kiedy wszedł Psikocki, zapytał:

— I jakżeś pan sprawę zakończył?

A Wielgasiewicz podprowadził go do okna i ukazał trzech izraelitów, sunących po drodze koło sztachet, jeden za drugim w odległości kilku kroków; szli, niby cienie Erebu, spokojni, pochyleni, utykając, z głowami opuszczonemi na piersi.

— Grzmotnąłem wszystkich trzech od jednego razu, tak, że żaden z nich nie ma świadka! Trzej ludzie, w jednej i téj samej chwili pobici, nie mogą być przecie świadkami swojego pobicia.

Ale i owa olbrzymia energia Wielgasiewicza nie zdołała zmniejszyć biedy, która się zewsząd cisnęła do wielkiej własności w Dopłacinie. Służba była oddawna niezapłacona i głód marła, a w pracy się ociągała. Żywy inwentarz już w maju jeść co nie miał i Psikockiemu serce pękało, kiedy wyszedł pomiędzy budynki gospodarskie, a ze wszystkich stron słyszał skargi skotaka, karbowych, owezarzy; skargom zaś takim towa-

rzyszyły żalodne beki owiec i cieląt, ponure ryki krów i wołów oraz utyskujące kwiki trzody chlewnój. Wszystko zdawało się krzyżeć do pana rządcy: „Gwałtu, daj jeść, jeść!”

Urywał sobie głowę Psikocki, nie wiedząc co tu począć; wzywał on i w tych kwestyach Wielgasiewicza; ale ten człowiek nie był już do takich rzeczy, wruszał tylko ramionami, mówiąc:

— Panie rządcu, i Salomon z próżnego nie należy... Trzeba zdać raport do Kalinowa, niech wiedzą, jak rzeczy stoją.

IV.

W takim rozpaczliwem położeniu nie wypadało już Psikockiemu zrobić nic innego, jak przedstawić do zarządu głównego w Kalinowie bardzo obszerny raport. Przez całe dwa dni od rana do wieczora pracował pan rządcu nad ułożeniem okropnego obrazu stanu Dopłacińskiego klucza. Nareszcie ukończył to dzieło, przeczytał je, jeszcze coś sobie przypomniał, dopisał; już miał włożyć w kopertę i wysłać na pocztę, kiedy mu na myśli stanął Wielgasiewicz, a przeto na pociechę zarządu głównego umieścił w *post-scriptum* następującą uwagę:

„Jedna tylko Cygarówka trzyma się ciągle znakomicie, a to dzięki ekonomowi, Dominikowi Wielgasiewiczowi, dla którego też mam zaszczyt

prosić o list pochwalny i wyznaczenie gratyfikacyi.”

Raport tak sporządzony, zaopatrzony numerem i przeciągnięty przez dziennik, powędrował pocztą do Kalinowa.

W kilka dni potém, hrabia Pius punkt o czwartej przyzwał do siebie pełnomocnika Spluwackiego, ażeby—jak mawiał—wspólnie z nim pracować nad ciężkimi zadaniami administracyi swoich majątków.

— Cóż mi powiesz, Spluwasiu, jakże tam idzie? Nie przysłali też przypadkiem pieniędzy z Dopłacina? Wszystko mi się zdaje, że ten majątek nie przynosi nam intraty.

— A właśnie stamtąd otrzymałem papiery — odrzekł pełnomocnik.—Krucho i kuso w Dopłacinie; na nie się nie zdały moje represalia.

— Jakto? Nie rozumiem!—zawołał hrabia. — Na Boga, mów, czy się co złego stało?

— W raporcie rządcy, co do szczegółów, jest pełno niewłaściwości, a w ogóle—obraz to bardzo przykrego stanu rzeczy.

— Słucham, słucham!.. Domyślam się nowój trucizny, zamachu na moje życie.

— Najprzód przysyłają nam do zatwierdzenia kontrakt na sprzedaż pięciuset korcy kartofli.

— To dobrze, trzeba zatwierdzić, niech ja tylko oglądam te pieniądze...

— Kontraktu zatwierdzić nie można — odrzekł

Spluwacki, — bo rządea wyraził się w nim, że korce mają być „z czubami.”

— Spluwasiu, co ty mówisz? To oni mię kra-
dną!—rzekł porywco hrabia.

— A niezawodnie, te czuby ktoś chce ukraść
panu hrabiemu—odpowiedział pełnomocnik, wzdy-
chając.

— Trzeba będzie, żebyś tam jechał, sprawdzil!..
A to łajdactwo bezczelne... korce z czubami!..

— Zapewne, przyjdzie mi jechać—odparł Splu-
wacki.—Chociaż tu jestem bardzo potrzebny pa-
nu hrabiemu, powinienem być pod ręką.

— Jakież jeszcze inne wiadomości z Dopłacina?

— Rządea donosi w raporcie, że nie mają czém
karmić inwentarza i do 16-go lipca potrzebują
samego owsa 1,074 korce i garncy 20.

— Święte Sakramenta! Bój się Boga Spluwa-
cki, toż oni mię najniezawodniej już okradli i
bardziej jeszcze okraść zamierzają! Co za bez-
czelność!.. Jakże ty myślisz?

— Musi tak być niezawodnie, skoro pan hra-
bia tak mówi.

— Gwałtu! trzeba jechać do Dopłacina, rozpe-
dzić tę kanałą poprzyjmować nowych oficyalistów
z kaucyami, a tych może nawet wypadnie pood-
dawać do kryminału... To pasztet!

Zapewne, tak trzeba będzie zrobić!—przytaki-
wał pełnomocnik.

— Cóż donoszą jeszcze więcéj?

— Oto z robotami wszystkimi stanęli, ponie-

waż najem nieopłacony jest za trzy miesiące, a służba za rok cały.

— Ratujże mię, Królowo anielska!—krzyknął hrabia.—Toż ja dzisiaj obiadu nie strawię, nie będę mógł spać w nocy! Dlaczego oni najmu i służby nie opłacili? Czy ty tego nie wiesz, Spluwasiu?

— Rządca donosi w raporcie, że zupełnie nie mają pieniędzy.

— Więc mnie kradną, kradną!.. Trzeba jechać, jechać czempredzój?

— Panie hrabio, to jest nie wszystko — rzekł pełnomocnik.—Czytam w raporcie, że z dóbr Dopłacińskich należy się 2,000 rs. składki na reparaacyą kościoła i powiat to energicznie egzekwuje.

— Święty Stanisławie, patronie korony polskiej! — zawołał hrabia Pius. — To zbir nie człowiek ten rządca! Jakże on się nazywa?

— Psikocki, panie hrabio—odrzekł pełnomocnik.

— Co za nazwisko! okropność!.. To musi być skończony złodziej, łajdak... Czyś go ty przyjmował do służby?

— Ja, panie hrabio; wszystko przemawiało za tém, że jest uczciwym człowiekiem; miał bardzo chlubne świadectwa z podpisem hrabiny Złotrzeckiej, księcia Miłokojskiego; i hrabiego Załyżwińskiego.

— Co to dla mnie znaczy?.. Przedewszystkiém, mój Spluwasiu, nigdy mi nie wspominaj żadnego Miłokojskiego; nienawidzę téj rodziny od czasów

konfederacyi... z powodu moich strapień zapomniałem, jak ona się tam nazywa...

— Targowicka, jeśli się nie mylę!... — rzekł pełnomocnik.

— Żadnych nauk, mój Spluwasiu! Masz milczeć, jeśli ja zapomniałem...

— W raporcie z Dopłacina rządcą pisze, że sortyer za uporządkowanie owczarni na siedmiu folwarkach żąda od dwóch lat wynagrodzenia, a kasa nie ma pieniędzy, żeby zapłacić.

— Wieleż tam takiemu sortyerowi może się należeć?..

Tysiąc osmdziesiąt pięć rubli — powiedział Spluwacki.

— Najśłodsze imię Jezus!—zawoła hrabia Świ-
tański.—Jacyż to zbrodniarze! Skądże może po-
chodzić taki sortyer owiec?

— O ile wiem, pochodzi on z Poznania — mówił pełnomocnik.

— Z Poznania, naturalnie, taki może pochodzić tylko z Poznania! Nieszczęśliwy kraj, który razily na wieki protestanckie naleciałości.

— Można tego być pewnym—bąknął Spluwacki.—Zważywszy, iż ksiądz Bismark...

— Żadnych uwag, mój Spluwasiu!... Polityka nie należy do ciebie!.. Trzeba zaraz jechać do Dopłacina. Ja pojedę i biorę cię ze sobą, rozumiesz, Spluwasiu! Poświęcenie robię nadzwyczajne; ale trudno, znam moje obowiązki dla kraju.

— Czy pan hrabia każe zamówić mszę na intencją naszej podróży?

— A jakże! wotywę, rozumiesz, Spluwasiu... Sam jedź zaraz na plebanią i zamów. Po nabożeństwie pojedziemy do Dopłacina. Wpadniemy niespodziewanie, incognito; sprawdzimy rejestra, kasę; wykryjemy nadużycia, rozpędzimy całą tę hołotę.

— Nawet i ekonoma z Cygarówki? — pytał Spluwacki.

— Nawet i ekonoma z Cygarówki! — zawołał hrabia Pius.—Jak raz wyruszę z Kalinowa, niech mię poczują te łotry! Dam ja im sortyera i reperacyą kościoła...

Jakoż, nazajutrz po wotywie hrabia Świtański i pełnomocnik Spluwacki wyruszyli w podróż, celem której miała być nadzwyczajna lustracya nieprodukeyjnego klucza Dopłacińskiego.

V.

Podczas tego, gdy hrabia Pius, Spluwacki oraz podręczny kamerdyner hrabiego przebywali przestrzeń, dzielącą Kalinów od Dopłacina, w Dopłacinie nastąpiły ważne wypadki, które bardziej jeszcze utrudniały życie panu rządcy Psikoockiemu. Jedną mianowicie nocy banda złodziei, o której już wspominaliśmy, wtargnęła do Kobylj Woli, folwarku najbliższego od Dopłacina; tutaj rabusie zabrali najlepsze konie i woły, a przy-

tém pobili służbę folwarczną; ekonoma zaś, stawiającego dosyć energiczny opór, zawiązali w wor-ku płóciennym i zawiesili w polu na gałęzi samotnej gruszy. Zdarzenie to oddziało silnie na nerwy pani Eugenii Psikockiej, żony pana rządcy, przeraziło téż nadzwyczajnie jej siostry i matkę. Jeżeli howiem złodzieje byli już w Kobyléj Woli, to mogli oni lada dzień pojawić się w Dopłacinie. Wieści przybierały teraz charakter coraz bardziej przerażający. Około lasu, na gościńcu, widywano osobliwych jakichś ludzi obcych, których brano za opryszków, robiących zwiady. Pan rządcza pod naciskiem kobiet zdwoił środki ostrożności, a przy domu mieszkalnym kazał postawić specjalnego stróża, chłopca znanego z siły. Oprócz tego wszystkiego, pani rządczyni wymogła jeszcze na mężu, aby Wielgasiewicz przyjeżdżał z Cygarówki do Dopłacina na noc i to przez cały czas, dopóki niebezpieczeństwo napadu nie przeminie.

Było to z soboty na niedzielę, kiedy o samym zmroku przyjechał do Dopłacina po raz pierwszy Wielgasiewicz na swym bułanym wałachu; kobietom przybyło zaraz otuchy na widok słynnego silacza, dającego niezawodnie rękojmię bezpieczeństwa. To téż ekonomę z Cygarówki przyjmowano u pana rządcy bardzo gościnnie. A lubiał ten człowiek dużo oraz dobrze jeść i pić.

Po kolacyi i po herbacie, ażeby jak największą część ciemnej nocy spędzić przy świetle i na czuwaniu, grano w karty, w tak zwaną grę wpół

do dwunastej czyli w elbika. Ekonomowi z Cygarówki sprzyjało szczęście i wszystkich ogrywał. Zabawa owa przeciągnęła się aż do drugiej godziny. Stróż domu—bo nie wiedział nawet, czy Wielgasiewicz odjedzie w nocy z Dopłacina, czy zanocuje, i z tego powodu nie zamknął obronnych drzwi wchodowych, lecz je zostawił otworem, widząc ciągle światło w oknach mieszkania pana rządcy. Uważał on i straż swoją za zbyteczną, a przeto położył się za węglem domu i usnął; spał jak kamień.

Gdy ukończono grę w karty, rozmawiano jeszcze przez czas jakiś o złodziejach, z którymi Wielgasiewicz nie jeden raz miał do czynienia w życiu i zawsze tryumfował. Jego opowieści o różnych strasznych wypadkach fantastycznie nastroiły umysły kobiet, a serca usposobiły się do bojaźliwego bicia. W takim też usposobieniu udali się wszyscy nareszcie na spoczynek.

Najpierwsze drzwi w korytarzu wiodły do pokoju, zajmowanego przez trzy siostry i matkę Psikockiej; następne zaraz z kolei drzwi prowadziły znowu do małżeńskiej sypialni państwa Psikockich; a poza temi drzwiami były inne jeszcze, wiodące do pokoju, przeznaczonego właśnie na nocleg dla Wielgasiewicza.

Tak się miały sprawy w Dopłacinie, kiedy tymczasem od najbliższej stacji kolei żelaznej, wynajawszy sobie skromny ekwipaż, hrabia Pius Świtański podążał do dóbr swoich wraz ze Splu-

wackim i kamerdynerem. Postanowił on sobie wpaść do Dopłacina nocną porą, a niespodziewanie tak, iżby ofycyalistów swoich mógł zastać zupełnie nieprzygotowanych do takich odwiedzin. Podjechawszy więc na pewną odległość od dworu, hrabia wysiadł ze swymi towarzyszami i skradł się ku mieszkaniu Psikockiego. Pod domem zastali śpiącego stróża, co się już nie podobało hrabiemu i przeto zaraz szepnął pełnomocnikowi na ucho, aby jutro niedbałego stróża ze służby oddalić.

Spluwacki znał rozkład domu, przeto szedł naprzód, a za nim hrabia i kamerdyner. Trzech naszych podróżnych, przebywszy schody, dostało się w ciemny korytarz; tutaj macali oni po drzwiach i poczęli jednocześnie pukać: hrabia dobijał się do siostr i matki pani rządczyni, kamerdyner do sypialni Psikockich, a Spluwacki zaniepokoił Wielgasiewicza.

Przestraszone kobiety narobiły okrutnego pisku i wrzasku, jak gdyby zmija do łóżek im się zakradła,—w koszulach wyskoczyły na środek izby, wzywając ratunku. Rzecz prosta, iż się to także nie podobało hrabiemu, zwłaszcza téż, że nie rozumiał, co może znaczyć takie mnóstwo niewiast w jego dobrach. Psikocki znowu, który nie wiedział, że przez niedbalstwo stróża wchodowe drzwi na dole były otwarte, wyobrażał sobie, iż je rabusie wyłamali i dostali się wewnątrz;

przeraził on się nadzwyczajnie, a ucuć twogi dodawały mu rozlegające się wrzaski kobiet.

Co się tyczy Wielgasiewicza, ten zaledwie był dokończył pacierza i położył się do łóżka, kiedy z jednéj strony posłyszał krzyki, wzywające o pomoc a z drugiéj rozległo się do drzwi jego natarczywe stukanie. O téj porze któzby mógł być inny, jak nie złodzieje? Pewno ci sami, którzy powiesili w worku ekonoma z Kobyléj Woli. Za ledwie to sobie w umyśle uprzytomnił ekonom z Cygarówki, a już, jak był, wyskoczył z łóżka i, ufny w maczugi swych pięści wypadł na korytarz. Naturalnie, że pierwszą osobą, która mu się nawinęła, był Spluwacki; jego to Wielgasiewicz poczęstował odrazu tak strasznymi kulakami w nos, w zęby, oczy, brzuch i w inne części ciała, że hrabski pełnomocnik nietylko oniemiał, i stracił przytomność, ale padł na ziemię; tu leżąc, wydawał dzikie jakieś jęki boleści, a ekonom bił ciągle. Na pomoc Spluwackiemu przybył kamerdyner—i Wielgasiewicz wyobrażał sobie, że opryszków jest w korytarzu moc nieprzeliczona, a więc należy się z nimi prędko załatwiać. Nie dziw tedy, iż gdy kamerdyner wpadł pod obuchy ekonoma, dostał w téj chwili zawrotu głowy i słuch zupełnie stracił.

Wśród tego bojowego zgiełku otwarł nareszcie drzwi i Psikocki, któremu żona dotąd nie pozwalała wyjść i życia na szwank narażać. Pan rządca wypadł w korytarz, niosąc na pole bitwy strasz-

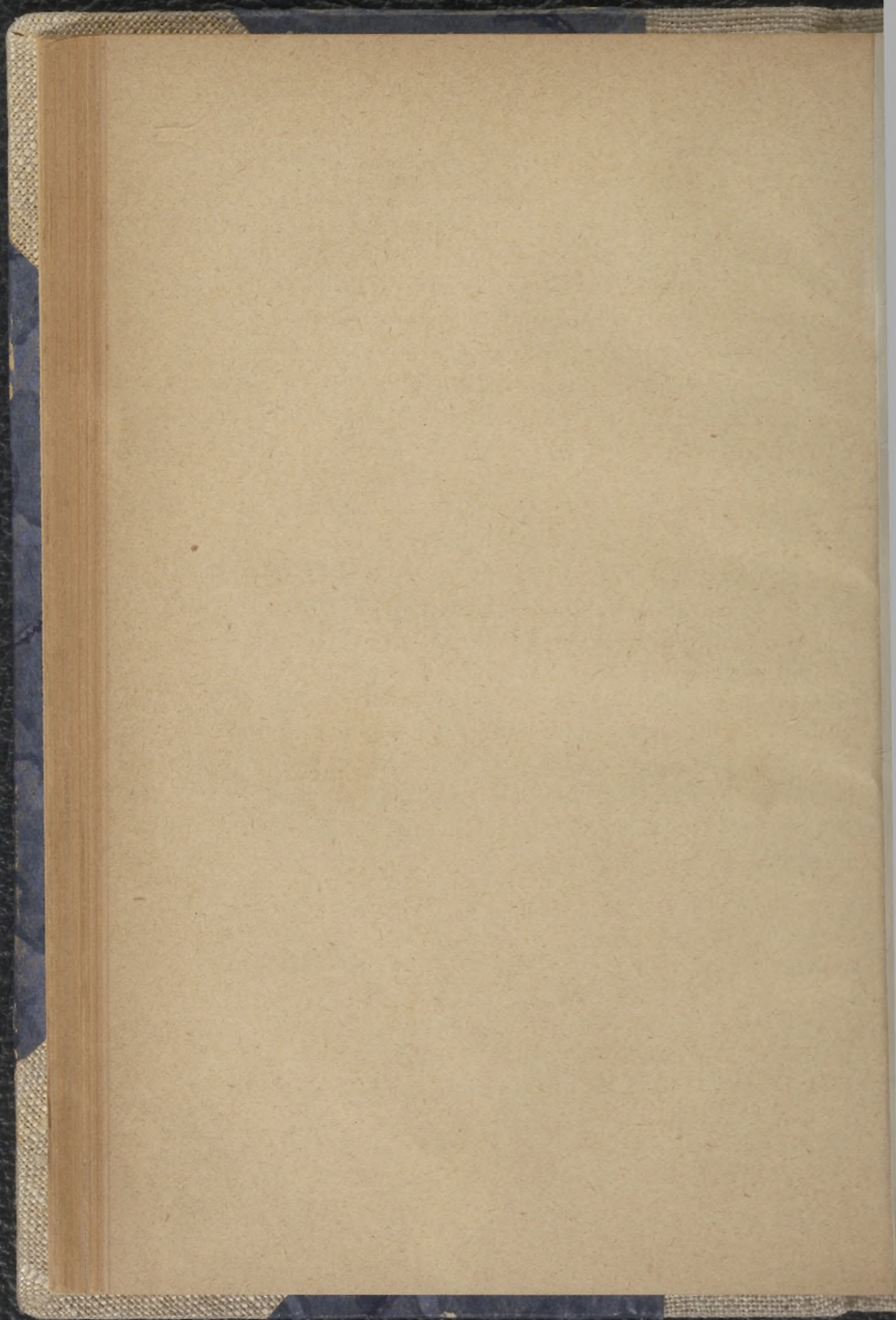
ny oręż, żelazną sztabę; przedewszystkiēm ugodził nią w plecy pana hrabiego, który, przerażony tym ciosem, począł uchodzić na schody. Psikocki zaś pędził za nim w zapale wojennym.

Zgiełk był straszny, a przeto śpiący stróż nocny zbudził się nareszcie i spieszył po schodach, mając prawdopodobnie zamiar niesienia pomocy napadniętemu domowi rządecy. Na schodach to właśnie spotkał się hrabia Pius z owym stróżem w sposób nader nieprzyjemny, ponieważ podczas starcia czołem swoim uderzył o czoło chłopca tak gwałtownie, że stróż padł jak długi na schody, a hrabia, jak szalony, ze strasznyēm guzem przebiegł po jego ciele. Wnet atoli w pogoni za hrabią nadbiegł Psikocki ze swoją sztabą żelazną, potknął się o leżącego stróża i upadł na niego. Rozpoczęła się rozpaczliwa walka, gdyż każdy z tych dwóch leżących ludzi myślał, że ma do czynienia ze złodziejem. Stróż był to chłop nadzwyczajnej siły, jak w kleszcze ujął gardło pana rządecy i dławił bez litości; Psikocki zaledwie mógł go drapać i szczypać po różnych częściach ciała.

Gdy się to działo, Wielgasiewicz tymczasem, cheiwy laurów zwycięztwa, pobitego Spluwackiego oraz kamerdynera wrzucił do celki, oddanej sobie na nocleg, gdzie zamknął ich na klucz, jako jeńców; sam zaś spieszył na schody, skąd go dochodziło charkanie dławionego rządecy i szmeru szamotania się obu walczących. Psikocki od-

dawał już prawie ostatnie tchnienie w objęciach stróża; Wielgasiewicz nie mógł zrazu poznać, kto z tych dwóch—wróg, kto przyjaciel, i przeto kilka ciosów wymierzył nawet Psikockiemu; ale stróż uważał go widocznie za nieprzyjaciela, bo puścił gardło rządcy, a czepił się ekonoma z Cygarówki. Żle teraz trafił; Wielgasiewicz porwał go za łeb, trząśł nim, jak próżnym workiem, na prawo i na lewo; potem cisnął na ziemię, przygniótł kolanem i bił, aż dusza w chłopie piszczała; narreszeie srodze zbitego wziął w obie ręce, poniósł na górę i wrzucił do celi, gdzie już był uwięził Spluwaackiego wraz z kamerdynerem.

Można sobie wyobrazić, jakie było nazajutrz położenie pana rządcy, kiedy się przekonał, iż ludzie pobici i uwięzieni w celi byli to: pełnomocnik, hrabski kamerdyner i stróż z Dopłacina. Hrabia bo dopadł do swój furmanki i uszedł w nocy do miasta najbliższego od Dopłacina, do Garwolina, skąd wydał przedewszystkiém postanowienie, ażeby całą administracyą Dopłacińską, począwszy od nocnych stróżów aż do rządcy, rozpędzić na „cztery wiatry.“



NIEZDARA.



NIEZDARA.

„Szlachetni giną.”

I.

Na jaki temat pisać?

Gwoli korzyści i wygody własnej chciałaby każda istota żywa świat ten urządzić: wytepić swoich wrogów, albo nawet i nie wrogów lecz współzawodników, a następnie—swobodnie panować. Ta idea, czy to pożądanie, przesiąknęło sobą całe stworzenie, wyrodziło mnóstwo środków i sposobów do celu wiodących, a którymi się posługuje zarówno gatunek ludzki, jak każdy inny. Na tym też fundamencie zawiązuje się praca, wszelka działalność w ogóle, i powstają dzieje przyrody żyjącej.

Wśród wszystkich jednostek danego gatunku zwycięża osobnik najenergiczniejszy, to jest najlepiej dla siebie wyciskujący wszystkie warunki otoczenia. Ze wszystkich gatunków istniejących zwycięża ten gatunek, który pod swoje panowanie umie przed innymi podbić oraz zagarnąć wszelkie warunki życia. Do konkurencyi stawają ludzie, zwierzęta, rośliny. Na hasło, dane przed wiekami, łączą się jedni z drugimi, aby

wyćpić nieprzyjaciół oraz współzawodników swoich; inną razą znowu sprzymierzeńcy walczą sami pomiędzy sobą. Potrzeba dużo trupów, aby nowe życie zakwitło. Z człowiekiem więc walczą tak dobrze bliźni jego jak tygrysy, grzechotniki, mole, komary, glisty, akonity, naparstnice i rozmaite chwasty. Nie jest to ani źle, ani dobrze. Jest to faktyczna konieczność tylko.

Jeżeli mówimy, że enota zwycięża, to znaczy, iż dla cnotliwych wyznaczamy teraz lub w przyszłości dobre warunki tryumfu. Wielkich tych zapasów świata nie należy rozważać ze stanowiska jednej danéj chwili, ale trzeba spojrzeć w wiekiustą przeszłość i przyszłość. Wówczas śmierć jednostki, konającej w zapale walki, nie przedstawi nam się jako koniec bytowania, ale jako początek nowego życia. Tryumfy życia przez śmierć są nawet wyższego rzędu hasłami czynów w następnych pokoleniach. Jest na świecie rodzaj zemsty słabszych nad mocniejszymi; do pierwszych należy przeszłość, do ostatnich—teraźniejszość. Niejeden morderca skonał z głodu, ponieważ przodkowie jego nasycali się zabójstwem. Według téj to zasady giną świetne rody, a tłum dochodzi do znaczenia. Po ludzku sprawę owę biorąc, należałoby to nazwać sprawiedliwością; dokładniej jest atoli w powyższych kwestyach widzieć jedynie związek nigdzie nieprzerwanych i nigdzie nieustających przyczyn a skutków.

Może kto powie, iż to jest smutne. Dlaczego

smutne, jeśli się rzeczy istotnie tak mają? Chyba dlatego, że zrzec się przychodzi pewnych ustalonych poglądów, że przywykliśmy uważać cnotę jako przymiot, wynikający z uczuć bezinteresowności. Tymczasem cnota wszelka jest koniecznością w danym razie, a opłaca się sówicie wcześniej lub później; jeżeli zaś na cnotcie nie zarabia jednostka, to zarabia cały gatunek, do którego jednostka się zalicza.

* * *

Bohaterowie niekoniecznie rosną i dojrzewają w wysokich ludzkich rodach; dużo ich żyje w pogiębionych warstwach społecznych. Wyzwała się siła człowieczego ducha, pre w świat szeroki i działa. Najczęściej nie słyszemy westchnień, wywołanych przez zupełnie szczere uczucia; zwykle nie znamy czynów skromnych a napiętnowanych najszczytniejszą energią woli; hasła te mogą być skazane jednak na nieuniknioną zagładę. Bo wspaniały dramat przyrody sunie od wieków, ludzie i wszystkie istoty żywe pragną, dążą, działają, giną, nie wiedząc weale, że są tworam i narzędziami wielkich praw, przenikających sobą odwieczną przyrodę. Człowiek to tylko jedna cząstka, jeden czynnik, to wytwór i nieznamczna przyczyna licznych przeobrażeń przyszłych. On mniema, że rządzi i włada, a on tylko żyje i działa, bo nie chceć mu niewolno. Niema żadnych zasług wobec tych praw nieubłaganych,

gdzie obowiązek oraz heroizm poświęcenia nie stanowią żadnej dowolności. Wszak zawsze i nieustannie ktoś poświęcać się musi, aby innym byt zapewnić. Rodzice—za dzieci, jednostki—za społeczeństwo. Prawo życia musi obejmować wszystkie życiowe przypadłości w całej ich szerokiej analizie. To prawo nie może wyłączać ani wzniosłych poświęceń, ani niskiego egoizmu. Ono nie obejmuje tylko tego, czego w życiu brakuje. Jest konieczność pracy dla zachowania siebie; jest konieczność zachowania siebie dla zachowania gatunku. Jest konieczność śmierci, aby był postęp, aby zmiana nowa przerodziła stare gatunki.

Jest w nas ciekawość poznania skrytych sprzężyn, według których człowiek działa i przyczynia się do przeobrażenia świata, o ile musi. Ciekawym jest dla nas przyglądanie się czynnikom, które pobudzają ludzkość do uczucia, myślenia i działania. I ta ciekawość podchodzi również pod wielkie prawo życia, które jest jedno na całą ziemię. Ale ani siebie, ani świata nie zdołamy zbadać; możemy się tylko przyjrzeć światu i sobie samym, w tym świecie umieszczonym. Tyle akurat jest dla nas naturalne, normalne, konieczne. Jako istoty skończone, nie zdołamy nigdy zrozumieć najdalszej przeszłości i najodleglejszej przyszłości. Wzdłuż, wszerz i w głąb ani nie dosięgniemy, ani sobie pojąć o tém nie wytworzymy. Jako małeńkie ułamki i okruchy, możemy jedynie cząstki prawdy badać. Te cząst-

ki to nasza własna, ludzka prawda tylko. Jak dla małego niemowlęcia tajemnicę stanowi jego przyjście na świat i cele życia, tak dla nas, dzieci przyrody, tajemnicą jest nasze pojawienie się na ziemi, jako téż prawo, według którego kieruje się i odbywa nasz byt całkowity. I to także jest zupełnie normalne oraz naturalne, podobnie jak brak mowy ustnej oraz wyższego myślenia w społeczeństwie mrówek. W naszych myślach i uczuciach, tak samo jak chorobach i w zdrowiu, nie może istnieć żadna nadnaturalność ani nadzwyczajność.

* * *

Zima jest rozkoszą chyba nieorganicznej przyrody, a klęską żywych stworzeń; ale jest ona i przygotowaniem do nowego życia. Tak dużo zależy w świecie na temperaturze; do niej stosują się gatunki ruchu i spoczynku wszystkich ciał, jakie istnieją. Ciecze, gazy, ciała stałe, organizmy i nieorganizmy (przez temperaturę są tём, czём są.

Jako żywi, lubimy wiosnę! Patrzymy pod jasne słońce: jaskółki pływają w drgającym świetle, wierzba i topola otrząsają kotki swoje z puchu, a puchy ich lecą lekko na wyścigi z jaskółką. Zielonym włosem liścia kryje się drzewo kasztanu, a z kwiatków bzu spadają na nas wonne pyły, z paków się sypią łuski żywiczne. W zielonej trawie jaskry błyszczą, jak dukaty wiosen-

nój przyrody. Wierzba im zasłoniła słońce i rzadkimi jeszcze liśćmi rzuciła na nie ruchomą siatkę cienia. Gdy zaś zefir listkiem na drzewie potrąci, ruch się ten na cieniu po ziemi odbija. Listki wierzby, jak dzwonki się trzęsą. A wśród konarów wierzby od rana słyhać istny koncert wróbli: piszczą, świegocą, gwizdają, niby prze-drzeźniając naprzekór jeden drugiemu. Dwa z nich gonią się, wpadły w trawę: czy się czubią, czy kochają? A inny wypadł ze środka zieleni zagęszczonej, wleciał prostopadle w górę, chwycił w lot białego motyla i w powrocie gdzieś między liściem utonął. Słyhać i pisk wróblj dziatwy, jak na rodziców o pokarm woła.

Podrasta z dnia na dzień i wzmagą się siła życia. Dokoła jaskrów i dzwonek liście ziół różnych z trawy się wznoszą; podobne one kształtem do narzędzi rolniczych: niby rydle, motyki, widły i łopaty; to szczawie, rdesty, babki, osty, skrzyppy i starce.

Młodzieńcza siła słońca życie rozlewa, duszę przyrodzie daje; żary jego łona przesywają łona matki rodzicielki i w głębi cicho wypracowują wieczne arcydzieła organizacyi. Miłość się szerzy na padole płaczu, iskry boga miłości świat pałą. Słońce żyć każe tworom ziemskim. I tak spełnia się dziś oto tajemnica stworzenia. W świetle, w ciepłe, w powodzi promieni, w szczęściu, w upojeniu lubj rozkoszy, w zapomnieniu cierpienia, w miłości—początek życia. Klują się z pa-

ków obfite kwiaty, barwne i wonne, jak wielkie ideje z duszy mędrca. Wielka to chwila!... Nigdy nieskończony proces świata jest w ruchu. Dzia-
twa ziemi na świat przychodzi, a słońce w siedm
barw swoich ją przyodziewa. Kwiaty z motyla-
mi i ptastwem w purpurę się stroją; bujną czu-
pryną młodziuchna trawa ziemię pokryła; bratek
ze stokrotką, fiołkiem, pierwiosnkiem i lilią świat
już ujrzały. Rodzą się w lasach sasanki i kon-
wale, a przy księżycu w noc ciepłą po rosie pa-
jaki swe siatki z własnego jedwabiu snują.

Ileż na wiosnę odcieni wśród samej zieloności!
Tam gąszcz liści, jak malachit, połyskuje świet-
nie; przy nim drzewo prawie o czarnej zieleni;
lub przy białych domkach ciemno odbijają krza-
ki bzu tureckiego. A w dali, jako czarne plamy
na niebie, widnieją bory. Nic nie jest piękniej
seledynowe nad świeżutkie lny nasze. Wierzbina
znowu z osiką—jakby je srebrny pyłek posypał.
Znajdziesz w zieloności wszystkie barwy odbite.
Ma wiosna zieleń czerwono-rdzawą, kiedy się gry-
ka lub buczyna krwią niby oblewa. Boby i ka-
pusty nasze w zieloności modrzą, niebieszczą się
zdala, a precudnie światłą jest pod lasem zielo-
ność młodziutkiego dębezaka. Po polach grusze
samotne popielato szarzeją, a szorstki liść kartofla
prawie się czerni na chłopskim zagonie.

Lęgnie się młode potomstwo zwierząt w ukry-
ciu przed wrogami gatunku. Sam tylko człowiek
mniej się obawia tych jawnych wrogów, bo dziś

już żadne krwiożercze zwierzę nie pożre bezkar-
nie dzieci jego, jak ongi. Wielkie olbrzymy mordui
ubezwładnione giną bez ratunku na ziemi w pań-
stwie człowieka. Lecz za to maleńka bakteria
wdziera się do wnętrza ludzkiego ciała; ona, jak
mściciel pomordowanych i wytępionych gatunków,
niewidzialnie zadaje cios śmiertelny, bo według
odwiecznego prawa: podatek trupów winien być
zapłacony przyrodzie, bo wszelkiego życia na zie-
mi tyle tylko być może, ile go być musi. Śmierć
jest granicą życiowego ruchu, w śmierć ten rach
zostaje wessany i w niej utajony, aby znowu
zmartwychwstał, aby dał ze siebie naturze nowe
życie. Bez śmierci nie się nie odrodzi. Czy jest
taki kres i dla życia całej znanéj nam przyrody?
Czy ziemia nasza ze swego życia płaci także podatek
na rzecz jakiegoś przyszłego koniecznego organizmu?

Kończy się mój widnokrąg za niwą, za łąką
i na lesie, na górze błękit nieba wspierać się
zdaje. Ja tylko widzę po łąkach trawy i smuł-
ki z lniankami, jak się na wyścięgi przerastają
i białe bawelnice jak puch łabędzi. Widzę
niwy żytnie, jęczmienne, owsiane: ognicha je zu-
pełnie zarosła; zda się, że to nie chwast, lecz że
słońce promieniami swymi tak je bogato zalalo.

Aby więcéj widzieć, przedrzeć się trzeba duszą
poza granice wszystkich horyzontów méj ziemi,
wznieść się i zobaczyć jeden wielki horyzont kra-
ju. Oczyma duszy trzeba zbadać jego dzieje,
sercem i rozumem wnikać w tajemne głębin.

Całym życiem, całym jestestwem trzeba wziąć udział w boskiej naturze, aby rozumieć szczęście i smutek ludzki, aby się śmiać i płakać z bliźni-
mi braćmi.

Kiedy mi smutno, to mi nie szczęścia nie sprawi. I wtedy chętniej patrzę na rzeczy smutne. Widzę glebę smętną jak mogiła, glebę skąpa, opuszczoną, co się klinami gdzieś w lasy wsuwa, jakby w samotność uciekła cała praca ludzka. Jakieś mdłe prosa, gryki i kartofle tu rosną, a czarni ludzie i ich pacholeta je plewią. Nie śmieją się oni; dziko i smutno patrzą, choć słońce przecie i dla nich także świeci. Las dodaje mroku i smętku téj niwie, a miedze, niby krwią, zarumieniły się kwiatem owym, co chleba głodnym nie daje. Na téj niwie żył i umarł mój bohater. To nędza, nędza straszna, rozpaczliwa!... Nieprodukeyjna praca!

Widzę bagna w odległych, pustych przestrzeniach: są torfiaste, czarne, po wierzchu pływa woda ciemna, mętna, barwy ołowianej lub rdzawej. Porasta tu trzcina i wysokie sitowie, a wśród nich ostrożnie dzika kaczka się przemyka. Kępami bujna trawa tam strzela; ale więcej widać czarnych oparzelisk, pni i korzeni na poły przegniłych, co sterczą w górę, niby jeszcze resztki obumarłego życia w konaniu. Wśród nich nie może hasać swobodny rumak, lecz żółwie pogwizdują nocą i krociami lęgną się żaby, zawodząc żalosne gwary aż po świt rumiany. Z obitymi

bokami, z nogami okutymi w pęta płata się tutaj po nocy szkapa, mizerną potrzásając grzywą, a po rowach w błocisku — rodzą się czarne pijawki. To zgnilizna nasza, zgnilizna od nędzy straszniejsza!...

Wam się podoba ta romantyczna mgła, co nad bagniskiem robaków i płazów płaszc swój rozwinęła? Jest to śmieszność waszego piękna wobec nagiej prawdy. Te mgły, to zjawiska wody, gazów i nie więcej. Biedni krytycy, którzy szukają praw piękna nie we własném uszlachetnieniu duszy!

A jeszcze na moim widnokręgu wielkim widzę mchy gęste, a gdzie mchów niema tam pniaki łyśną świecą; na piaskach — nieco ciernistych głógów i karłowatej sośniny; pieśni świerszczów brzmia tu dokoła, jak w grobie starym. Te mchy sprawiają, że ziemia ma postać obumarłej skóry; kwiaty się na niej nie śmieją, motyli nie wabia; tylko jaka zbląkana mrówka w zapale pracowitości przemknie tędy; jedynie czarne skorpiony i szczyprawki stale tutaj żyją. To nieużytki, wierne towarzysze nędzy i zgnilizny. Niwami niegdyś one były, bo znać jeszcze po nich zagony, które przed lat seciną człowiek lemieszem poorał w znoju. Szkoda zaniedbanej pracy!

I wam się podobają te romantyczne ugory, wam którzy chlebem doczesności żyć nie chcecie, jedno łowicie wieczności mannę? Sławicie piękne pustkowie. Coście zrobili tutaj, gdzie pradziadowie

olbrzymie staczali boje? Chelpicie się robotą cudzą, a z głów waszych bezczynnych myśl nie płynie, od rąk zniewieściałych praca się uchyla. Po cóż daremnie Boga wzywacie, aby wam w pracy pomagał? Patrzcie, jak wszystko dokoła szydzi z waszój modlitwy i z pochodzenia! Bo biada tym, którzy o wschodzie słońca ziewaniem dzień pozdrawiają. A słońce codziennie wschodzi i zawsze dzień zapowiada, głosi go także skowronek w powietrzu i wyśpiewują jaskółki zpod strzechy. Przyroda ze snu wyzywa dzieci swoje, budzi je do czynu szafirem, fioletem, purpurą, szkarłatem, światłem, nad które niema nic piękniejszego. Wstańcie i pracujcie ludzie!

Widzę dalej ogromne bory, knieje, ostępy, lasy i gaje. Tam zachwycę świeżego powietrza, upoję się śpiewem ptasząt, woni kwiatów czerpnę, spokoju użyję; może tam uszedł duch starój pieśni i przeobrażony zmartwychwstanie jeszcze kiedyś; pójdzie zapomniany pomiędzy ludzi i przypomni się ludziom. Czuję grozę tego geniusza w szumie drzew wiekowych, pod nogą moją odgłos kroków go wyzywa, dreszcz mię przenika w tój świątyni poezyi. Jaka tu cisza uroczysta! Śpisz, dziecko pieśni wyśpiewanych a niespełnionych— i nikt cię nie budzi. Tylko stare świerki, jak żubry brodate, szumią; brzozy, jak dziewice w girlandach, wieńcach i splotach, zdala się biela, białodrzew listkami srebrnymi trwożliwie potrząsa, a między pniakami świętych sosen, starych

matek boru pracowity żyd czarną smołę pędzi. Lecz niema już na ziemi starych dębów i buków z helmami, jak korony, na czole. Tutaj duch czasu odbywa jedyną swoją pracę, na pieniądze wszystko przerabia, bo za pieniądze wszystko się kupuje; za nie używać można, choć się używać nie godzi. Handel, handel!

Widzę nareszcie i piękne niwy w zagony porane, obłożone uwrociami; sypią się na nich kłosa młodego jęczmienia, chwieją się maki czerwone w bujnej pszenicy, z rosłego żyta wypatrują ostróżki, modraki, dryakwie. Nie szkodzi ta trocha chwastów. Bo po tych zagonach stąpa stary duch wiary nieśmiertelnej, téj wiary, która odradza życie. Widzę go wśród ludzi, jak pracowicie wdzięczne ugory pokłada, jak cicho szczepia po sadach rozstawia i dzieciom, wnukom przygotowuje miody po pasiekach. Na twym dopiero ołtarzu składam ofiarę, szlachetny duchu! Boś ty jest bóstwem prawdy, pierwiastkiem żywota. Z lepionój chaty ty naprzód idziesz wtedy, kiedy się w gruzy z łomotem wałą złociste świątynie, zamki i pałace. Tyś jeden jest prawy syn człowieczeństwa całego, gdziekolwiek ono jest na świecie. Naprzód! — to twoje hasło.

II.

Chłopskie obejście czyli gospodarstwo.

Moim smutnym bohaterem jest Jantek Mróz, chłop, który zawarł związki małżeńskie z Baską Nowakówną, panną, co stoi zapisane w aktach urzędnika stanu cywilnego parafii Budniki. Baśka przyniosła mężowi w posagu zdrowy organizm, jako narzędzie pracy, a nadto wniosła w gospodarstwo pierzynę, malowaną skrzynkę z obleczeniem i krowę z cielęciem, którą otrzymała w spadku po matce, komornicy. Służyła Baśka we dworze za niańkę, za dziewczkę przy kuchni i za pokojową.

Jantek był synem wiejskiego kołodzieja, człowieka pracowitego, ale sknery i samoluba. Stary Mróz chodził prawie w gałganach, mało mówił, mało jadał, nie pił wcale. Grosz ciulał a ciulał i chował troskliwie przed żoną oraz Jantkiem, jedynym synem. Nikomu nigdy nie pomógł, był bardzo nieużyteczliwy i znany z twardego charakteru; we wsi mawiano: „skapy jak Mróz”. Stara Mrozowa nakłęła nieraz mężowi setnie, bo szczerze kochała jedynaka, a nie miała mu za co koszuli sprawić, nie było co nawet w garnek włożyć. Z gęsi, z zarobków, z kur i prosięcia, musiała babina żywić rodzinę, a twardy jój chłop

mawiał: „Po mojej śmierci, da Bóg doczekać, rozdrapiecie wszystko; póki żyję, nikt nie ruszy mojej pracy”. Co miał grosza, to miał; nikt nie wiedział ile. Syna trzymał przy sobie, ćwiczył w swoim rzemiośle, a co oba zarobili, stary chował i dusił. Ciężką Jantek przechodził przy ojcu szkołę. Mrozowa sztukowała szmaty, łatę na łacie, męczyła się, sprzedawała jaja, pierze, chodziła do prania, grabienia siana, do żniwa, opędzała biędę jak mogła; aż nareszcie umarła. Niedługo potem przyszła i na starego ciężka choroba; stękał on na łożu boleści, a sześciu czeskich sobie żałował na postawienie baniek. Kiedy już bardzo chrzypiał i dusił się prawie, sprowadził mu Jantek księdza z Panem Bogiem. Wyspowiadał się stary Mróz u księdza, Pana Boga przyjął. A gdy ksiądz opuścił chatę, stary mruknął z legła, przyzwał syna, pokazał mu pieniądze, mówiąc:

— Chyba już umrę, bo mi źle strasznie... Chcę mieć uczciwy pochówek, ze światłem i...—Nie mógł dokończyć, ziewnął i umarł.

Miał już Jantek oddawna upatrzoną Baškę, więc z nią poszedł do ożenku. A że umiał ciosać i budować, przeto kupił u dziedzica karczowisko pod lasem, gdzie już od kilku lat chłopci zakładali kolonie i zamierzył sobie sam postawić chałupę oraz wszystko, co do chłopskiego obejścia należy.

Zakupił tedy drzewo w lesie, dęby na słupy, sosny i jodły na przyciesie, na płatwy, krokwie

oraz łąty. Materiał zwiózł na grunt i jako znawca wziął się do obrabiania. Zaczął budować w lecie. Najprzód stanęło sześć słupów, wyrozumiał bowiem nasz kolonista, że stawianie chałupy w węgiel, nie było odpowiednie do miejscowości. Na słupach niebawem znalazły się płatwy, a u dołu założone zostały przyciesi. Następnie, do téj klatki codziennie już coś nowego przybywało, tak że w początkach jesieni Baśka zalepiała gliną i mehem utykała szpary w ścianach, a Jantek poszywał wysoko do góry wzniesioną strzechę.

Przy chałupie dorobił Mróz przystawkę. Było to więc już pomieszczenie, gdzie, oprócz gospodarza z gospodynią, zmieściła się para koni, dwie krowy, wieprzak, kilka kur, gęsi, gołębie, króliki i stróż domostwa tego, pies Burek. Przytém nie brakło ani wozu, ani pługa; była i uprząż na konie, były różne narzędzia gospodarskie, począwszy od sierpa i motyki, a kończąc na cepach oraz przetaku.

W komorze téż znajdowały się różne naczynia, potrzebne w bycie chłopskim: faska na mąkę, dzieżka do zaczyniania chleba, niecki do zacierania klusków, sitko do przesiewania mąki, maśniczka, praska serna, a na źérdkach wietrzyły się szmaty i chusty, to jest męzki oraz żeński przyodzievek.

Stawianie stodoły odłożył Mróz na wiosnę, nie miał jeszcze co zbierać, więc i budynek nie był mu potrzebny. Tymczasem sprowadzał z lasu drob-

ny chróst, mech liście suche i oboje z Bašką obkładali tém wszystkiém chałupę nową oraz przystawkę. Stanęła nawet buda przy domu dla Burka.

Baška już to wspierała męża w jego czynnościach, już zajmowała się żeńskimi dziełami odżywiania wszystkiego, co tutaj było żywe; zresztą kopała na karczowisku smolne pniaki i przygotowała na zimę luezywa.

Była to obiecująca dużo społecznego interesu para pięknych i energicznych ludzi; on liczył lat trzydzieści pięć, ona nie skończyła jeszcze dwudziestu czterech.

Przez całą zimę było dużo roboty; na nalepie suszyły się różne dyszle, grabiska, biczyska, bijaki, sprychy, dzwona i pawężie.

Piłka, siekiera, ośnik i kobylica były w nieustannym ruchu. Wszystko niewykończone, nieokute dorobiono w ciągu zimy: grabie, łopaty, szufle, motyki, brony, radło i kółka do pługa.

Jantek, jako biegły kołodziej, cieśla i stolarz, nie zaniedbywał téż i domowych sprzętów; sporządził tedy stół, dwie ławy, łóżko, stolnicę.

Jak z bieza trzasł, przeszła przy téj robocie zima i otworzyły się nowe obszerne zajęcia. Jantek przygotował się do budowania stodoly, a jednocześnie urządzał studnię ze żórawiem, przeprowadzał rowy i stawiał przykopy, aby ułatwić odpływ wody ze śniegowych roztopów. Masy wody zalewały jego gospodarstwo na wszystkie strony; cała ta rolnicza kolonia, położona w nizinie,

stała na wiosnę w wodzie. Jak tylko słońce marcowe przygrzało, potoki wody pędziły z lasu i sąsiedniego wzgórza, podmywały chałupę i zbierały się na podwórku, tworząc istne jezioro. Miał z tą wodą Jantek dużo mozolu: z wielką pracą urządzał spadki i wypędzał jak mógł nieprzyjaciela. Gorzej atoli było z jego żytem, które w jesieni posiał był na nowisku. Woda przybywała tutaj nietylko ze wzgórzy, ale podchodziła z sąsiedniego bagna, przepelnionego już powodzią. Żyto przepadło, wymokło, wygniło w nadmiarze wilgoci. Sposepniał energiczny Mróz naten widok, bo ujrzał się oto bezsilnym wobec groźnego żywiołu.

— Na przyszły rok—mówił do Baški—dam ja radę tej wodzie. Zanim przyjdzie do nas, skieruję ją bokiem w bagnisko. Już wiem co zrobić!

I ten pomysł, jaki powziął, ulżył jego frasunkowi. Tymczasem poprawił rowy zepsute przez powódź, obrął przykopy i wzniósł płótki, zabezpieczające własność.

Przyleciały skowronki i osiadły na roli Mroza także, na bagnisku pojawił się milczący bocian, a dnia jednego w południe zasiadła na strzesze jaskółeczka i cieniutkim głosem zaczęła nucić: „wici-wici, nici-nici“. Było to widać hasło czy przynęta dla drugiej jaskółki, bo wnet przybyła, usiadła na strzesze; spodobało jej się tu widać, gdyż sfrunęła na ziemię, wzięła na nóżki i w dziobek nieco błota, poczem założyła funda-

menta gniazda tuż nad oknem Jantkowej chałupy. Nie obyło się na podwórku bez kilku szarych wróbli i pary pośmiecieszek czubatych, które do późnego wieczora, jak myszy, szybkim krokiem uwijały się wpośród brył błota zawraz z kurami i gęsiami. Na dachu znowu gruchały gołębie, których Jantek był wielkim zwolennikiem. A tak dokoła chałupy rozpoczął się miły dla oka ruch życiowy.

Wyrabiać się w nowiznie, ciężka to praca dla rolnika. Orał Mróz od świtu do późnego wieczora, poobsiewał pole jęczmieniem, owsem, prosem, obsadził kartoflami i kapustą, a na zniszczoném przez wodę życie ozimém zasiał jare. Kopała Baśka a kopała dokoła chałupy, aby téż mieć przy domu jaki taki ogródek.

Tak więc, nasz bohater na swoich dziesięciu morgach gruntu budował, orał, siał, chował zwierzęta i rośliny, inaczej mówiąc: stanął do boju z przyrodą. Czy wygra tę kampanię życia? Wszakże jest tak pracowity, że pracowitszego człowieka trudno byłoby znaleźć na świecie. Wszakże jest inteligentniejszy od ojca swojego, który się dorobił znacznego majątku. Pamiętajmy jednakże, iż praca ludzka, podobnie jak rozum, mają swoje granice. Są warunki, których żaden Prometeusz czynu pokonać nie zdoła. Potrzeba wtedy armii ludzi z wodzami na czele i z artylerją środków: z kapitałem.

O ileśmy zbadali na gruncie stan rzeczy, Mro-

zowa chata pod lasem nie miała widoków powodzenia. Zdaje się téż, że ani sam Jantek, ani jego żona w sobie samych nie mieli warunków, zapewniających materialny dobrobyt. Bo pracowitość, sumiennosc, inteligencya i uczciwość niekoniecznie zapewniają człowiekowi szczęście na ziemi. Owszem, szlachetni najczęściej giną w zapasach. Niemniej jednak szlachetne postępowanie nie przestaje być koroną ludzkiej działalności na ziemi. Ta mniejszość dobrej ludzkości rehabilituje resztę. Biorąc na uwagę i teorią tak zwaną czystą szlachetności i dużą dozę własnego doświadczenia, zarwanego w życiu, ośmielamy się konkludować, iż *rzetelna szlachetność i znaczny dobrobyt nigdy nie idą w parze*. Komentarz do tego jest tak szeroki, że nam go tu przytaczać nie wypada.

W klimacie, wodzie, glebie, w zwierzętach nie przemieszkiwa żadna idea ani poczucie sprawiedliwości; są one, równie jak sam człowiek, rządzone przez nieublagane prawa, którym wcale nie nie zależy na tém, czy kto cierpi, albo jest szczęśliwy.

III.

Sąsiedzi i położenie zagrody.

Wszystkie inne kolonie sąsiednie miały odmienne położenie i lepsze warunki; dzięki temu, są

siedzi Mroza: Szymczak, Gajda i Musiał do dziś dnia bytują, cieszą się powodzeniem, a dziedzictwo ich przejdzie kiedyś w spadku na potomstwo. Tymczasem chata Mroza upadła; widzieć jeszcze można zgniłe słupy oraz przyciesi niedokończonęj stodoły. Zabobonni ludzie, przechodząc tędy, żegnają się znakiem krzyża świętego i szybko mijają ruinę. Grunt rozkupili po kawałku sąsiedzi, chałupa zaś, postawiona w tak prędkim czasie przez Mroza, rozwalona na poly, świeci dzisiaj pustkami.

Człowiek tak się rozmnożył na ziemi, że musi mieszkać wszędzie, gdzie jest jeszcze przestrzeń niezajęta, jakkolwiek niema warunków odpowiednich dla jego pobytu. W takim razie ludzki mieszkaniec ziemi musi się kierować znaczną wiedzą o naturze tych warunków i pomagać sobie ciężką pracą. Trzeba obliczać siły własne, trzeba wiedzieć, co się czemu przeciwstawia. Mniej liczne stworzenia ziemskie nie są na to narażone; mogą one sobie wybierać siedziby, już z natury rzeczy wygodne i odpowiednie. Człowiek musi sam owę wygodę i odpowiedniość wytwarzać. Mróz znajdował się właśnie w takim położeniu. Jego ludzie oraz zwierzęcy sąsiedzi mieli tutaj swój powiat, zanim on przybył. Na wzgórzu wznosiły się trzy piękne chłopskie kolonie, dobrze zagospodarowane, z młodymi sadami i z ogrodami; boki zaś tego wzgórza, pracowicie uprawione, przypominały bogate winnice.

Trzy chałupy, postawione na jednym pagórku, przy jednej drodze i pod jednym lasem, stanowią już pewną osadę społeczną i stowarzyszenie.

Pomiędzy ludźmi bowiem w takim stanie rzeczy musi się nieuchronnie wytworzyć wzajemność usług, pomocy i obrony. Gromada imponuje każdemu, chętniej z nią się zawiera przymierze i nie tak łatwo wypowiada się jej wojnę. Czyny niemoralne, jeżeli się ich dopuszcza gromada, mają pozory legalności wyższej, niż kiedy je popelnia odosobniona jednostka.

Była organizacya w koloniach na wzgórzu i to organizacya w celach zarówno moralnych jak niemoralnych. Wspólnie prowadzono tutaj walkę o byt ze wszystkiém, co się nie znajdowało na wzgórzu, zwaném Wroniec. Jeżeli dziki skopały kartofle lub zboże jednemu koloniście, wszyscy brali się za ręce przeciw dzikom, dopóki nie odparto napaści tych zwierząt. Każdy coś wymyślił i dziki nie ważyły się wkrazać na Wronieckie pole. Jeżeli znowu wykryto kradzież drzewa w lesie, wtedy wszyscy trzech koloniści z żonami i dziećmi byli solidarni, wszyscy stawali za jednego, a przeprowadzone śledztwo bywało zwykle czezą formalnością jedynie. Wszelka gminna organizacya w rozwoju swoim poszukuje sprzymierzeńców i za takich uchodzili w téj wspólnicy: gajowy Jasiek Skórzak oraz żyd Szmul smolarz. Ten ostatni miał szerokie stosunki w świecie po okolicznych wsiach i miastach; znał stan finansów szlachty i chłopów

na wylot; w danym zaś razie umiał człowieka człowiekowi polecać. Oprócz pędzenia smoły, Szmul praktykował rozmaite procedery; sprzedawał on potajemnie wódkę, na lichwę wypożyczał skromne sumki, zresztą kupował wszystko, co było do sprzedania. Wrończanie przez grzeszność używali dla Szmula tytułu *kupiec*, mianowicie w oczy. Ale ten kupiec najlepsze interesa robił na kradzieży koni. W owém przedsięwzięciu Szmul należał do wielkiego stowarzyszenia, będącego plagą okolicy. I z tego powodu miał Szmul znowu u ościennych reputacją *koronnego złodzieja*. Tajemne nici złodziejskiej bandy smolarz miał w rękę i jak biegły wódz kierował operacyami armii. Wiedzieli o tém dobrze koloniści ze wzgórza, ale zachowywali prywatne i publiczne milczenie; za to żaden z nich nie mógł się poskarżyć, aby mu kiedy szpilka z chałupy zginęła. Swoją drogą Szmul dyskretnie milczał o kradzieży dębów i jodeł w lesie. Tak to, milcząc, mogą się jednak ludzie z ludźmi porozumiewać czynami.

Gajowy znowu zaszedł w stosunki pobratymstwa z kolonią na Wrońcu, do czego dały powód rozmaite ważne rodzinne wydarzenia. Trzymał więc Skórzak do chrztu syna Szymczakowi z Gajdziną, a Gajdzie córkę z Musiałową. Był to za tém kum generalny. Jako ekswojskowy, pił zna komicie, a był nader mowny. Tolerancya ze strony takiego człowieka przedstawiała się jako nie-

odzwownie potrzebna, zarówno dla kolonistów ze wzgórze, którzy po nocach wywozili z lasu drzewo na sprzedaż do miasta, jako też dla Szmula, który w wykonywaniu rozmaitych swych rzemiosł potrzebował wielce dyskretnego świadka.

Czyż potrzebujemy tu jeszcze dowodzić, że tym ludziom, tak wielorako połączonym mnogimi stosunkami, musiało się dźiać dobrze? Mróz na jeden raz, wszedł wszystkim w drogę: ludziom, zwierzętom i żywiolom; więc wszystko razem poczęło go trapić. Ludzie poczuli i zrozumieli, że jest za ucziwy, aby kradł, a tém samem należał do ich związku; wystarczyło to zupełnie do wykluczenia go ze solidarnéj spółki. Aby dopełnić zbiorową niekzemność, ludzie nie potrzebują się naradzać; mimo to, zgodzą się na jedno.

— Panie kupiec! — Mówił do smolarza mądry Musiał, ogarniając bystro całe położenie.—Wszystko mi się widzi, że ten Mróz z dołu nie zagrzeje tu miejsca między nami.

— Co gadać? Głupi człowiek!—Zawołał Szmul z pewném zadowoleniem w oku.—Pod lasem mieszka, a drzewo na wszystko we dworze kupuje. Czy kto kiedy takie rzeczy widział?

— A bo to ta jaki zagrodnik, czy kmieć z niego?— Wtracił Musiał.— Ojciec się między ciarachami po dworach poniewierał, a baba też jego powiadają, że dwórka. Tacy się niezego nie dorobiją między chłopami.

— To mu téż ta i nie idzie!—Rzekł pogardliwie Szymczak.—Ozimina do krzty wymokła, wymuliło i koniec; woda tydzień bez mała walila mu przez zagrodę. Takiemu to prawie beczki pobijać, a nie orać!

— Aj, aj! Jaki głupi człowiek! — Zawołał Szmul, emokając.

Taka krótka konferencya była wystarczającą, aby się mieszkańcy Wronca i ich sprzymierzeńcy świadomie zdecydowali w swych uczuciach i w sposobieniu co do nowego sąsiada.

Równie nieprzyjawnym, jak ludzie, było topograficzne położenie Jantkowej zagrody. Mróz postawił swoją chałupę frontem do drogi, a tyłem do przylegającego lasu. Przejezdny zdaleka widział kolonie na wzgórzu, odstrychnięte od lasu przez drogę i przez zachodni stok wzgórza. Tymczasem nowa zagroda stała pod samym lasem, jakby na pikiecie; drzewa boru cień swój na nią rzuciły. O dwieście kroków ku południowi las kończył się cyplem, zarosłym przez gąszcze młodej leszczyny, tarniny, głogów i jałowcu. Z cypla wysunęła się o dziesięć kroków naprzód rozłożysta dzika grusza, w pień której nieznacznie wprawiony był obrazek Matki Boskiej, a u dołu widniało przewiązane powrósło ze słomy. Od téj gruszy zaczynała się skąpa niwka, z jakich dwudziestu zagonów, otoczona uwroćiami. Było to jeszcze najlepsze pole w Jantkowym gospodar-

stwie. Za niwą spostrzedz się dawało bagnisko, w które dolewał wody strumień, płynący pod mostkiem przed drogę od strony zachodniej. W tém bagnie gnieździły się dzikie kaczki, baki, łyski, kurki wodne, żółwie i żaby. Pod wieczór rozpoczynał się tu ruch pełen życia, w dzień było pusto i cicho.

Łatwo przewidzieć, że na wypadek lat mokrych gospodarstwo Mroza w części swojej najniższej musiało iść na marne. Reszta już roli leżała powyżej i wsuwała się w las klinami. Było to świeżo wykarczowane nowisko, na którém dały się sadzić kartofle, można było siać proso, grykę i żyto. Nie można powiedzieć, aby zagroda Jantka nie przedstawiała uroczego widoku. Przeciwnie, pełno tu było różnaitości i zetknięcia z ożywioną przyrodą. To jednak jest małym zyskiem za pracę. To nawet stanowiło jedną z przyczyn niepowodzeń Mroza. Bo w czarnym boru mieszkaly liczne dzikie a drapieżne zwierzęta: ze wzgórza w razie ulewy pędziła woda na jego zagrodę, a gdy się znowu bagno przepelniło, wtedy powódź zagrażała z drugiej strony. Zresztą i to pewna, że kotlina owa między górą, lasem a bagnem mogłaby się była zamienić na urodzajny ogród, gdyby Mróz posiadał wykształcenie agronoma i miał odpowiednie kapitały. Jako chłop, musiał zginąć bez ratunku. Energia czasem może, a czasem nie; nie stanie jój, gdy się wy-czerpie. Slachetność znowu wspiera jednostkę

w pracy, jeżeli inni są także szlachetni. Uszlachetnijmy się przeto, aby przyszły gmach społeczny mógł się wznieść na lepszych podstawach.

IV.

Zabijanie i zjadanie. Zające i kapusta.

Dla moralności człowieka ważną byłaby informacja, kto kogo ma nie zabijać, bo proste przykazanie „nie zabijaj” jest dwuznaczne, jak wyrok Pityi Delfickiej. Historyczna mądrość jest arey-pożyteczna, ale zawsze baczyć nie zaszkodzi na to, w którym wieku ona powstała.

W zabijaniu zawsze chodzi wyłącznie o przywłaszczenie sobie cudzych pierwiastków życia. Kto więc żyje na koszt drugiego, zabija go, zabija może powoli, stopniowo, ale zawsze zabija. Nikt zaś nie może żyć, aby kogoś nie zabijał. Nawet spis potraw w tanięj kuchni jest najwyraźniejszém świadectwem tego. Bo potok życia na świecie jest jeden, przelewa on się i toczy od stworzenia do stworzenia: jedno ginie, drugie żyje na jego rachunek. Inaczéj żaden organizm nie zdołałby wyżyć. Kogo nakarmiono fałszywym sentymentalizmem, ten myśli, że nie jada rosołu oraz pieczystego, że nie zabija i nie wyzyskuje cudzego życia. Zwłaszcza téż otyli filantropowie i bankierzy zawracają tkliwie oczyma, prawiać

moralne kazania na temat nie zabijania, to jest nie wyzyskiwania cudzego życia. Niech no się wypowiedzą szczerze ci panowie, ile połknęli różnego gatunku życia. Oprócz poważnych organizmów, które oni z godnością noszą, brzęcząca moneta, zawarta w ich szkatułach, stanowi niezłą miarę tego, co pochłonęli. Co się tyczy stworzeń zjadanych, te bezwątpienia wyznają, że świat ten jest posiadłością istot najmięsożerniejszych. Muszą to faktycznie przyznać barany, gęsi, gołębie, woły i t. d. wobec jastrzębi, lisów, wilków i ludzi. Mięsożerne drapieżce dyktują enocie postępowanie, wygodne dla siebie samych. Wprawdzie umierająca cnota częstokroć zwycięża; ale najczęściej, jak tylko na skroń przywdzieje laury, staje się z kolei drapieżną, a przestaje być skromną oraz potulną. Tak w hodowli zwierząt domowych zestawiamy dobranego ojca z dobraną matką, wytwarzamy zwierzęcą rodzinę w tym celu, abyśmy mogli jeść smaczne potrawy z ich dziatwy: z cieląt, kurcząt, prosiąt i t. d.

Nie powinienby się nikt gorszyć na takie uogólnienie kwestyi: żyć -- to jeść, umrzeć -- to nie móż jeść. Bo przecież wszyscy, co żyją, bez wyjątku jedzą. Bo koniec końców organizm jest to aparat do jedzenia. Człowiek, ta szlachetna istota dopóki żyje, musi zjadać, co najmniej, rośliny i zwierzęta; ale one znową jedzą go, gdy już umrze. A tak zwłoki praprzodków ludzkości wsiąknęły

w miliony przeróżnego życia. Właściwie mówiąc, jesteśmy kannibale z drugiej ręki.

Zapyta szanowny czytelnik, po co cały ten ustęp. Oto, mając w następstwie opisywać zbrodnie lisów, jastrzębi i t. d., chcieliśmy dla nich wyrobić przedtém przebaczenie. Bo ludzkie potwarze, miotane na zwierzęta drapieżne, wyglądają coś jakby zazdrość na punkcie pożerania. Zazdrość taka jest szpetniejszą od niejednego zabijania i zjadania, gdy się jest głodnym rzetelnie.

Powiadają ludzie, że zające są trwożliwe, lękliwemu więc człowiekowi wymyśla się od zającecy, jeżeli już nie od tchórzów. Ale zające boją się tak samo jak i ludzie, ilekroć jest się czego obawiać. W rozmaitych zdarzeniach oraz przygodach życiowych zające dają dowody rozumu i odwagi zajączej. Sprytny zając, podobnie jak sprytny człowiek, nie straci głowy, choć mu wielkie niebezpieczeństwo utraty życia siedzi na karku. Zając umie się przyczaić w kotlinie, wyskoczyć z niej w samą porę, wyciąć w górę szczupaka, dać chartom obrót, zmylić tropy, słowem, potrafi wywieść w pole znacznie rozumniejszych od siebie. Nie trzeba mu poczytywać za winę, że ucieka, bo przecież nie wszyscy mogą szczuć i gonić. Gdyby na świecie nie istniał gatunek uciekinierów, skądżeby się wzięli zwycięzcy? Mógłby jeszcze kto robić inne zarzuty zającowi, np. że zwierzę to nie prowadzi życia gromadnego i z tego względu jest ssakiem podlejszego rzędu. Atoli czasem wy-

godniej jest na świecie żyć pojedynczo. Nieraz ocala się wielkie ideje i zasady swego gatunku jedynie przez to, że się jest samym jednym. Przecież w razie potrzeby można zawsze stanąć do apelu. Podróżnicy wiarogodni (bo są różni) spotykali już gromady lwów, a do kapusty Mroza schodziły się gromady zajęcy. Szlachetna ta warzywna roślina znajdowała się na samym brzegu lasu, na dwóch długich zagonach,—zającom zaś z całego boru wypadał trakt w pole przez znany nam już cypel lasu; owóz, zdążając tutaj, musiały one wszystkie przechodzić przez Jantkową kapustę. Naturalnie, że to i owo zwierzę zatrzymywało się w kapuscie, a poznawszy wartość odżywczego pokarmu, nie omieszkalo nazajutrz znowu przybyć o zmroku. Szarpały więc zajęce Mrozwą kapustę, podczas gdy kapusta sąsiadów ze wzgórza, wolna od podobnej napaści, wzrastała pięknie na pociechę właścicieli.

Rychło zobaczył Jantek swoje nieszczęście i mocno się markocił w duchu, nie o tém atoli nie mówiąc Baśce. Łamał on sobie głowę, co tu począć z zajęciami. Przychodziło mu na myśl to i owo. Wreszcie zrobił stracha ze słomy i gałęzi, niby człowieka na wysokich nogach, ubrał go w stare szmaty, włożył na łeb cudaczne czapeczysko i oczekiwał, co z tego będzie. Przeleżałaby się tego w ciemności niejedna kobieta, cóż dopiero zajęce. Fortel się zatem udał. Jakos przez tydzień zajęce nie robiły szkody, a kapusta podrosła. Za-

tarł Jantek z radości ręce, że potrafił ocalić od zwierząt swoją własność. Powiedzieliśmy atoli, że zające mają rozum i odwagę. Wkrótce już oswoiły się one ze strachem, zmiarkowały jakoś, że to nie żaden człowiek i znowu zaczęły bobrować po kapuście, której Mróz nawet już od kilku dni nie odwiedzał, będąc czém inném zajęty.

Trzeba było zdarzenia, że Baśka wypadła na pole i zobaczyła spustoszenie. Z kapusty sterczały tylko tu i owdzie głąbiki. Załamała kobięcina ręce boleśnie, przyleciała do chaty i po raz pierwszy przemówiła się z chłopem.

— Wszystko się zmarnuje! — Zawołała Baśka zapérzona. — Na nie skapiejemy, jak tak będzie! Widziałeś, jaka śliczna kapusta u Szymczaka, u Musiała? A przecie oni strachów nie postawili na polu przeciw zającom. Czy się to strachy stawia na zające?

Jantek należał do rzędu ludzi, o których świat często niesprawiedliwie opiniuje, mówiąc o takich mężkach naturach, że one są „pod pantoflem, chodzą w czépkach” lub „w spodnicy”. Zwykle jednak sprawa ma się inaczej. Nie dziwnego, że się Sokrates z Ksantypą nie bija i nie klóci. Rycerze, którzy staczają walne bitwy na szerokim świecie, nie mogą się ubierać w ryszturnek bojowy, gdy chodzi o szarmycał z językiem kobięty.

Podrapał się więc Mróz tylko w głowę, spojrzal

smutno na żonę i wyszedł w pole do kapusty. Zobaczył nagą prawdę; dzieło zniszczenia było aż nadto widoczne; zęby zajęcze dokonały tutaj systematycznego spustoszenia. Jantek przeszedł przez kapuścisko, jak wódz przez pole bitwy, na którym stracił swoje zastępy. „Cóż począć?” Pomyślał. „Kapusta już się nie wróci!..”

Była to druga z rzędu kłeska, którą Mróz poniósł w swojej zagrodzie pod lasem.

V.

Lisy i ich ofiary. Zatargi małżeńskie.

W małżeństwie tak bywa, że jak raz żona weźmie górę i wyłaje męża, łaje go potem już zawsze i za wszystko; łajanie wchodzi wówczas w tryb domowego pożycia. Jeżeli mąż jest chory, karci się go za brak zdrowia; jeżeli jest zdrowy, łaje się go, napominając, aby zdrowia nie nadużywał.

Złajala Baśka Jantka najprzód za to, że zającce zjadły kapustę i potem robiła mu już wymówki za każde niepowodzenie w gospodarstwie. Każdą kłeskę musiał Mróz odcierpieć podwójnie: jako kłeskę i jako niezadowolnienie żony. Studium nad tymi faktami mogłyby stanowić ciekawy przyczynek do martyrologii małżeństwa; nas atoli w tej chwili zajmują głównie gospodarskie nieszczęścia Mroza.

W sąsiednim parowie leśnym miały lisy jamę bardzo starannie wykopaną; w jamie znajdowały się aż cztery ujścia: jedno uchodziło w bór głęboki, drugie kierowało się ku rzadszemu lasowi, poza którym było bagnisko, — trzeci otwór zwrócony był prosto ku koloniam na Wroncu, a ostatni zmierzał do zagrody Jantkowej.

Lis-matka wychodziła pod wieczór na polowanie, zerkając, węsząc i nasłuchując wszechstronnie, jak to bywa w powszechnym lisim obyczaju. Idea takiej wycieczki niejasno kielkowała już w jamie, dokąd wiatr, ten konduktor światła zwierzęcego przynosił słuchowe oraz węchowe wrażenia zzewnątrz. Małe lisiątka, troskliwie wychowywane w norze, wyssały w ciągu dnia pierś macierzyńską, zubożyły przez ten czas organizm swojej rodzicielki, która z rozkoszą wprawdzie spełniała obowiązki matki, ale nareszcie nie mogła też zapomnieć i obowiązkach względem siebie samej. Opuszczenie kryjówki, a raczej generalnego apartamentu, poświęconego wychowawczym celom lisiego gatunku, nie odbywało się bynajmniej nieświadomie i bez planu. Lisia matka podchodziła najprzód po kolei do każdego z czterech otworów, sprawiających wyborną przewiewność komnaty i badała stan powietrza oraz kierunek wiatru. Nos i ucho pracowały wtedy mozolnie, zapładniając inteligencją zwierzęcia. Wycieczka ku bagnetom mogła obiecywać w rezultacie jakiego bekasika, czajkę lub kaczkę

podlota; lecz ciężka to zaprawdę dla lisa praca na wodzie, czy bagnie. Tak rozumne stworzenie, jak człowiek, nie zdołałoby bez strzelby nigdy pojmać żadnego ze wspomnianych ptaków; jeżeli zaś lis dokonywa téj sztuki, mamy więc dowód jego sprytu i wysilków. Można się téż było udać za zdobyczą i w głuchy bór; ale tu znowu jarzabki, cietrzewie, głuszcze, drozdy i znane z mądrości szpaki znają się wybornie na lisiach fortelach, umieją im przeciwstawić różne chytre sztuki. Śpi to wszystko na wysokich drzewach; więc choć nosem zwietrzysz, okiem dojrzysz, nie chwycisz zębami. Milę drogi zejść trzeba, ba i więcej, nim się nawinie jaka głupia zwierzyzna: młody zajac, lub gniazdo z pisklętami. Z takiéj wędrówki lis może powrócić dopiéro rano i to głodny, bez żadnéj zdobyczy. Daleko mu téż wygodniéj jest polować na domowe ptastwo, pozbawione stanowczo wszelkiéj krytyki o niebezpieczeństwach życia na tym padole płaczu. Znana z głupoty gęś oswojona, kura, indyka lub kaczka stanowią dla lisa łup najłatwiejszy, a w dodatku i najsmaczniejszy kąsek, bo przecie — sprzątnięty zprzéd nosa człowiekowi, temu panu stworzenia, umięjącemu mądrze przyrządzać sobie frykasy. Nasz lis przeto najczęściej wietrzył w stronę chałup, a los padał zwykle na zagrodę Mroza.

Oboje Mrozowie nie mogli pojąć, jak się to dzieje, że na jednę straconą sztukę drobiu u są-

siadów przypadało najmniej ich trzy sztuki. Dlaczego? Baśka czempredźej i z wielką pochopnością przypisywała to działaniu potęg nadnaturalnych, mianowicie czarom. Jantek wprawdzie nie potwierdzał tego wyraźnie, ale milczał. Tymczasem wszystko zależało od warunków sytuacji. Sąsiedzi mieli daleko więcej szans bezpieczeństwa od napadów głodnego lisa. Bo najprzód, od lasu oddzielała ich droga, a dla lisa przejść przez drogę, po której stapał zdrażliwy człowiek, jest to rzecz bardzo długiego namysłu i ogromne ryzyko. Tylko jedna chałupa Mroza była tuż pod lasem i od lasu nieoddzielona drogą. Znaczenie tego położenia miało wielką doniosłość, ponieważ cały ruch domowy u sąsiadów ze wzgórza zwrócony był w stronę drogi, a więc i ku lasowi, podczas gdy pod chałupą Jantka, obróconą tyłem do lasu, panowała zupełna cisza. Co więcej, w jednej z kolonij na Wrońcu, mianowicie u Musiała, był pies Kruczek, który nie z czujności, ale przez jakiś nałóg, czy w skutek temperamentu ciągle poszczekiwał od niechcenia; tymczasem kiedy pies Jantka, Burek był wprawdzie wielce natarczywy i pełen energii, jednakże zabierał głos wtedy tylko, kiedy zachodziła istotna tego potrzeba. Są to wprawdzie bardzo drobne przyczyny, a przecież były one wystarczające, aby pozbawić zagrodę dwóch kur i koguta, dwóch kaczek z kaczorem i jedną gęsi z gąsiorem.

Z każdą straconą sztuką drobiu wznagala się zgryźliwość Baški. Niebawem kobiéta owa utraciła wszelki respekt dla męża, klóciła się z nim regularnie parę razy na dzień, aż w końcu poczęła i obelgi miotać. Jantek cierpliwie milczał, a kiedy dostrzegł w oku żony błyskawice zapaleczności, uchodził z chałupy w pole. Gdyby nie ta taktyka zdrowej męskiej natury, doszłoby było niezawodnie do gorszących scen małżeńskich: do szturchańców, podbijania sobie oczu, i t. d. Po utracie koguta Jantkowa wpadła w wściekłość, nazwała chłopa swego „pokraką, niezdara, gamoniem i niedojdą”. Termina te w języku ludowym wyrażają różne stopnie, czy odcienie fizycznego i moralnego niedołęztwa. Że zaś Baška użyła ich po śmierci koguta, przeto sądzić wypada, iż był tu jakiś związek między obelgami a poligamicznym nałogiem kogucim. Mianowicie téż po utracie męża dwie owdowiałe jarzębate czubatki nie mogły już nieść jaj, ani się zamienić na kwoczki, a Mrozowa baba bardzo lubiła kury macać i na jajach sadzać. Krajało jój się serce, że Wronieckie wzgórze jest zbyt odległe od zagrody, że przeto jój kurki nie mogą sobie pożyczyć męża w sąsiedztwie, co w państwie grzebiących ptaków nie jest żadnym skandalem.

Przez tydzień jakoś lis zawiesił rabunek; poczem w następnym znowu czasie zniknęły bez śladu obie czubatki jedna po drugiej, jak kamień w wodzie. Baška lamentowała okrutnie, a chło-

pa swego sfukała i zwymyślała od ostatnich, to zaś wywieralo na niego takie wrażenie, jak gdyby on sam kury pozjadał.

VI.

Jastrząb i gołąb Maciek.

Jantek znowu ze swój strony kochał się od młodych lat w chowie gołębi i dochował się spórego stadka tych miłych ptaków, które sprowadził na nowe gospodarstwo. Ale nad chłopską zagrodą pod lasem wisiał potok niebezpieczeństw; warunki położenia skazały całkowity dobytek Mroza na zagładę. Gruchały na strzesze białe, ceglaste i popielate gołębie, ożywiały ruchem swoim spokojną zagrodę; wznosiły się niekiedy w górę, bijąc skrzydłami, pływały w powietrzu; albo znowu krzątały się po podwórku około obórki, lub zasiadały gromadą na polu. Jantek sam nie wiedział, dlaczego lubi te stworzenia, przyglądał im się niejednokrotnie i nawet zamyslał postawić dla nich z czasem gołębnik; los wszakże nie pozwolił mu na ten wybryk.

W pobliżu chaty, na wysokim klonie w boru, założył był sobie siedlisko inny mieszkaniec ziemi, który także lubił gołębie. Był to jastrząb, krwiożerczy wróg wszelkiego pomniejszego ptactwa. Dopóki młode przebywały w gnieździe, potrzeba było dużo żywego mięsa na ich wyży-

wienie, jako téż na zaspokojenie życiowych potrzeb pary dorodnych rodziców. Samiec całemi godzinami przesiadywał na polnej gruszy, znajdującej się między cyplem lasu a bagniskiem; stąd śledził on bystrém okiem po okolicy, upatrując zdobyczy odpowiedniej dla swego apetytu. Niejednokrotnie wypadało mu przelatywać już to nad polami, już nad bagniskiem, lub nad Jantkowém obejściem.

Gołębie odziedziczyły po przodkach swoich uczucia strachu oraz grozy przed jastrzębiem. Świst skrzydeł tego ptaka, cień, który od niego padał na ziemię, obudzały w gołębiach straszne przerażenie. Porywały się one wtedy i szybowały w górę, ile im tylko sił starczyło, zdążyły jak mogły najwyżej. Jastrząb podówczas spokojnie miał je na oku i krążył systematycznie poniżej gołębi, łagodnie prując błękitne fale powietrza. Gołębie wzbijały się bardzo wysoko, jastrząb docierał po szrubowej linii. Gdzieś musi być kres lotu wszelkiego ptaka, więc nareszcie dochodziło do tego, że gołębie nie mogły już wyżej wzlatać. Wtedy to jastrząb, słynny ów myśliwiec, zdwajał swoją energią i usiłował wznieść się ponad grzbiety a karki gołębi. W górnych szlakach, niekiedy tam, dokąd już oko człowieka nie sięga, rozpoczynała się wówczas rozpaczliwa walka. Gołębie, zwarte, trzymały się stada dopóty, póki jastrząb znajdował się pod nimi, baczyły na każde jego poruszenie i lot

swój stosowały do ruchów strasznego nieprzyjaciela. Ale kiedy już wyżej wlecieć nie było możności, krążyły one w nieładzie i niespokojnie. Wtenczas jastrząb puszczał się pełnym lotem, byleby nieco wyżej wzniesć się ponad stado gołębi. Kiedy już wziął górę i miał ofiary pod stopami swemi, wówczas gołębie oddawały się rozpaczę; w tym punkcie kończyła się ich dyplomatyczna polityka, a następowały wysiłki, dyktowane przez trwogę oraz przerażenie. Rozbijało się stadko gołębi, w pojedynkę lecąc ku dołowi na łeb, na szyję. Jastrząb dopadał wtenczas pierwszego lepszego, zabijał, dusił, wreszcie pożerał.

W ciągu roku niespełna opustoszała zagroda z gołębi. Pozostał tylko piękny błękitny samiec z mieniaćem się gardłem, latacz nieustraszony; Mróz powiadał, iż gołąb ten był owocem miłości, jaką zapalał kiedyś dziki gołąb ku oswojonej gołębiccy. Jantkowie nazywali gołębia Maćkiem. Sam jeden, pozbawiony rodziny oraz towarzyszy smutnie wyglądał na strzesze. Nieraz puszczał się w świat, leciał ponad jarami i lasami, lotem strzały przebywał znaczne przestrzenie, wpadał gdzieś do cudzej wioski, zasiadał na obcym gołębniku i rozpoczynał tu swoje gruchanie. Nie bywał całe tygodnie w domu, jednakże za tęsknił do Mrozowej zagrody, porzucał przybrane stado gołębi i tą samą znowu drogą powracał do samotnego dymnika. Jeżeli gołąb ma uczucia

podobne do ludzkich, to straszném mogło być życie Maćka. Drwił on niejako ze śmierci. Stokrotnie mierzył się w obłokach z mordercą swój rodziny i nigdy nie poniósł szwanku. Pędził w powietrzu lekko, ruch jego skrzydeł dojrzyć można było, jak ruch wiosł przy łodzi. Wznosił się w błękity powietrze, prując je śmiało, zataczał w górze olbrzymie koła, wodził za sobą jastrzębia godziny całe. Nadchodziła nareszcie chwila starcia, ta chwila stanowcza, kiedy jednostka musi wykazać całą swą wartość i zaświadczyć wobec przyrody, że jej gatunek ma jednak prawo istnienia na świecie. Trudno byłoby dowieść, że istnieje jakiś drugi obowiązek, wyższy od tego.

Ponad borami ciemnymi odbywały się owe heroiczne harce gołębia z jastrzębiem. Już oto wiszą w przestworzu, jak dwa punkceiki,—jeden nad drugim, już za chwilę zleją się ze sobą pewno w jeden punkt większy i ciało mniejsze zostanie przyciągnięte oraz pochłonięte przez masę większą. Niel.. Bo oto Maciek robi jeden z tych zwrotów, jakie wykonywa zając, pędzący przed zacieklą smyczą chartów, gdy im daje obrót na prawo, w lewo, lub susa w górę. Tak i Maciek, gdy mu nad głową wisi zaciekły jastrząb, skręca na dół szybko głowę, wywraca w powietrzu zręcznego kozielka i już w mgnieniu oka znajduje się na tyłach swego prześladowcy, który, złudzony oraz stropiony, daremnie przez czas jakiś

pędzi jeszcze przed siebie bez żadnego celu. Maciek zaś tymczasem przebiegł już oto w kierunku przeciwnym znaczną przestrzeń. Innym razem zwrot taki byłby dla gołębia nieużyteczny. Gonitwa odbywa się tuż, tuż ponad połyskującymi od słońca szczytami drzew, zda się, iż to piesze wyścigi ptaków po płaszczyźnie boru; ale słysząc szelest ich skrzydeł, podobny do świstu kul na polu bitwy; prawie trącają bystremi lotkami o iglaste jodły, o liście wyniosłych klonów i dębów. Cała wyższość jastrzębiego lotu daje się widzieć w tej równej pogoni na jednej płaszczyźnie; co chwila więc prześladowca zbliża się do swjej ofiary. Gołąb wpada wtedy pomiędzy drzewa, wężykowatym pędem przesuwa się wśród gałęzistych świerków, brzoź i sosen, dolatuje do gąszcza krzewów, pogrąża się w nich, aż wreszcie cicho, swobodnie, dołem wypływa z lasu na pole i, mknąc chyżo, tuż ponad ciemnymi jak on sam zagonami dopada Jantkowej zagrody. W tym czasie jastrząb, zawzięty w pogoni i roznamiętniony, rzuca się całą siłą w ten punkt gąszcza, gdzie mu zniknęła zdobycz, pewien, że już ma pod szponami gołębia. Ale zawiedziony, głupowato spogląda dokoła, jakby się wstydził chybiłego kroku. Bo jest w naturach dzikich, podstępnych i krwiożerczych jakiś rodzaj wstydu przed sobą samym, jeśli się zamach nie udał. Takiem jest położenie kota, kiedy się na mysz rzucił z za-

sadzki, a mysz mu uszła; to samo ma mieć miejsce z lwem, tygrysem, panterą.

Wpowiastce naszej spotkamy się jeszcze z losami gołębia Maćka, tak ściśle złączonymi z życiem Jantka Mroza, chłopca.

VII.

Najgroźniejszy z nieprzyjaciół.

Mieli Jantkowie krowę Smolicę i jałówkę Krasulę, pasła je Baśka po miedzach na karczowisku lub po brzegach bagniska. W ogóle jednak poważnym kłopotem w zagrodzie pod lasem był brak paszy dla bydła. Co będzie jadł człowiek, o to mniejsza; bo w chwili głodu zawsze się jeszcze coś znajdzie; ale niema ważniejszej kwestyi dla rolnika nad wyżywienie inwentarza.

Jednego dnia wszedł, mimo opozycyi Burka, na podwórko Mrozowej zagrody dotąd niewidziany tutaj człowiek. Był to chłop nieduży, lecz barczysty, ze sporym wąsem pod nosem z głową starannie wystrzyżoną i wygoloną brodą. W jedném uchu nosił srebrny kolezyk, na głowie miał kaszkiet ułański, granatowy z żółtym lampasem. Widać było z ubrania i z całej powierzchowności, że człowiek ten spędził młode lata na służbie wojskowej. Nosił on na sobie krótką sukmankę, pod pachą trzymał strzelbę, a z ramienia zwie-

szala się torba borsucza. Na gościa tego natarczywie i z wielką złością napadł Burek, tak że Mróz zaledwie zdołał psa powściągnąć. Zaczęła się na podwórku rozmowa, w czasie której Jantek uwijał się przy składaniu wozu.

— Czy to wasze kartofle, gospodarzu, tam na klinach pod lasem? — zapytał Mroza nowo przybyły człowiek.

— A juści, naprzód Boskie, potem moje. — Odparł zapytany.

— Oj, znać też to dobrze, że te kartofle nie są wasze tylko, bobyście ich chyba lepiej pilnowali, albo i nie zasadzili w takim miejscu! — Ciągnął dalej nieznajomy.

— Jak to? — Spytał poważnie Mróz, odkładając na bok siekierkę i zbliżając się do swego gościa.

— Jak, jak!.. A tak, że dzisiejszej nocy dzikie świnię stratowały i skopały kartofle.

— Bójcie się Boga, człowieku! Co wy też mówicie? — Zawołał przestraszony Jantek.

— Ha, kiedy nie wierzyacie, to pójďtecie i zobaczcie, a uznacie, że prawdę mówię.

Poszedł więc Mróz z nieznajomym strzelcem w głąb lasu i rzeczywiście przekonał się, iż całe pole kartoflane uległo najzupełniejszemu zniszczeniu. Chodził pomiędzy zagonami, podnosił z ziemi połamane i poszarpane łodygi, oglądał je, wzdychał smutnie i rzekł:

— O prawda, prawda święta! Niema się tu już po co schylić.

A nieznajomy mu na to:

— Widzicie, pod lasem trudno wam będzie utrzymać gospodarstwo! Zwierza różnego tu dużo. Mnie popytajcie, a powiem; włóczę się całym dniami po polu, po boru i tém tylko żyję.

— A któżeście wy taki? — Zapytał ciekawie Jantek.

— Mnie tu wszyscy znają, wszyscy wiedzą, kto jest Jasiek Skórzak, dzisiaj gajowy, a dawniej wachmistrz od ułanów.—Mówił nieznajomy.

— O, straszna moja dola! — Rzecz Mróz, stając przed gajowym z założonemi rękoma. — Toć mi tu chyba zginąć już przyjdzie; codzień marnuje mi się dobytek, codzień mi go ubywa i niknie ciężka oto praca!

— Trzeba te dziki wystrzelać, toby tu kartofle i urosły.—Prawił Skórzak z wielką pewnością siebie.

— Wystrzelać, wystrzelać... — Powtarzał Jantek.—Jak tu wystrzelać? Kto wystrzela? Ja strzelać nie umiem.

Wtedy gajowy przystąpił do Mroza, uderzył go poufale w ramię i rzekł:

— A jakże się nazywacie, gospodarzu? Powiadają ludzie, że Mróz...

— A jakże, Jantek Mróz.—Była odpowiedź.

— No, to dobrze!... Widzicie, Jantku, tego małego ptaszka, co tam het w górze wisi na sośni nie? Patrzenie tylko, a na przeżegnanie czasu wam

nie stanie, jak ptaszka na tym świecie już nie będzie.

I z temi słowy gość Mroza złożył się strzelbą, wypalił, a ptaszyna martwa stoczyła się na ziemię po gałęziach. Mróz widocznie podziwiał zręczność Skórzaka. Przyszedł mu w tej chwili na myśl jastrząt, wysiadujący na gruszy, srogi prześladowca gołębi, pomyślał o zającach, bobrujących w kapuście i o lisach, sprzątających kury,—rzekł więc:

— Tobyście wy sprzątnęli i jastrzębia?..

— Co, jastrzębia? Ha, ha!—Roześmiał się gajowy.—A cóż to jastrząt święty jaki, czy co?

Pokażcie no mi go tylko, a nie zobaczy już ten złodziej nigdy w życiu gołębia, zająca ani kuropatwy.

— Ani moich gołębi.—Szepnął Mróz, kierując kroki ku cypłowi lasu, gdzie stała znaua nam grusza polna.

Tak rozmawiając, wyszli obaj na skraj boru, skąd Jantek tajemniczo zpoza drzewa wskazywał palcem usadowionego na gruszy, posepnego drapieznika gołębi.

— Mam go już! Rzekł cicho Jasiak Skórzak i począł czémprędzej nabijać strzelbę.

Być może, iż huk poprzedniego strzału w lesie obudził uwagę jastrzębia, bo jakoś niespokojnie oglądał się dokola; wiatr kołysał gałęziami drzewa, na których się dziki ptak huśtał.

Gajowy wziął na cel drapieżcę, wytrzymał do brze... I znowu huk się rozległ. Jastrząb leniwie porwał się z gruszy, jakby szydził z zasadzki i zupełnie spokojnym lotem podążył nad bagnisko.

— Tfu, do stu tysięcy dyabłów!... Dawnom też już nie miał takiego szczęścia!—Rzekł Jasiiek, zbliżając się podejrzliwie do gruszy.—Wyraźnie zgórowałem nad drzewem. Chyba tu kto wisiał na tój gruszee, albo może czarownicę pod nią pochowano.

Jantek nie nie mówił, tylko patrzył za odlatającym jastrzębiem, który znikł nareszcie w oddaleniu. Jasiiek oglądał gruszę tymczasem i nagle wykrzyknął:

— Ho, ho, nie powiedziałem! Jakem miał trafić, kiedy bestya mędrała na poświęconém drzewie siada. Toć tu na drzewie powiesił ktoś obrazek ze świętością!... Żeby o tém był wiedział, nie psułbym nadarmo naboju.—I z temi słowy przeżegnał się gajowy, zdejmując z głowy czapkę, co tóż uczynił i Jantek.

Powrócili wreszcie obadwa do gospodarskiego obejścia, gdzie Baśka, słysząc strzały huczące w lesie, wybiegła przed chałupę.

— Co to za kobiéta?—Pytał Jantka Skórzak.

— A to moja gospodyni.—Odrzekł Mróz.

Jasiiek pożądliwém okiem powiódł po Jantkowej, zmierzył ją od stóp do głowy i oczy się ich spotkały.

Wzrok, ów szlachetny zmysł inteligencyi, wnosi

téż w duszę ludzką ziarna żądzę. Od wzroku rozpoczyna się zawsze proces psychiczny, zwany miłością i zapisany silnie w naszym organizmie, jako popęd płciowy. Ta chwila, kiedy się ludzie kochają wzrokiem tylko, stanowi najidealniejszą część całego procesu miłości. Słowami trudno jest opisać znaczenie owego faktu. W naturrezymym połysku oczu Jaśka był jakiś pierwiastek zupełnie zrozumiały dla Jantkówój; w jój zaś spojrzeniu tkwił pewien rodzaj odpowiedzi, która wyraźnie mówiła Skórzakowi, że jego miłosne afekta zostaną uwieńczone powodzeniem. W żadnym innym zakresie psychicznych zjawisk nie można się porozumieć okiem tak szybko, jak w miłości. Piérwsza Baśka spuściła wzrok ku ziemi. Ale kiedy już drugi raz spojrzeli sobie oboje w oczy, zrozumieli się jak najlepiej, byli jakby dawni znajomi. A nie dziw, bo miłość jest to najstarszy i mistrzowsko wytrawny rozum ludzkiego gatunku, rozum w swoim rodzaju, wytknięty w zupełnie oznaczonym przez organizm kierunku.

Przed Jaśkiem uskarżali się oboje Jantkowie na ciężkie czasy, on zaś dawał im swoje bardzo stanowcze rady, które znamionowały wielce doświadczonego człowieka. Kiedy Baśka wyrzekała na brak paszy dla bydła, Jasiek tak doradzał:

— Weźcie oto krowy na powróz i idźcie z nimi prosto przed siebie w bór, miniecie karczowisko, przejdziecie koło żydowskiej smolarni, potém idźcie ścieżką przez młody las, a dojdziecie jak raz

do poręby. Tam trawa w pas rośnie, kosić ją można na siano. Jabym tego mógł użyć dla siebie; ale co mi tam, nie potrzebuję, jestem człowiek wojskowy i nie dbam o takie rzeczy.

Bezinteresowność człowieka zawsze wzrusza jego bliźnich. Atoli Jantek ani się domyślał, że owa rada Jaśka, dana Baśce, była jednocześnie propozycją miłosnej schadzki, w czasie której taki gajowy eks-ulan nie poprzestanie zapewne na wywieraniu i odbieraniu czysto wzrokowych wrażeń, ale powoła do czynności i inne zmysły, ostatecznie realizujące uczucia miłości. Jantek sam pomyślał, że i on będzie nocami pasał swoje konie w porębie, a bynajmniej się nie zastanawiał nad tém, iż osamotnione położenie jego zagrody sprawiało, że w osobie Jaśka Skórzaka wchodził mu pod strzechę nowy wróg, myśliwy zręczny i celny, o tyle wyższy od zajęcy, lisów oraz jastrzębi, o ile człowiek przewyższa te zwierzęta inteligencją. Wśród walki z żywiołami i zwierzętami człowiek jest niekiedy bezsilny, dochodzi często do nędzy; ale stokroć gorszą jest walka z ludźmi. Umiarkowana, hartuje ona siły, wyrabia i przygotowuje subtelny grunt moralny, lecz nierzadko też doprowadza do zgoryczenia, do rozpacz, podżega namiętności i popycha do zbrodni.

Nazajutrz o świcie Baśka była już z krowami w porębie. Mąż nie stawiał żadnej opozycji, chodziło tu przecież pozornie o wspólne polepszenie smutnej egzystencji zagrody pod lasem.

Na porębę stawił się niedługo i Jasiek. Pomagał on tu Baśce paść krowy, ukazywał bujną trawę, a ona szła biernie za jego wpływem oraz radami, słuchała go we wszystkiem jak najskrupulatniej.

Zachodzi pytanie, czy się godzi mężczyźnie kochać w cudzej żonie? Odpowiedź zależy tu nie tylko od poglądu na małżeństwo, rodzinę i kobietę, ale i od różnych szczególnych względów. To atoli pewna, że wszelkie poglądy, zasady i względy są stosunkowo bardzo świeżej daty, w porównaniu z instytucją miłości. Nie więc dziwnego, że uczucie to zwykle bierze górę nad wszelkimi skrupułami. Jeżeli są dzieci, to szlachetny człowiek nie powinien pozbawiać rodziny naturalnej opiekunki. Jeżeli żona ma tylko męża, to opuszczenie go w danym razie, nie przynosi społeczeństwu żadnej krzywdy. Chyba żeby ktoś traktował żonę jako własność, co nam się wydaje być ekonomicznym absurdem

W porębie słońko przyświecało cudownie, motyle roily się na kwiatach, tłumy owadów brzęczały w powietrzu, zapachy ziół i lasu napawały powietrze. Najromantyczniejszy nawet rycerz nie zdołałby sobie wybrać piękniejszej miejscowości na schadzkę z kochanką. Po jednej stronie poręby cień padał na trawę od jodeł, brzoź i dębów; wśród trawy, w rosie rumieniły się wonne poziomki; kwiaty bursztynem i szkarłatem ustroiły ziemię, a wdal ciągnęła się odlegle piękna li-

nia wyrąbanego lasu pomiędzy dwiema zielonemi ścianami.

Jasiek z początku rozmawiał z Baską o rzeczach obojętnych; ale kiedy kobieta pod działaniem jego wzroku spuściła oczy, a on mógł ję się swobodniej przyglądać, wtedy przystąpił i wziął Baškę za rękę. Ona mu się nie wydzierała bynajmniej. Dotyk jest najstarszym towarzyszem miłości. Dotknięcie ręki kobiety przez rękę mężczyzny jest bardzo zapalne; krew bowiem rozchodzi się po całym ciele i roznosi ciepło, wytworzone przy spotkaniu się dwóch dłoni. Jest to specjalny gatunek wrażenia; cały system nerwowy wprawiony wtedy zostaje w jakiś rodzaj drgania, sprawiającego upojenie. Występują mocne rumieńce na twarz, serce silnie bić zaczyna. Te zmiany powołują organizm zakochanego do nowego czynu, który polega na objęciu kibi-ci kochanki i przyciśnięciu ję do siebie. U kochanków młodych a niezepsutych, po serdecznym uścisku dochodzi się jeszcze najwyżej do całusa.— Jest bowiem w sercach dziewczycy jakaś uroczą świeżość i naiwność, której kres ma miejsce dopiero w dojrzałych latach. Prawdziwy wdzięk stanowi poprzestanie na skromniejszej rozkoszy. Zdaje się, że Jasiek i Baška nie mogli być w położeniu dwojga niewinnych kochanków, a to tęp bardziej, iż u chłopcy cynizm prędko dojrzewa, choć w następstwie nie wyrównywa on nigdy wyuzdanemu cynizmowi klas wyższych.

Baśka przestała być sprzymierzeńcem męża. Nieszczęście Jantka rosło szybko; nie polegało ono na tém, że go zdradziła żona, bo o tém nie wiedział wcale; ale przybyło mu dwóch skrytych wrogów w Jaśku i Baśce.

VIII.

Jeszcze gołębie.

Jednego razu przechodził Mróz przez podwórko, i, słysząc gruchanie na strzesze, spojrział w górę. To Maciek sprowadził sobie skądś białą samiczkę, inaczej mówiąc, gołąb się ożenił. Jantek uśmiechnął się zlekka do swego ptaka.

Otwartém jest pytanie: skąd się wziął przyjacielski stosunek człowieka do zwierząt? Pozwolimy sobie więc zastosować tu hipotezę, która jest rozszerzeniem nieśmiertelnej teorii doboru przyrodniczego, walki o byt i dziedziczności.

Niejeden człowiek nosi w duszy szczególnego rodzaju sentyment, z którego sobie nie zdaje sprawy, a jednak idzie za jego głosem. Są ludzie, co kochają zwierzęta bez względu na użyteczność. chowają w klatkach ptaki śpiewne, w gołębnikach gołębie, lubią psy i koty, oswajają lisy, zające, wilki i t. d. A nie chodzi w tym stosunku ani

o mięso, ani o pierze, lub skórę. Jakaż jest geneza tego uczucia? Rozumowanie jest tu takie: Rodowód całego naszego *ja* musi leżeć w przeszłości, w organizacyi naszych zgasłych, czcigodnych przodków i praprzodków; nietylko jesteśmy tém, czém jesteśmy, ale i tém, czém byli nasi rodzice oraz naddziadowie.

Jantek lubił zwierzęta bezinteresownie, choć nie wyłączał i ich użyteczności. Baśka i Jasiek przypominali znowu tyranią pierwotnych myśliwych.

Maciek na strzesze odprawiał godne uwagi zaloty około swój pani, przystrojonej w bielutką, jak śnieg, garderobę. Obchodził ją dokola, jak gdyby tańczył jaką figurę mazura; to się skłonił to się wyprostował; rozpuścił lekko skrzydełka, podchodził do gołębic, a czasem z nią w parze hasał. Ona zwykle spokojnie siedziała, zapewne wysłuchiwała uważnie oświadczeń i brała do serca wszystkie owe dygi a prysiudy. Maciek przytém, obok takiej mimiki, dowodzącej zręczności i układności gołębia, nie zaniebował rozwijać najwyraźniejszych talentów swojej męzkiej sztuki krasomówczej. Gruchanie bowiem gołębia koniecznie wychodzi na popisywanie i wychwalanie się przed gołębicą; znaczy to mniej więcej: „ja tyle a tyle mogę”. Tak się usiłuje nieraz człowiek przedstawić bliźniemu lub bliźniej. W ogóle, wszelkich zalotów nie można inaczej uważać.

Obawiam się wprowadzania antropomorfizmu

w wykład miłosnych spraw gołębiach, więc nie powiem, iż Maciek przysięgał swojej gołąbce miłość dozogoną. Jednakże, koniec końców, musiało ję się to wszystko podobać, skoro emigrowała z Mackiem zpod ojczyściej strzechy, aby w innym dymniku dać szczęście swojemu gołębiowi. Dużo było z téj pary gruchania na Jantkowej chalupie, a chłop bardzo to jakoś lubiał i ilekroć wylazł przed chatę, zawsze spojrział na strzechę. Narrescie, gruchanie ustało i biała pani usadowiła się w dymniku na jajkach. Pół dnia ona odsiadyla, a drugie pół dnia Maciek. Tak to zawsze zaloty kończą się ciężką pracą nad wychowaniem i wyżywieniem potomstwa. Kiedy mąż odbywał swój pológ, biała gołębica wylatywała na świat sama jedna, podziobała trochę na podwórku, poleciała nad strumyk, napiła się tam wody, obmywała dziobek, szyjkę, nóżki, oczyszczała ciało od pasorzytów. Pokrzepiona, wracała znów do dymnika, aby zwolnić swego małżonka z trudnego obowiązku. Wreszcie przyszły na świat dwa młode gołąbki. Miłość mażeńską w takich razach przetapia się na cenniejszą dla gatunku miłość rodzicielską. Żonie i mężowi pozostaje w udziale przywiązanie i wspólność pracy dla jednego celu.

Trzeba widzieć jak rodzice-gołębie karmią swoje dzieci; niema tu jeszcze tego podziału pracy, co u ludzi: karmi zarówno matka jak i ojciec;

zresztą, jest to zupełnie to samo: żywienie niemowląt sokami własnego organizmu.

Ale na samotnej, polnej gruszy, z obrazkiem Matki Boskiej, przesiadywał całymi godzinami posępny sąsiad, jastrząb. Za pomocą długich szponów, kończących żółtawe palce, trzymał on się silnie gałązki gruszy i jako król całego miłowego widnokregu rozglądał się cheiwém, dzikiem okiem po swoim terytoryum. On sam jeden tylko panował w tej okolicy, bo jastrząb nie może mieć drugiego współzawodnika swego gatunku w pobliżu; okolica nie zdołałaby ich dwóch wyżywić. Jest tylko pewna ilość słabych pożeranych i mocnych pożerających. Gdyby się wyczerpały ofiary w danej miejscowości, drapieżcy musieliby pożerać się między sobą.

Porosły dwa gołąbki w pałki, potem w piórka miękkie jeszcze i słabe; były tłuste, pulchne, dzięki troskliwości rodziców.

Jantkowa wiedziała dobrze o tych rodzinnych stosunkach. Weszła więc jednego ranka pod strych, zabrała w fartuch parę piszczących niemowląt, które się niedołąźnie trzepotały, przyniosła je do chaty, wzięła ostry kozik, poczem wyszła przed próg domu; tutaj poderznęła gardło jednemu gołąbkowi i rzuciła go na ziemię, poderznęła drugiemu i uczyniła to samo. Zobaczyła biała matka swoje dzieci we krwi broczące i z piskiem boleści rzuciła się na ziemię. Dotykała to jednego, to drugiego. Na nic się żalóść

matki nie zdała!... Krwią tylko drogiej dzieci poplamiała swoją białą sukienkę. Po pięćkroć czylniła to samo, wzlatając w górę i spadając ku ziemi.

Jantkowa obojętnie podniosła uśmiercone gołąbki, położyła je sobie przy nogach, usiadła na progu i poczęła oskubywać z pierzy; przygotowywała ona z tych trupów podwieczorek dla siebie i dla kochanka swego, Jaśka Skórzaka, który pod nieobecność Jantka odwiedzał zagrodę, jakkolwiek Burek zawsze protestował przeciwko tym odwiedzinom.

Skubała Baśka gołąbki; wiatr porywał młode piórka i unosił w powietrze, a Maciek ze swoją żoną już nie gruchali na strzesze, lecz smutnie jakoś rozglądali się po świecie. Może czuli w powietrzu woń krwi pomordowanych dzieci i oddawali się smutnej rezygnacyi.

Kiedy nad cichą zagrodą wiejską pojawi się szkodnik taki jak jastrząb, to przeciw niemu istnieje od wieków uorganizowana koalicja spokojnego ptastwa. Spostrzegają go zwykle pierwsze jaskółki; jeżeli jedna z nich wyda ostry krzyk trwogi: „wit! wit!” wnet zlatuje się całe stado innych. W mgnieniu oka stowarzyszają się z jaskółkami pliszki-trzęsiogonki i cała taka gromada ptasząt, goniąc za rozbójnikiem, obwieszczą *urbi et orbi*, aby się miano na baczności, kto tylko żyw. Jastrzębowi nie może to być żadną miarą przyjemne; ale gońże tu taką jaskółkę,

która ciało chrabąszcza unosi na wybornie ukształtowanych skrzydłach, a widelkowatym ogonkiem steruje, jak żaden z powietrznych żeglarzy, chyba jedna mewa. Wobec krzyków i hałasów owych drobnych ptaków, jastrząb nie może w tajemnicy dokonać dzieła plondrowania; rabować musi jawnie i otwarcie. Głupiej on nieraz wśród wrzasku małych ptaszyn, wpada pomiędzy cieniście drzewa, chcąc ująć przed pogonią natrętów. Ale i tu także zostaje wytropiony i wylajany, co się zowie. Często atoli, zanim go dopędzą, porwie jakiego domowego ptaka i, dopadłszy gęstwiny, spożywa. Tak się właśnie stało teraz, kiedy smutny Maciek ze smutną samieczką siedział na strzesze chałupy. Zaledwie szybująca w górze jaskółeczka wydała hasło baczności, a już nasze gołębie nie miały czasu schronić się do dymnika. Maćkowi nie pierwsze było potykać się z tym jastrzębiem; znał on wszystkie jego podstępny i wykręty, bywał już przezeń i znienacka napadany. Porwał się tedy gołąb, bijąc jak najmocniej skrzydłami, co sprawiało trzask niezmierny i widocznie już niepokoilo słuchowy aparat jastrzębia. Poleciał Maciek ponad lasy, pędził po bohatersku, a wierna żona jego już mu od samego początku sprostać nie zdołała. Żeński organizm nie wyrówna nigdy męskiemu, gdy chodzi o stanowczy czyn walki. Jastrząb gnał zdaleka w tyle. Ale gdy słynny ten łowca ujrzał się ponad borem i w błękitnych przetworach, był

już w swoim żywiole. Roznamiętniła się jego myśliwska dusza, rozpiął, jak żagle, dwa potężne muskularne skrzydła i rzucił się całą siłą do lotu. Wysoko w górze zawisły dwa ptaki: Maciek i jastrząb, a biała samiczka, jak strzępek mgły, pozostała niżej i, dobywając ostatnich sił odbita od towarzysza, chyżo pruć powietrze w powrocie od rodzinnego dymnika. Powyżej nad nią, lecz najprzód pozostawiony w znacznym odstępie, gnał jastrząb. Pogoń była straszna, ucieczka rozpaczliwa. Już, już widać Jantkową chałupę, dym się z niej kurzy, widać i dymniki. Jeszcze chwila wytrwałości, a zbawienie nastąpi. Ale siły opuszczają gołębicę. Pędzi ponad smolarnią Szmula, już jest nad chatą Mroza; jastrząb tuż nad ję karkiem. Biędny gołąb gdzieś się schronić musi. Rozgrywa się ostatnia scena: trzeba albo dalej pędzić, albo się w dymnik rzucić. Jak spaść na dół, mając nad sobą prześladowcę, który właśnie tego tylko wyczekuje? Gołębica w rozpaczliwem położeniu robi krok ostateczny; stuliła skrzydła i całym pędem leci na łeb ku dołowi. Leci za nią i jastrząb w pogoni zapalczywój, z wyężonem okiem, z dziobem i szponami, skierowanymi na ofiarę. Spadła przy samym otworze dymnika, jastrząb spadł także prawie jednocześnie, zadając ję w tęg chwili dziobem cios śmiertelny w czaszkę. Posypały się białe piórka mordowanej gołąbki i bujały w powietrzu, mieszając się z pierzem ję dzieci. Jastrząb, ścigany przez jaskółki

i pliszki, uchodził w gąszcze boru, unosząc w szponach ofiarę, zabita z całą znajomością anatomii, jak świadczy roztrzaskana czaszka.

Maćka długo potem nie było widać na strzesze Jantkowej chałupy, został znowu emigrantem. Czy sobie jeszcze poszuka nowój żony? Czy ją sprowadzi znowu do swego gołębiego gniazda, czy może sam się do nowój żony sprowadzi? Wszystko to jest na ziemi praktykowane przez ludzi i przez zwierzęta.

Ptaki dzielne nie są gorsze od dzielnych ludzi. Energia, wytrzymałość, hartowność, tak w jednym jak i w drugim gatunku są korzystne i stanowią enoty pierwszorzędnej wartości.

Kiedy Mróz wszedł do chaty, powróciwszy z pola na południe, ujrzał na nalepie leżącą parę oskubanych gołąbków. Markotnie mu się zrobiło i mruknął pod nosem do Baśki:

— Że téż nie poczekasz, aż się gołębie rozmnożą! Kto widział zabijać piérwszą parę młodych!

Oburknęła się na to Baśka:

— A juści, będę czekała, aż jastrzębie wszystko wyjedzą! Do garnka nie mam co włożyć! Z głodu mrę po dniach całych!.. Cheesz sam, to żyj tak, ja bo nie cheę.

Ale Jantek nie jadł tych gołąbków. Zjadł trochę kaszy, przegryzł kawał chleba, w stajni przesiedział resztę południa, poczem zaprzął do pługa konie i w pole pojechał orać przed żniwami ugór.

IX.

Wierność psa i niewierność żony.

Niedługo po wyjeździe w pole Jautka ukazała się pod lasem ulańska czapka gajowego, który przybywał na romans z żoną zagrodnika i na podwieczorek. Zerwał się Burek z barłogu i zuchwale poskoczył do przybysza. Jasiek kłął mu od „suezych synów”, a pies podchodził to z przodu, to z boku, z tyłu.

— Zginiesz ty z mojej ręki, pogańskie nasienie!—Przemawiał Jasiek, oganiając się strzelbą na wszystkie strony. Burek tymczasem dopadł do kurty gajowego, urwał jej kawałek i zabierał się do nowego ataku, kiedy właśnie wypadła z chłupy Baśka i, wymyślając psu straszliwie, groziła patykiem. Skompromitowany stróż domu, zziębnięty, leżał pod lasem z wywieszonym językiem i odpoczywał.

Podziwiamy niekiedy wytrwałość człowieka, cenimy jego obowiązkowość i pilność, stawiamy go drugim za przykład. Przy tém wszystkiém zapominamy o jednej rzeczy, mianowicie, że znacznie niższy od człowieka organizm odznacza się temi samemi zaletami i to w znacznie cięższych warunkach. Człowiek od dzieciństwa odbiera wychowanie w kierunku wyższego uszlachetnienia;

w dalszém życiu ma on téż liczne pobudki, aby kroczyć po drodze przez wychowanie wytkniętej. Jednakże, uderzmy się w piersi szczerze i przyznajmy, że niewielka tylko ilość naszych bliźnich zdoła sprostać jakiemu uczciwemu psu, gdy idzie o wytrwanie na stanowisku. Ileż to człowiek posiada nieraz arogancyi, pretensjonalności, wymagań! Nietyle on dba o powierzone sobie stanowisko, nietyle poczuwa się być odpowiedzialnym, ile chodzi o dobre uposażenie, wygody, zabawy, przyjemności. W porównaniu z takimi ludźmi pies jest fanatykiem obowiązku. Psu widocznie nie brakuje ani poczucia obowiązku, ani uczucia szlachetnej wdzięczności, skoro za marne kości i ochłapy płaci człowiekowi gorliwą służbą. Jest to kwestya godna głębokiego zastanowienia, dlaczego człowiekowi, istocie uświadomionej, stawiamy wzory, które u tak zwanych nieuświadomionych istot znajdują się częstokroć w pełném wykończeniu. Pies, raz nauczony, aby nie kradł, nie kradnie nigdy. Miałaby wyższość człowieka polegać na owój osławionej wolnej woli, która sprawia, iż kraść można nawet wtedy, kiedy ucza i kiedy się dobrze wie, że kraść nie jest wolno?

Życie psa godne jest zaprawdę sumiennego etycznego traktatu.

Jasiek wszedł do izby w czapce, postawił strzelbę pod oknem i poufale pocałował Baškę w usta. Jantkowa zupełnie inną była przy Jašku. Mąż oddawna widział ją tylko złą i zadąsaną a obur-

kliwą; nie chciała z nim o niczem mówić; na pytania odpowiadała mu krótko i opryskliwe, najczęściej zaś kłęła oraz wymyślała. W ciągu pół roku, Baśka zmieniła się dla męża do niepoznania; szczególnież zaś podzialał na nią w ostatnich czasach stosunek z gajowym Skórzakiem. Kiedy się z nim spotykała w porębie lub i w męzowskim domu, wtedy się ożywiła przyjemnie, była łagodna, uśmiechnięta, piękna; roztwierała z wdziękiem koralowe usta i ukazywała dwa rzędy białych jak perły zębów. Policzki jój nabierały jakiejś miłej krasy, oczy—połysku. Przytém dodać należy, iż na przyjęcie Jaśka Mrozowa usiłowała zawsze podnieść siłę swych wdzięków, przyczesywała włosy, zawiązywała umiejętnie chustkę na głowie, poprawiała na sobie kokieterynie gorset i na szyi korale; bardzo często nawet oblekala najlepsze szaty, jakie miała w skrzyni. W miarę tych wszystkich usiłowań o upiększenie, zmniejszyła się, a nawet ustała zupełnie pracowitość Baśki. Nietylko że mąż nie miał z niój żadnej wyreki, ale wszystko babskie gospodarstwo w chałupie leżało odłogiem.

Jaśiek, jako żołnierz, umiał właściwie oceniać wdzięki Jantkowej. Nie prawil on jój wprawdzie komplementów, lecz składał wiele różnych dowodów swego kochania. Śmiałość, szorstkość w objęciu mężczyzny mają nieraz u kobiet powodzenie i to nietylko pod słomianą strzechą.

Gajowy, przybywszy teraz właśnie, zaraz po

przywitaniu się z kochanką, dobył z myśliwskiej torby manierkę z wódką, sam najprzód pociągnął łyk spory, potem naczynie podał Jantkowej, która się z kolei napiła. W dalszym ciągu uczytę pojawiała się na stole ryneczka z duszonymi w maśle gołąbkami Gajowy bez ogródki wziął w palce jednego ptaszka i schrupał go z kośćcami. Znowu popił wódką, podając i tą razą Baśce manierkę. Baba lubiła wódkę, więc piła na równi ze swoim kochankiem.

— Jedzcież jeszcze tego gołąbka.—Mówiła Jantkowa, podsuwając gajowemu ryneczkę z ostatnim kąskiem.

— A ty to, Basiu, nie będziesz jadła? — Zachęcał Skórzak. Ale Baśka ułamała dla siebie tylko jedno skrzydełko i znowu zachęcała Jaśka do używania na pieczonych gołąbkach. Gajowy i tym razem nie dał się długo prosić. Znowu poszła w kurs manierka i została już nareszcie teraz wypróżniona.

Dobrze tym ludziom było w porębie, ale dobrze i w chałupie. Zamaszysty Jasiek przypadł do gustu Mrozowej; całował ją w usta, przysiadł się do niej, obejmował i sadzał na swoich kolanaach... Te praktyki odbywają się zresztą zawsze podług jednego systemu i niema tu nic nowego do wynalezienia. Miłość potrzebuje tylko samotności, a wychowywać jej nie potrzeba. W przyrodzie ma ona cele inne, poważne cele i zadania utrzymania gatunku; w świecie ludz-

kim uczucie to służy jeszcze do miłego spędzenia czasu, do zabawy. Bawimy się miłością i na temat miłości, dzięki czemu literatura oraz sztuka posiada wielką ilość dzieł, w kochaniu znajdujących swe źródło. Zdziwiałoby istotnie ta ludzka obfitość kochania i wielkie urozmaicenie. Tu się tworzą i znikają ideały życia rodzinnego. Surowa moralność karcie oraz miarkuje niepowsięgłość człowieka w miłości, a jednak według świadectw najoczywistszych, miłość tryumfuje nieustannie nad moralnością. W wielkim prawie życia i to musi mieć swoje objaśnienie, dlaczego człowiek rozwija się i kroczy w kierunku pomnażania oraz wzrostu popędu płciowego. Samo bowiem powiedzenie, iż cywilizacja przynosi zgniliznę i skażenie obyczajów, nie może stanowić dostatecznego wytłomaczenia kwestyi. Miłość gubi, ruinuje, upośledza, sprawia nieszczęście rodzin, społeczeństw, jednostek. Nazywamy ją to prawą, to nieprawą i wszystko nie nie pomaga, gdy chodzi o postawienie tamy najpotężniejszej ze wszystkich namiętności. Sami prawodawcy i głosiciele praw, każący przeciw temu popędowi, padają jego ofiarą. W świecie zwierzęcym jest wyższa pod tym względem legalność miłości, jeżeli chodzi o wzory. Etyka nakazu i zakazu nie da sobie rady z takim orzechem twardym do zgryzienia. Przy jej systemacie Bałki będą zawsze oszukiwały i zdradzały Jantków do wspólnki z Jaškami. Oszustwa i zdrady nie byłoby,

gdyby Baśka, miasto wprowadzać gacha do męzowskięj zagrody, opuściła natychmiast chałupę Jantka i połączyła się ze Skórzakiem.

X.

Na posterunku.

Każdemu, kto wiernie i rzetelnie strzeże swego stanowiska, grożą bardzo liczne niebezpieczeństwa. Strażnik cudzej własności, gdy jest sumienny, ma zwykle nieprzyjaciół zapalczywych we wszystkich, którzy sobie cudze mienie przywłaszczyć pragną. Dzięki położeniu miejscowości, Burek, pies przy Jantkowej zagrodzie, naraził się niepospolicie rozmaitym ludziom i zwierzętom. Tylko wrodzony psi rozum ocalił go w zimie przed napaścią wilków. Po kupie bowiem liści oraz gałęzi zemknął był pies nasz przez głodnymi wilkami najprzód na przystawkę, a stamtąd na strzechę chałupy, gdzie szczekał i ujadał tak natarczywie, że nareszcie obudził swego gospodarza. Obniosło się to po okolicy i nazywano Burka mądrym psem, podczas gdy do Jantka stosowano ironicznie przydomek „mądrała”. Na nieszczęście, wilki nie stanowiły jedynych nieprzyjaciół Burka. Zawsze i wszędzie gorszym od zwierząt, jako nieprzyjaciół, jest człowiek. Sąsiedzi Mroza, którzy po nocach wykradali drzewo

z lasu, byli regularnie przez psa niepokojeni. Wybiegał on bowiem z zagrody i tak strasznie dojadał, doskakiwał, jakby kto okradał jego pana. Jantek lub Baśka wychodzili w takich razach z chaty i nieraz oko w oko spotykali się z leśnym złodziejem, co—naturalnie—było kompromitujące dla tego ostatniego. Spotkanie takie kończyło się zawsze niewinnie, bo złodziej mówił: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!” Poczém dodawał: „Zawołajcież tam do budy tego psiajuchę!” Mróz odpowiadał: „Na wieki wieków amen!” A psa nibyto gromił i prawie przemocą od lasu na podwórko wciągał. *Inde irae* kolonistów ze wzgórza. Burek szczekał zawsze, nawet wtedy, kiedy słyszał rąbanie w lesie, a słuch miał on zaiste lepszy od ludzkiego.

Złodzieje koni koncentrowali się znowu około smolarni Szmula. Chociaż to było o jaką wiorstę drogi od chałupy Jantka, pies zawsze jakoś zwietryzył pismo nosem, wpadał ze wściekłością do lasu i okrutnie obszczekiwał kradzież.

— Nie uchowa się tu ta podła bestya! — Mruczał smolarz w gniewie. A niech no złodzieje z końmi przejeżdżali około chałupy, to już wtedy nie było końca i miary wściekłości Burka. Bo pies czuł, że to są złodzieje. Oburzał on się całą swoją psią uczciwością na bezczelność łotrów, którzy się ośmielają chodzić po równej drodze. Wypadał wówczas z zagrody, dopadał jadącym konno do łydek, zastępował drogę, rzucał się ko-

niom do pyska, budził szczekaniem psy okoliczne, robił po świecie gwałt na bezprawie i mógł nieraz być wskazówką dobrą dla ścigających złodzieja. Krótko mówiąc, Burek, podobnie jak Mróz, nie był w tém miejscu pożądanym przybyszem. Ale nie tu koniec jego nieprzyjaciół. Nienawidził on szczerze gajowego, Jaśka Skórzaka. Parę razy podarł na nim nawet kurtę i ilekroć zdołał doskoczyć do nogi, nie omieszkał chwytnąć ostrym zębem. Na tym pukecie swoich uczuć Burek znajdował się w stanowczej sprzeczności z interesami oraz sympatjami swojej pani, bez interwencji której gajowy nigdyby nie zdołał przekroczyć progu Jantkowej chałupy. Baśka poczęła też żyć dla psa uczucie nienawiści.

Przypomina nam to pewne finansowe instytucye, gdzie człowiek, wykrywający złodziejstwa, dostaje uwolnienie ze służby, dymisją, ponieważ jest „złym kolegą i nie da się nikomu *pożywić*”. Burek był kandydatem do dymisji tego gatunku. Było przecież niepodobieństwem, aby istota tak naiwna, jak on, mogła na tym świecie spokojnie pożywać krwawo zarobiony kawałek chleba. Wszakże wtrącał on się zupełnie w nieswoje rzeczy, obchodziła go rzeczpospolita, jak gdyby był konsulem.

Znacznie właściwiej zachowywały się psy Wronieckich kolonistów, psy gruntownie porządne, włożone w tolerancją ludzkiej nizeczemności. Jako stróże porządku i bezpieczeństwa, czekały one

dla formy tylko, jeżeli ktoś już zbyt nierozważnie robił za dużo hałasu po świecie; poszczekiwały, ale wtedy tylko, kiedy szczeakać *wypadło*, bez narażenia się komubądź,—np. po odaleniu się złodzieja na znaczny dystans. Takie pieski mają zawsze zapewniony kawałek chleba i w zupełnym bezpieczeństwie mogą przeżyć Matuzalowe lata.

— Raz z tym psem Mroza skończyłoby trzeba! — Mówił kolonista Szymczak do serdecznego kuma Musiała.

— Nie można przejść ani przejechać spokojnie około tej przeklętej chałupy! — Wtrącał Gajda.

— Sobaka jedna, zjadłaby człowieka! — Wołał dalej zirytowany Szymczak.

— Dobrze to mówić. — Odpowiadał przezorny Musiał. — Ale co z nim zrobić, kiedy jucha; prze mądrzała? Rzuciłem już psikrwi trutkę ze sadła chleba i tłuczonego szkła; na nie się nie zdało, nie chciał wziąć psiakość.

— Ba!—rzecze Szymczak. — Skórzak mu dawał kielbaskę z trucizną taką, co lisy i wilki nawet biorą, a nie zjadł; cóżby miał dopiero szkło zjadać!

Szum swoją drogą, a złodzieje swoją—wszyscy czatowali na życie Burka. Ale pies był istotnie mądrym; wołał w chałupie jeść niestrawne kartofle, chleb czarny, niż z cudzej ręki niby to przysmaki przyjmować. Miał on biédak za swoje!..

Kiedy się dopięro i Mrozowa zawzięła na niego, biła żarnówką lub drągiem bez najmniejszej przy-

eżyny, a jeść nie dawała po całych dniach, spo-sepniał Burek i gorzkie bardzo miał życie.

Jakoś w maju wyprawił się ten wierny pies do Wronieckich kolonij na psie wesele. Każdemu psu wolno to robić na świecie, lecz nie jemu. Rzucili się bowiem niebawem koloniści na Burka, poczęli go okładać drągami, tak że, zmykając przez płoty i rowy, zaledwie uszedł z psią duszą do domu. Był to wyraźny spisek, bo całej bandzie innych psów balujących nie podobnego nie wyrządzono. O ileż zresztą postępowanie jego było naganniejsze od zachowania się Jaśka i zamężnej Mrozowój?

Najpoważniejsze niebezpieczeństwo zagrażało Burkowi ze strony Skórzaka. Albowiem gajowy wróg psa i Mroza, przyjaciel zaś Baški, był celnym strzelcem, a nosił zawsze przy sobie nabitą pojedynkę. Pierwsze lepsze ich spotkanie się gdzieś w odludniejszém miejscu musiało być dla psa ostatnią chwilą życia. Pod chałupą nie śmiał się Jasiek dopuścić tego morderstwa; Mróz nigdy by mu straty psa nie przepuścił płazem, jakkolwiek przez szpary patrzył na bałamucenie żony. Taka to jest czasem dusza ludzka i takie dokoła niej stosunki! To pewna, że pies Burek wcześniej lub później zginąć musiał w sposób mniej naturalny: od kuli lub trucizny. Kto wie, czy między Baską i Jaśkiem nie istniała jakaś zмова co do téj kwestyi.

Nadeszła wreszcie fatalna godzina!.. Zdarzyło

się, iż w smolarni zdechła Szmulowi stara szkapa. Jak zwykle w takich razach, odarto ze skóry zwłoki konia i mięso wyrzucono na porębę. Tutaj na biesiadę schodziło się wszystko zgłodniałe stworzenie żywe. Konina daleko dawała znać mieszkańcom boru o swojej obecności. Wietrzyły ją lisy, a może i wilki; stado wron, kruków oraz srok obsiadło stół bogaty w posiłek. Na jakie pół mili drogi schodziły się tu psy z okolicy. Nie ubliża to przecież weale Burkowi, iż będąc w chałupie zmorzonym, a powodowany przez zdrową psią naturę, zapragnął skosztować istnego przysmaku wielu zwierząt mięsożernych. Zresztą, końska padlina nie różni się znowu tak dalece od cuchnącego zająca lub sarny. Wybrał się pies z zagrody i szedł, gdzie go niósł zmysł powonienia, pobudzający wydzielanie przyjemnej ślinki w ustach. Przybywszy na porębę, musiał tu walczyć o miejsce, zajęte przez różnych współplemieńców. Miejsce zdobył sobie wprawdzie, bo był silny, lecz tu właśnie położył głowę. Bo Jasiak przechodził tędy według zwyczaju, spiesząc z odwiedzinami do Baški, — zobaczył psa na nieswoich śmieciach i za pomocą celnego strzału doł do stariej padliny końskiej psią nową.

Tak zginął Burek, ofiara swojej energii i wierności! Choć to był tylko pies, zasługuje on na ludzkie współczucie. Oby tak każdy człowiek strzegł wiernie stanowiska swego i gotów był umrzeć w imię obowiązku!

Mniejsza o to, iż psu nie przyznajemy świadomości duszy. Tem gorzej dla nas.

VI.

Pierwotny pojedynek.

Powiedziano jest, że człowiek, to morze niezgłębione, tymczasem od wieków ludzie ludzi badają i rezultaty tego badania zapisują się w organizacji ludzkiej; na tej zasadzie złodziej szybko porozumiewa się ze złodziejem, a nigdy złodziej taki nie porozumie się z uczciwym. Odczuta sympatya lub antypatya nie jest niczem innym, jak tylko ową notatką, którą otrzymaliśmy od przodków naszych w dziedziectwie gwoli oryentowania się co do bliźnich. Jeśli się tu zdarzają pomyłki, to tylko dowód, że badanie człowieka przez człowieka nie jest jeszcze wykończone.

Mról czuł zawsze wstręt do Skórzaka, a Skórzak bał się czegoś Mroza i nienawidził go. Stosunek tego rodzaju miał swój rosnący postęp; musiała przeto nadéjść chwila, że im obu było ciasno na świecie. Starcie gwałtowniejsze było tu nieuchronne, pomimo wiele łagodnego usposobienia Mroza; a to tembardziej, że stosunek małżeński w zagrodzie pod lasem zmienił się w nieustającą wojnę, dzięki miłostkom Jantkowej z gajowym.

Jantek nie był bynajmniej chory na jakąś ekliwą miłość dla Baški, jak się to czytuje w sentymentalnych romansach. On mógł się bić o kobietę, ale nigdyby sobie z miłości nie odebrał życia. Wszelkie obłądy miłosne tego rodzaju są chorobliwym stanem, pochodzącym z miękkości dzisiejszego wychowania. Dobry ludzki rozsądek musi koniecznie powiedzieć mężczyźnie, że on wart jest przynajmniej tyle, co ukochana przezeń kobieta. Tymczasem niepowołani erotyczni bardowie rozpowszechniają niezdrową atmosferę uczuciowości, która zaciemnia człowiekowi widnokreśli życia. Jest to rozpusta duchowa, popychająca w otchłań bezmyślności. Bezcelowe i nieoznaczone majaczenie na temat miłości jest plagą społeczną, bo mnoży niedowarzone głowy, które niejednokrotnie kończą wreszcie na sprośnym cynizmie.

Mróz miał dla żony prostotne i szczere przywiązanie; brak mu było atoli stanowczości w charakterze oraz pewnej ostrości, aby zaimponować babie takiój, jak Baška. Miłość jego jednak słabła i zanikała, kiedy go żona przestała kochać. Czuł, że traci dłoń przychylną, że niema na świecie nikogo, coby mu udzielił wsparcia. Wprawdzie w duszy jego powstał nieraz domysł, że Baška sprzyja gajowemu lecz był za słaby, nieśmiały, aby z nią o tém mówić.

W tój słabości i nieśmiałości co do spraw uczuciowych tkwił u Mroza brak egoizmu, leżało ziarno szlachetności. Niezawsze słabość taką umie-

my oceniać właściwie w ludziach. Dobra natura ludzka i bez wykształcenia posiada swój grunt szlachetny, bez którego nauka i wykształcenie nie nie zrobią. Organizmy szlachetne wyrabiają się historycznie i są odziedziczane w krwi, kościach, w nerwach. Nauka może stać się orężem niebezpiecznym w rękach nieszlachetnych.

Zbieg okoliczności był taki, iż jakkolwiekby były poszły wypadki, Jantkowa musiała męża opuścić. Charakter Mroza właśnie sprawiał, że Skórzak powziął ostatecznie myśl zbrodniczą uwolnienia się od rywala. Odgrywała tu zapewne jakąś rolę i chciwość gajowego, bo Baśka, jako wdowa, zostałaaby dziedziczką zagrody pod lasem.

Traf zrządził, iż zbrodnia się nie spełniła. i przyszło do rodzaju pojedynku, w którym Jasiek za ledwie życia nie utracił.

Każdy pojedynek jest szczątkową pozostałością starych walk, jakie przodkowie ludzcy staczali niegdys o żywność lub o kobietę. Typ walki takiej odtworzyli właśnie Jantek i Jasiek.

Mróz był chłop wysmukły, giętki, wysoki, zbudowany kształtnie; nosił długą czarną czuprynę, która mu zakrywał uszy i na kark zachodziła. Siłę posiadał znaczną. W ciemnych jego oczach jaśniała pogoda, spokój oraz pewność siebie, jaką znaczna siła fizyczna i zdrowie nadają charakterowi człowieka. Nie unosił się prędko, do bitki nie był skory; lecz w danym razie — pewniejszy za to tryumfu.

Skórzaka nieco już znamy: u tego chłopca wszystko koncentrowało się w barach i w karku. Tu rozrósł on się olbrzymio; nogi miał nieco kabłąkowate, jako ekskawalerzysta; szyja jego była gruba i krótka, a szerokość karku równała się prawie poprzecznej średnicy czaszki. Ramiona rąk Jaśka robiły wrażenie potężnych konarów drzewa i zapowiadały, że biada nieprzyjacielowi, któryby się dostał w ich uściski. Gajowy był jednak mniej zwinny człowiekiem; przy Jantku wydawał on się jak ciężki wół obok rączego konia, albo jak niedźwiedź obok jelenia. Na twarzy miał skórę czerwoną, a w siwych oczach pałała złość oraz zawziętość; na ustach Skórzaka nawet niepsycholog wyczytał łatwo brutalność i lekceważenie drugich.

Nietylko Baśka pasła krowy w porębie; po nocach pasał tam także Mróz swoje szkapy, zwykle od zmierzchu do świtu. W tym czasie Jasiek przesiadywał zwykle u Mrozowej.

Jednego razu gajowy około północy opuścił kochankę. Miał jakąś złą myśl w głowie, bo nie przewiesił strzelby na ramieniu, ale wziął ją pod pachę i, wchodząc do boru, odwiódł kurek. Była to prześliczna noc lipcowa, pogodna a chłodna. Światły księżyc kręgiem toczył się po szafirowém niebie; w świetle jego srebrnymi blaskami rosa jaśniała na trawach, a wielkie drzewa lasu zdawały się spokojnie wpatrywać w gwiazdy. Pod lasem bielizną świeciła Jantkowa zagroda.

Wszedłszy w bór, Jasiak stawiał kroki ostrożniej i uważniej, niż zwykle. Przeszedł zdala koło smolarni i gąszczem przebrał się po ścieżynach do poręby. Tu nasłuchiwał bacznie.

Człowiek taki, jak Skórzak, gdy raz powziął myśl, aby zabić, to zabić musi i myśli tylko o tém, ażeby zabić dobrze. Stanąwszy u kresu podróży, gajowy wychylił głowę na porębę i rozglądał się dokoła.

Poręba w ciemnym lesie wygląda w noc księżycową jak rzeka światła, zamknięta brzegami czarnej otchłani. Z jednej strony padał od drzew gruby cień na trawę. Gajowy znał dobrze każdy prawie punkt w boru, a przecież się omylił.

Odezwało się parsknięcie konia. Jasiak szedł wzdłuż poręby i po jej zacienionej stronie. Niedługo bystrém okiem dostrzegł parę splepanych koni, pasących się od téj strony, która była jasno przez księżyc oświetlona. Jantka nie mógł żadną miarą dopatrzeć. Podeszedł więc chyłkiem bliżej i ujrział nareszcie wyraźnie chłopca, siedzącego na ziemi w czarnym kapeluszu.

Mróz, przybywszy na porębę, pętał konie a potem kładł się zwykle spać; często wszakże budził się, pomnając, że o złodzieja w lesie nietrudno; myśl taka niekoniecznie pomaga do snu troskliwemu gospodarzowi, zwłaszcza w okolicy, gdzie, podobnie jak lis i jastrząb, herszt złodziejski, Szmul obrał sobie rezydencyą.

Nocą każdy pasterz wybiera sobie do spoczyn-

ku jaki wzgórek, kładzie się też chętnie pod krzakiem. Mróz upatrzył sobie w porębie blisko lasu pniak po ściętej sośnie i pod nim ułożył do spoczynku poziomo swój organizm. Długo leżał wznak, a zasnąć nie mógł; patrzył się w jasne gwiazdy na niebie; o czémś musiał koniecznie myśleć, ale trudno wiedzieć o czém; w takich razach majączy się zwykle człowiekowi to i owo. Do zaśnięcia przeszkadzał Mrozowi dosyć sztywny kapelusz na głowie, zdjął go więc i na pniaku położył; potem nakrył głowę sukmaną i zasnął mocno.

Skórzak podszedł na jakie sto kroków, a choć mu cień drzew przeszkadzał w obserwacji, ciągle jednak widział chłopca w kapeluszu, siedzącego na ziemi; tak mu się bowiem pniak sosnowy przedstawiał. Przy blasku księżyca, po oświetlonej stronie poręby rozpoznał maść koni Jantkowych. Nie mógł przeto mieć wątpliwości, że przy nich znajduje się sam właściciel.

W nocnej ciszy słycać było sapanie i chrapanie śpiącego. Mógł przecież Jantek, siedząc przy koniach, drzemać i chrapać; tém bardziej Skórzakowi wypadało mieć się na baczności, bo spanie siedzącego jest wpółczuwaniem.

Gajowy przykucnął na ziemi, czał się jak kot, przyklęknął na jedno kolano, zmierzył prosto w rzekomy łeb, nakryty kapeluszem. On był zawsze tak pewny swojego strzału; od paru lat

nigdy nie chybił, z wyjątkiem jastrzębia na gruszy ze świętym obrazkiem.

Rozległ się złowrogi trzask i straszném echem przeleciał w stokrótnych odgłosach po milejącym boru. Gwałtownie podskoczyły spętane konie, rwąc się do biegu, a dym wystrzelonego prochu zaciemnił Jaškowi przed oczyma cały widok...

Gwiżdżąca kula przeleciała tuż nad głową uspiętego Mroza i uderzyła w pniak sośniny poniżej kapelusza, który od wstrząśnienia spadł na ziemię.

Porwał się Jantek na równe nogi, a widząc, że koni nikt nie ukradł, popatrzył wkoło siebie. Wtém usłyszał nagle szum i łomot gałęzi, przez które ktoś uciekający widocznie się przedzierał; wśród nocej ciszy słyszał téż wyraźnie odgłos kroków pospiesznych. Puścił się więc odważnie i całym pędem w tę stronę, dokąd go ucho niosło. Poskoczył w las i znowu słyszał wyraźnie, że ktoś ucieka; rzucił się przeto w pogoń. Wypadł na małą polankę i ujrzał wyraźnie już człowieka w kaszkiecie oraz kurcie, chroniącego się między krzaki. Może poznał Jaška, bo zdwoił siły; w kilku susach przebył smug mały, wpadł w straszliwą gęstwinę; mimo to, biegł ciągle przed siebie...

Jasiek z początku zmykał, ile mu sił starczyło; chybiony strzał przeraził go okropnie i ogłupił, jak kota skok nieudany. Słyszał za sobą pogoń Jantka. W gąszczu atoli opamiętał się; wszak posiadał jeszcze w torbie proch i kule. Jakkolwiek

więc miał za sobą przeciwnika, rzucił się jednak na ziemię, przyległ i w cichości a nader szybko począł nabijać strzelbę. Przecież tym razem jużby zapewne nie chybił zwierzyny, która sama przychodzi do niego i strzału się doprasza. Już nabił, w ciemności puszkuje tylko kapiszona... Kiedy naraz poczuł się być przygnieciony, czyjeś nogi miał na głowie.

Mróz w zapędzie wlaźł na gajowego; ale kiedy poczuł żywe ciało pod stopami, odskoczył w bok szybko, jakby żmiję nadeptał. Porwał się też i Skórzak na nogi, a kolbą strzelby uderzył silnie w piersi Jantka. Mróz pochwycił wtedy oburącz pojedynkę, skoczył w bok, pociągnął z całej siły do siebie i wydarł ją przeciwnikowi, który stracił teraz równowagę, zachwiał się na nogach.

Posiadacz oręza postanowił wyzyskać jak najlepiej swoje korzystne położenie; wznosił strzelbę w górę i strasznym ciosem godził prosto w głowę gajowego; lecz strzelba, użyta jako broń biała, znowu chybiła celu, ominęła głowę i strzaskała się o twardy pień grabiny; lufa wyleciała w powietrze, poczem spadła gdzieś w krzaki; tylko kawałek kolby pozostał w rękach Mroza. Przystoczył Jasiek do swego przeciwnika, usiłując go wpół pochwycić; jednakże resztką strzelby otrzymał tak silne pehnięcie w usta, iż czuł zupełną ruinę dziąseł, szczęk i zębów. Po tej dotkliwej porażce, gajowy począł się cofać ku polance,

Jantek nacierał potężnie i wyparł nieprzyjaciela na otwarte pole.

Teraz księżyc oświecił ich obu, zawziętych, krwią zlanych, bez nakrycia głowy i w poszarpaném odzieniu.

— To ty, zbóju!—Ryknął Mróz, z roziskrzonym okiem i zapamiętałością waląc się na Skórzaka, który odskoczył, aby z boku napaść i wpół uchwycić męża Baški. Gdyby Jasiek raz ujął w ten sposób przeciwnika, nie puściłby już żywego, gdyż w zapasach tego rodzaju na tém właśnie zwycięstwo polega. Pochylił się tedy Mróz naprzód, aby środek ciała trzymać jak najdalej od napastnika, tak że Jasiek krótkimi rękami zaledwie zdołał uczepić się odzieży na biodrach nieprzyjaciela. W skutek zręcznego zwrotu oraz gwałtownego szarpnięcia ze strony Jantka pozostały w garściach gajowego tylko kawałki szmat z ubrania, Jasiek chybił więc znowu skoku.

Nastąpiła chwila jakby zawieszenia broni; lecz trwało to krótko. Jasiek znowu przybywał z napadem.

Mróz nie mógł się kusić o to, aby wpół uchwycić krępego leśnika, gdyż jako wyższy wzrostem musiałby się ku niemu schylać, a to było niebezpiecznym w walce.

Żaden się nie cofał; rozwścieczeni szli na siebie i porwali się tą razą za bary, tworząc razem jedną figurę kształtu trójkąta, lub litery A. Jeden drugiego wstrząsnąć nie zdołał; tylko paznogie

każdego z nich wpiły się w ramię przeciwnika. Tak się wodząc, jakby dwa rozjuszony byki, zataczając kregi, stopami swemi stratowali polankę. Nareszcie z zaciśniętymi pięściami odskoczyli raz jeszcze od siebie. Podskoczył rażno Jantek i pięścią grzmotnął po dwakroć w głowę gajowego, który w ostatnim wysiłku rzucił się jak wściekły, aby poderwać Mrozowi nogi. Zamach nie udał się jednak, bo Mróz porwał go właśnie w biegu za ogromne bary i pchnął w bok z takim impetem, że ekswojak zarył się prawie w trawie, padając głową o ziemię. Zwycięzca podszedł, kopnął potężnie nogą powalonego i opuścił plac boju. Siły obu wyczerpały się już były zupełnie.

XII.

Nowe niepowodzenia w polu i w chałupie.

Ledwie że nie codziennie spadało na Jantka jakieś nowe niepowodzenie. Nie zdawał on sobie sprawy z całego stanu rzeczy; najlepiej pamiętał i odczuwał klęskę ostatnią, która dodawała się do poprzednich, wydając z nimi w rezultacie to, co nazywamy nieszczęściem ludzkim.

Chłop ten uczuwał przykro stosunek swój z żoną; bo choć ją coraz mniej kochał, mieszkała z nim atoli pod jednym dachem i zносиła się ze śmiertelnym jego wrogiem, Skórzakiem. „Nieszczęście mnie ściga” — myślał w duszy i prawie jasno prze-czuwał, że musi zginać.

Bez wiary pracował teraz w polu i w domu; robił, bo robota była jego nałogiem od lat najdawniejszych, konieczną potrzebą życia. Taki człowiek musi pracować niezbędnie.

Urodziło się niezłe jare żyto i proso, jęczmień i owies były skąpe. Minęła połowa lipca, pogoda trwała, zboże dojrzewało i prosiło się sierpa. Sąsiedzi ze wzgórze zwozili już do stodoły swoje żyta.

— Pójdziemy jutro żąć! — Mówił Jantek do żony jednego dnia wieczorem. Ale Baśka nie mu nie odpowiedziała na tę propozycyę.

Nazajutrz rano Mróz wziął jeden sierp i szedł z nim w pole; drugi sierp wy dobył także i położył go dla żony na stole. Zaledwie Jantek wyszedł za próg domu, kiedy baba sierp porwała ze złością i cisnęła nim za chłopem, krzyząc:

— Pójdę ci do żniwa!... ciesz się! Niedoczekanie twoje!...

Mróz z kawałkiem czarnego chleba w kieszeni, rozpoczął żniwo na swém polu—sam jeden. Upał był straszliwy chłop żął w pocie czoła. Żął przez dwa dni i całą niwę żytnią położył na garściach.

— Przez niedzielę przeschnie. — Myślał sobie.—W poniedziałek będę wiązał, a we wtorek zwiozę wszystko do stodoły.

Tymczasem już z soboty na niedzielę w nocy deszcz padać począł, lał zaś przez całą niedzielę. Wypogodziło się w poniedziałek, a Mróz poszedł w pole i garści podwracał.

Mrozowa tymczasem biegła do Jaśka, który ciężko chory, cały zapuchnięty, podźwignąć się nie mógł z łóżka. Baśka z całą troskliwością pielęgnowała poturbowanego kochanka, a gdy powróciła do domu, mściła się jak mogła na mężu. Potrosze wynosiła się do gajowego.

W chałupie była bieda; Mróz prawie nie jadał gotowanój strawy; żona nie dawała mu ani młéka, ani séra, ani masła; zaledwie chleba czasem upiekła. Chłopa opadały siły, słabł na duchu i na ciele, a pracować jednak musiał.

Kur już nie było; có lisy nie ukradły, to zjadł gajowy. Zagroda spustoszała, jakby życie obumierało tutaj. Burek nie żył, gołębie nie gruchały, nie gdakały kury, nie gęgały gęsi. Przez jakiś czas wałęsał się jeszcze po podwórku wieprzak; ale i jego zapędziła nareszcie Baśka do Jaśkowego domostwa.

Zwycięstwo nad gajowym nie opłaciło się Jantkowi, bo stosunki domowe stały się teraz oplakanymi.

I z pracą w polu nie było lepiej. Zboże nie dało się zebrać. Przez cały tydzień deszcz ziewał garści żyta, gnojąc krwawą ludzką pracę. Wprawdzie stodoła nie była jeszcze wykończona, ale nie było téż co w niej chować. W połowie tylko poszyta i bez ścian, dodawała jeno smutku do całego oplakanego stanu zagrody.

Mrozowa rozpuszczała język, ilekroć Jantek był w domu, była wściekłą prawie i nie tała się już

ani nie hamowała bynajmniej w swój nienawiści względem męża.

— Zmarnowałeś wszystko, przeklęty niezdaro! I ja się zmarnuję na nie przy tobie. Chyba na żebry pójdę!.. Bodajbym nigdy nie wychodziła za chłopa!

Chciał nieraz mówić Jantek, ale go żona nie dopuszczała do głosu, łącząc, wymyślając i przeklinając zapamiętałe.

Uchodził przeto z chałupy, chroniąc się u koni.

Jeżeli nie przychodziło do bijatyki, to tylko dzięki taktowi Mroza oraz jego moralnemu pogębieniu. Ustępował Baśce ciągle.

Zgniło na garściach żyto, a i tak już bardzo lichy jęczmień, owies oraz proso stały w wodzie szeroko rozlanéj; było jój w bruzdach prawie pokolana.

— W polu niema się po co schylić! — Mruczał pod nosem Jantek. — Trzeba sprzedać krowy i konie, bo się ich nie da przezimować.

— Oj, wiedziałam ja dobrze, że do tego przyjdzie! — Wrzasnęła Baśka. — Konie sobie sprzedaj, mazgaju! Ale od moich krów wara! Ta moje wiano! Ruszyć go nie pozwolę. A biędzy téż z tobą klepać nie myślę. Świat mi zawiązałeś, gałganie!.. Ale i tak zabiorę się i pójdę, gdzie mię oczy poniosą. Czy to ja służby nie znam?.. Wolę służyć, niż być gospodynią taką, co sobie gęby niema czém obetrzeć!

Na drugi dzień Baśka zabrała krowy i poszła

paść na porębie. Ale już tą razą nie powróciła do chałupy męzowskiej. Przeniosła się zupełnie do Skórzaka.

XIII.

Projekta, kradzież udana i kradzież nieudana.

Zbliżała się jesień, na drzewach żółkły liście, pod strzechą nie gnieździły się jaskółki, a słońce skąpiło blasku i ciepła. W zagrodzie pod lasem było tak cicho i smutno, jak gdyby tu śmierć przeszła.

Jantek pozostał sam jeden. Miał rolę, pług, topór i piłę, konie; więc znowu orał, ciosał, pracował nieustraszony. Zabezpieczył pola od wylewów i napływów wody, zebrał resztki prosa, wykopał nieco kartofli, nastrugał obręczy, narobił półkoszków i drabinek; zabrał te wyroby własnej ręki i pojechał z nimi do miasta. Sprzedał co się dało, kupił do siewu żyta i obsiał znowu niewdzięczną rolę.

— Mogę się jeszcze wygrzebać. — Myślał. — Byleby jako ze szkapami przebiédować zimę.

Plan Mroza był prosty. W duszy miał gotową energią i niezmordowaną wytrwałość. Stanowi to po wszystkie czasy i dla wszystkich ludzi wyborną podstawę oraz punkt wyjścia w działaniu. Trzeba robić i robić. Tylko przy pracy ludzie

giną ucziwie, ale nigdy się nie marnuje sama praca. W ciągu zimy miał Jantek narobić różnych gospodarskich sprzętów i narzędzi: kół, dyszli, drabin i drabinek, szufli, pawęzi, kliszczyn do chomąt i t. d. Każdy gospodarz takich rzeczy potrzebuje, więc znaleźliby się zawsze kupcy. Zebrane stąd pieniądze poszłyby na wyżywienie jego i koni oraz obsianie pola na wiosnę jarzynami.

Brakowało chłopu atoli drzewa, aby mógł rozpocząć swoją fabrykę. I na to mogła się znaleźć rada. Udał się Mróz do dziedzica lasu, pana znanego z zamożności, przedstawił swe niepowodzenie w wyrazach prostych i prosił o sprzedanie paru dębezaków, grabezaków i jodeł — na kredyt, do lata. Pan dziedzic odwołał się do rządcy, który w ogóle o kolonistach pod lasem dał jak najgorsze świadectwo.

— To wszystko złodzieje z pod czarnej gwiazdy! — Wołał pan rządcą w przytomności Mroza. — Po nocach kradną drzewo, niszczą zagajniki, wypasają bydłem. Cały Wroniec można bez ceremonii wsadzić do kryminału!

— Ale ja przecie nie kradnę! — Odezwał się Mróz z dumą.

— Oho, ptaszku, znam ja cię! — Krzyknie rządcą w uniesieniu. — Tyś herszt najpierwszy!.. Nietylko kradniesz, ale ludzi zabijasz, gdy ci kraść przeszkadzają. Jeszcze sprawa nieskończona z Jaśkiem gajowym. Kto wie co wypadnie? Może przecie

jednego, choć na kilka lat, zamkniemy w kryminale. Niech się tylko gajowy wylizę! Sprawę oddam do sądu... Bo to nie żarty, mój dobrodzieju.

Nie było co mówić, bo i rządcą i dziedzie o niczem słuchać nie chcieli. Mróz nie wiedział, że i pasanie koni w porębie było kradzieżą, chociaż to robił z zezwoleniem gajowego.

Znowu przeszkoda!

Powrócił Jantek do chałupy, a był nietylko zasmucony, ale i oburzony na ludzką niesprawiedliwość.

Zaledwie począł się krzątać około piérwszój lepszej roboty, kiedy niespodziewanie w zagrodzie ukazał się Szmul smolarz.

-- Cóż wy myślicie robić Jantku?—Pytał żyd, przymlając się chłopu.

— A cóż mam robić?—Odrzeczce Mróz —Będę na chléb pracował.

-- No, a jak wy będziecie pracowali, kiedy wam rządcą nie pozwolił drzewa cehować? Ja o tém z góry wiedziałem, że tak będzie.

Zadziwił Mroza ten zwrot mowy sprytnego żyda. Wszakże dopiero co ze dworu powrócił, a Szmul już wiedział, co się stało.

— A skądże wy o tém wszystkiém wiecie?—Zapytał Jantek półgębkiem, niby obojętnie.

— Widzicie Jantku, ja tu siedzę w lesie na smolarni, a wiem, co się dzieje na świecie. — Mówił Szmul w tonie poważnym. — Po co było chodzić do dworu kiedy las bliżej? Czy ukradł,

czy nie ukradł, to we dworze zawsze powiedzą na Mroza, że złodziej. A co, czy nieprawda?

Zaiskrzyły się Jantkowi strasznie oczy i srogo spojrział na żyda, lecz słuchał jego mowy.

— Wy się chcecie dorobić? A czy to człowiek na dorobku drzewo kupuje? Inni się też dorabiali i są bogaci gospodarze, panowie; ale nie kupowali drzewa. Wielkie rzeczy, w takim dużym lesie ściąć parę dębów, trochę grabiny. Co to warto, co to kogo kosztuje? To Pan Bóg stworzył. — Rzekł znowu Szmul, przyglądając się uważnie chłopu. — Jeszcze wy, Jantku, co taki zręczny majster do topora. Tnie siekiérą .. raz, dwa, trzy... i już po dębie!

— Jak mi się nie będzie darzyło, to w służbę pójdę, a złodziejem nigdy nie zostanę! — Zawołał Mróz ze stanowczością.

— A czy ja was namawiam, Jantku, czy co? Ja wam tylko powiadam, że czy zetniecie w lesie dębezaka, czy nie, to zawsze o was powiedzą: Mróz złodziej!.. Idźcie sobie w służbę, jak chcecie. Co mi do tego? Czy to ja będę służył? Czy ja chcę, żebyście dla mnie drzewo ścinali? A co mi po drzewie? Żyd jest smolarzem, a chłop powinien być zagrodnikiem.

— Niech sobie mówią, zem złodziej.— Powiedział Mróz.— Wolno psom na Pana Boga szczekać. Ale mię na złodziejstwie nikt nie przyłapie.

— Co tam znaczy, że mówią. Wielkie rzeczy, że kto powie: złodziej. Na złodzieja nigdy tego

nie powiedzą. Czy ja to nie wiem? Na was powiedzieli: złodziej, zbój! A na złodzieja i zbója pan rządcą tego nie powie. — Prawił Szmul. — Jak się złodziej dorobi, uikt mu nie powie, że złodziej. Ale jak człowiek zbieđnieje na roli, upadnie, to się z niego śmieją i mówią: oj głupi, głupi!..

Jantek słuchał żyda jedném uchem. Kusiciel odszedł, lecz w duszę chłopca rzucił ziarno niedobre, okrył śmiesznością cnotę, złym uczynkom nadał pozór praktyczności i pobudził żądzę w człowieku chcącym jednąj rzeczy tylko: pracy.

Wieczór się zbliżał, a ścinanie drzewa w lesie ciągle stało Jantkowi na myśli. Zdawało mu się, że jest w boru i powala dęby, sosny, jodły.

— Możeby i usłuchać Szmula; wszysej kradną, prócz mnie; wszystkim się dobrze dzieje, prócz mnie. Czyż to taka wielka kradzież ścięcie dębu?... Jużćie Pan Bóg musiał dla wszystkich drzewo stworzyć.—I Mróz poczuł, że go ręka zaświerbiała do ścinania drzewa w lesie.

Chociaż dusza człowieka ma być morzem niezgłębioném, jednak ludzie ludzi znają i jedni na drugich umieją wpływać.

Zawód, doznany u dziedzica oraz odwiedziny Szmula, silnie wstrząsnęły moralnym charakterem Mroza.

Kiedy noc zapadła, Jantek, uzbrojony w topór, udał się do lasu. Dla niego ścięcie drzewa było rzeczą prostą i łatwą; cała trudność polegała na tém, że drzewo było w cudzym lesie. Zalatwi-

wszy się jako tako z tym skrupułem, Mróz już był gotowy do dzieła.

Gdy Jantek w las się zapuszczał, pokonywając do reszty swoje sumienie, z lasu tymczasem do jego zagrody skradał się jakiś człowiek. Wszedł on ostrożnie na podwórko, obejrzał się bacznie dookoła i poszedł prosto ku stajni. Stajnia była zamknięta na kłódkę, o czém przybyły zdawał się być poinformowany, bo miał przy sobie narzędzie, obcęgi, któremi ukreślił niebawem kłódkę. Poczém wyprowadził ze stajenki dwie szkapy, wsiadł na jedną z nich, a prowadząc drugą obok na łądzie, w mgnieniu oka opuścił zagrodę. Na drodze opodal, czatując pod lasem, oczekiwał inny jakiś człowiek, który odebrał konia, prowadzonego luzem, dosiadł go i obaj jeźdźcy rozjechali się w przeciwne strony.

Każdy się domyśli, że cały ten akt kradzieży został mądrze uorganizowany przez Szmula.

Popluwszy w dłonie, ciął Jantek toporem piękną jodłę. Zdało mu się, że jakiś głos usłyszał za sobą i przestał rąbać. Po chwili ciął raz, drugi i trzeci; poczem znowu zaprzestał. Miał już powrócić do domu; ale żał mu było zaprzestać rąbania. Wszyscy tak robią i z tém im dobrze; trzeba spróbować. Ściąć jedno drzewo, to jeszcze nie kradzież. Ciął dalej systematycznie, porządnie; umiał się przecież obchodzić z drzewem i toporem. Spotniał cały, więc zrzucił kapelusz i zdjął sukmanę.

— Huk będzie straszny, jak się ta wielka jodła zwali.— Myślał.

— Posłyszają ludzie, przybiegną, powiedzą — złodzieju!

Więc przestał rąbać. Ale potem znów rąbał, zapalił się nawet do rąbania. Dokoła cokolwiek tylko popodeinał drzewo, z jednej zaś jego strony zrobił głębokie wcięcie: na tę właśnie stronę miała się powalić jodła. Silną ręką zadawał Jantek coraz skuteczniejsze ciosy. Trzasło, i drzewo chylić się poczęło, a potem z hukiem padło, gniotąc oraz miażdżąc pod sobą młodą drzewinę.

Odkoczył Mróz, spojrział na swoje dzieło, otarł pot z czoła, wdział sukmanę, nacisnął kapelusz, zawiesił na ramieniu topor i poszedł ku domowi. Zamyślał teraz podjechać z wozem, aby sprowadzić zdobycz do chałupy.

Zaledwie wszedł na podwórko, dojrzał niebawem odemkniętą stajenkę; wszedł i nie zastał w niej koni.

— Ukradli!—Jęknął i, pomyślawszy przez chwilę, udał się szybkim krokiem do smolarni.

Szumul należał do rzędu tych złodziei, którzy się liczą z dowodami *per alibi*. Ponieważ ukradł konie, więc musiał być w domu. Widząc teraz wchodzącego Mroza, rzekł wesoło:

— Zrąbaliście w lesie piękną jodłę, usłuchaliście dobrej rady Szmulu! Dobrze, dobrze! Zuch człowiek! Zawieźcie no ją teraz do miasta, a zgarńciecie dużo pieniędzy!

Mróz osłupiał, nie wiedział co mówić. Wszak sam był złodziejem, jakże tu kogo o złodziejstwo posądzać bez dowodów. Domyślał on się tylko, że Szmul jest sprawcą kradzieży koni; ale Szmul miał w tej chwili właśnie przeciw niemu dowód kradzieży leśnej.

Nie było się co uskarżać, nie było co mówić, chociaż skradzione konie—to wielka, bardzo wielka strata dla chłopa. Mróz powiedział parę słów bezmyślnych i opuścił smolarnię srodze strapiony. Szmul wołał jeszcze za nim:

— Jantku!... Jantku!... Mam wam coś powiedzieć!

Lecz dusza chłopa była rozdarta, ginął a znikąd nie było najmniejszego ratunku. Nad ranem już powrócił do chałupy, gdzie teraz, oprócz niego, nie było żywego stworzenia. Chyba tylko żyły tu jeszcze szeszury i myszy, istoty równie wrogie dla jego pracy, jak ludzie, lisy, dziki, zające i t. d.

Gdybyśmy Mroza chcieli wykierować na jakiego romantycznego bohatera, powiedzielibyśmy, że tej nocy już nie spał. Ale zarząd praw przyrody jest nie ublagany. Cierpiący sypiają także i jedzą. A te same prawa, które nam przygotowują cierpienie, dają też człowiekowi dar wspaniały, stanowiący i gruntowny spoczynek we śnie.

XIV.

Ostatnie czynności w życiu.

Wyspać się jest dla każdego dobrze; ale najlepiej spać, gdy się jest przyciśniętym przez nieszczęście. Jantak spał twardo. Już słońce pół drogi przeszło po niebie, a on zasypiał samotny w swojej zagrodzie. „Tyle szczęścia, co człek prześni”.

Porwał się nareszcie, przetarł oczy, wspomniął na wszystko, co zaszło i począł być nieszczęśliwym na swój chłopski sposób.—W izbie brakowało Baški, pod chałupą—Burka, w stajni—koni, w oborze—krów i wieprzka, na strzesze—gołębi, a w stodole i w polu była pustka. Jest to położenie bez wyjścia, bo jać się czego niema, brakuje pod ręką narzędzi i celów pracy. Chciał kraść drzewo i to mu się także nie udało. Dziwne myśli rozsadzały łeb chłopu.

Opuścił izbę, stanął na progu chaty i patrzył przez czas jakiś przed siebie. Było smutno, głucho, jak w grobie. Ruch życiowy nawet i w lesie obumierał z jesienią.

Wtém ze strzechy niespodziewanie sfrunął gołąb Maciek, o którym Mróz prawie już zapomniał. Spojrzał Jantek na gołębia z pewnym zadowoleniem, sięgnął do kieszeni w sukmanie, znalazł w niej trochę okruchów chleba i rzucił je Mac-

kowi. Gołąb zbliżył się poufale, prawie do samych stóp swego gospodarza, wybierał skwapliwie i starannie porzucone okruchy, a potem podniósł głowę i inteligentnym okiem spojrzął na Mroza; był głodny, widocznie domagał się jeszcze więcej posiłku. Jantek poszedł do komory, aby wyszukać jakiej żywności dla ptaka. Właśnie powracał, niosąc w garści nieco ziarna, gdy oto z podwórka, tuż pod jego okiem porwał się olbrzymi jastrząb, u którego szponów uczepiony, ze skrzydłami w dół opuszczonymi wisiał zmordowany już Maciek...

Całym ciałem rzucił się Mróz na ratunek gołębiowi; ale jastrząb wznosił się w górę i uchodząc wolnym lotem, zniknął w głębinach lasu. Z żalnością spoglądał Jantek za tym swoim ostatnim, zgasłym promykiem pociechy. Był twardy i niekliwy, dużo już przecierpiał, a przecież teraz o mało się nie rozplakał. Mimowolnie tylko chwycił się obiema rękami za głowę i poczuł w sobie taką marność, taką bezsilność, że nogi się pod nim zachwiały. Czuć własną siłę i czuć swą nicność, jest to rzecz ludzka.

Opuścił Mróz zagrodę, poszedł w pole; tu przypomniał sobie swoje kłęski rolnicze. Popatrzył na chwasty, na dojrzałe osty i na bociana, który ze smutnie zwieszoną głową zdawał się samotny dumać na przykopie. Odwrócił chłop oczy i spojrzął na wzgórze; Wronieckie pola kolonistów, to się zieleńiły ozimną, to czerniły pięknie uprawną

rolą, a białe domki jaśniały jakimś szczęściem wśród sadów. „Szczęśliwi ludzie!” Pomyślał Jan-tek i znowu zawrócił ku chałupie. Zdawało mu się, że on całe życie skazany jest na wałęsanie i włóczenie się bez celu, że nigdy nic innego nie robił. Zaglądał więc do stajni, do stodoły, do izby. Ze stodoły wyleciała para szarych wróbli, po podwórku, dołem—uwijały się na wyścigi jaskółki.

— Podpalić to wszystko do dyabła!—Pomyślał w duszy. W téj chwili jaskółka z radosnym świągotem wpadła pod strzechę i, przypięwszy się nóżkami do gniazda, karmiła swój piszczący drobiazg. Mróz nie miał co robić, więc się wszystkiemu przyglądał.

Jeszcze raz wszedł do chałupy, zajrzał do komory, gdzie myszy, piszcząc, goniły się i wyskakiwały z rozmaitych naczyń.

Wlaź na strych, przetrząsał różne materyały drzewne, przygotowane na żerdzie, dyszle, podkulki; popatrzał w dymnik smutnie i zlął znowu na dół. Tą razą nabrał jakiejś decyzyi, bo szedł stanowczo do komory; tu zdjął z kołka postronek, zwinął go w kłębek i włożył w zanadrze. Robił to wszystko powoli, jakby z namysłem.

Opuszczając chatę, przeżegnał się, poczem zamknął na kłódkę drzwi od chałupy; klucz schował do kieszeni i poszedł do lasu. Tu także błądził, jakby poszukiwał jakiego zajęcia. Przechodził koło smolarni i przyglądał się, jak z dwóch czarnych stożków dym wychodził bocznymi otworami.

Przy jednym stożku siedział podrostek żydek, brudny, bosy, dziko i podejrzliwie spoglądający na przesuwanego się chłopca. Chłopak wyrzekł słowo pozdrowienia, ale Jantek miał taką ciszę w duszy i tak się w nią jakoś pogрузzył, że prawie nie śmiał ust otworzyć, bał się usłyszeć własne słowa.

Zaszedł na porębę, przypomiała mu się tu walka z Jaśkiem, dotarł do jodły, którą ściał téj jeszeze nocy i obejrzał powalone drzewo.

Wszystkie te czynności były rodzajem przypomnienia sobie dzieł dokonanych poprzednio. Jeżeli nie nie robimy, wtedy myślimy o tém, cośmy robili dawniej, a to poniekąd zastępuje pracę u człowieka, nałogowo włożonego do roboty; w ten sposób zyskuje się pewną idealną satysfakcją. Ale jednocześnie ze wspomnieniami czynów budzą się téż uczucia, skojarzone z owymi czynami i od nich nieodłączne. A tak Mróz w ciągu dnia powtórzył sobie niejako wszystkie klęski i zawody, jakich doznał na swojej zagrodzie. W tém leży jedna z różnic człowieka od świata zwierząt. W duszy Mroza wytworzył się teraz szeroki idealny świat nieszczęścia, a odżywione wspomnienia sumowały się, dodawały, rosły brzemienne, wychowując posępne uczucie, zwane rozpaczą, które jest obce dla wszelkiej duszy zwierzęcej. Zupełnie rozpaczać tylko człowiek jest zdolny.

Gdyby Jantek znalazł sobie był jakąś robotę

celową, zapomnialby przy niej o przeszłości; ale on nie mógł już teraz wejść na drogę czynu a bezczynność pobudzała za to do pracy fantazyą. Organizm Mroza szukał pracy nieświadomie i nie znajdował jęj nigdzie, bezcelowe łażenie nie mogło go zadowolnić.

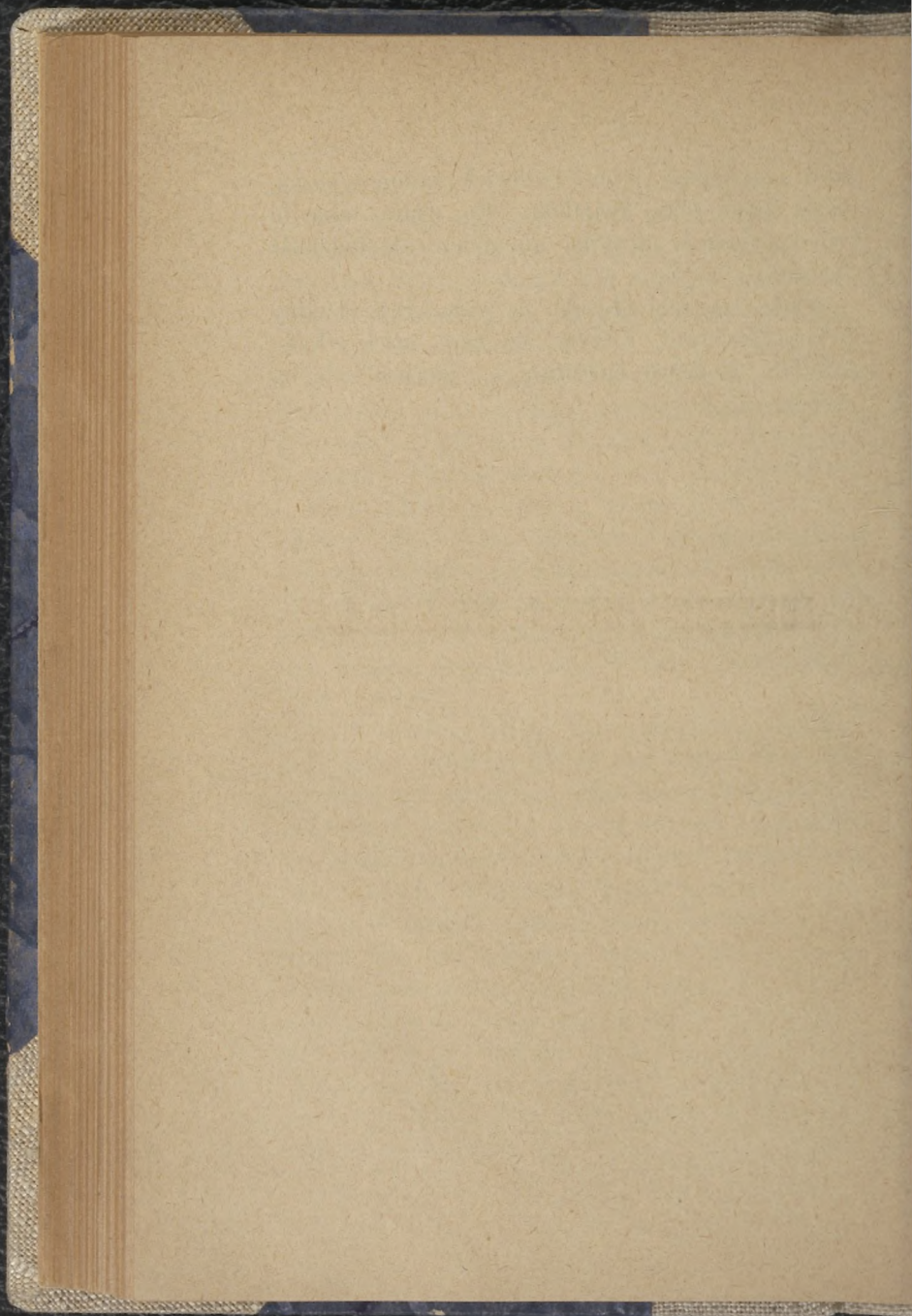
Z kolei porzucił porębę, a utrudzony nawałem wspomnień oraz głodem, powlókł się leniwo ku klinowatęj niwie, gdzie niegdyś zasiał był proso, jęczmień i zasadził kartofle, jako tęż kapustę.

Mrok padał na ziemię, słońce zachodziło bez blasku. Pod lasem przemykał się lis ostrożnie, a zając stanął słupka na wzgórzu i rozpatrywał okolice, którą miał przebyć podczas nocy. Z bagniska dochodziło buczenie bąków, jakby się ziemia trzęsła; pogwizdywały żółwie i żaby zawodziły żałośnie.

Mróz stanął na klinie, wspomniał, jak go karczował, orał, obsiewał. Nie tu nie rosło, tylko w pól przewrócony strach na zające wśród niwy widniał w czarnym kapeluszu. Jantek poszedł teraz prosto ku gruszy, na której zwykle siadał jastrząb. Tu zdjął kapelusz, uklęknął i mówił pacierz. Dusza jego była czysta i wolna od skazy, modlitwa prosta, szlachetna, jak modlitwa patryarchów ludzkich, którzy, patrząc na gwiazdziste niebo, wytwarzali kult religijny. Chłop polecał się zarządowi praw przyrody; jego Bóg był wielki, a prosty i naturalny. On Go nie pojmował, on czuł tylko, iż musi być siła i prawo, w których się wszystko

jednoczy: śmierć i życie! Człowiek, zanim to pozna, musi czeić oraz uwielbiać. Bo wiara taka, to wiedza, jeszcze nieujęta, ale przez całą ludzkość odczuta.

Słońce zapadło głęboko za widnokrąg, chłodny wiatr powiewał, toczyły się émy nocy wkoło. Jantek skończył modlitwę i... powiesił się na gruszy.



JESZCZE JEDEN NIEZDARA.

ALPHABETICAL INDEX

JESZCZE JEDEN NIEZDARA.

I.

Widzicie to dziecko blade, słabe, wątłe? Chodzi na cienkich, jak zapałki, nóżkach, które się gną pod niém. Jak ono niezdarnie chodzi! Stopę stopą przydeptuje. Dokoła jego ciała płaczą się rączki chude, wydłużone, podobne do gałązek obwisłych płaczącój brzozy. Główka chwiejna trzęsie się na wszystkie strony, jak gdyby ją nitka łączyła z resztą ciała; od główki odstają uszka, wiotkie jakieś, niby przywiedłe listki, które wnet z drzewa spadną. To dziecię ma oczka smutne i takie bezbarwne, jak niebo płaczące deszczem. Policzki jego bez rumieńca, bez koralu usta, zwykle nawpół otwarte. Skąd się w kącikach ust tych wzięło znamię cierpienia?... Czoło dziecka nizkie na niém skóra, jak wyblakła papierowa powłoka; na skroni pełno błękitnych żyłek, tworzących siatkę; kształt głowy dziwny, jakby nie ludzka czaszka, a na czaszce włoski — istne pajęczce włókna.

Czemu to dziecię patrzy na świat trwożliwie, choć światło jasnego słońca do niego się uśmiecha,

choć dobra ziemia dzieciom zawsze szczęście daje? Ono ma usta złożone do płaczu, gotowe do wykrzyku bóleści, strachu! Żle mówi, źle chodzi, popłakuje, od zabawy stroni... Dziecko, czy tobie chleb ziemski od kolébki już nie smakuje, czy w poranku życia niebo ci za napój zesłało kroplę gorzkiej rosy?

A weźcież, ludzie, tę biedną ludzką duszę pomiędzy siebie! Przyciśnijcie ją do serca, rozbawcie ją, rozweselcie! O, nie nazywajcie téj nieszczęśliwej istoty *ostem!*...

Opowiem krótkie dzieje jego życia, bom go znał. Pamiętam, jak mały na świat przyszedł; krzykiem powitał promień słońca, z boleścią odczuł życiowy zgiełk tego padolu. Przycisnęła go matka do ciepłego łona i koła, jak mogła, żale nie-mowlęcia.

Okąpali maleństwo, skrępowali jego drobne członki, owinęli w miękkie pieluszki, otulili w ciepłe poduszki i leżał tak całymi dniami, wpatrzony w ścianę lub w daszek swojej kołyski.

Różowy zrazu, białął z dniem każdym coraz więcej. Rósł w téj niewoli powijaków, niezdolny oprzeć się nawet muchom, które mu oczka, nosek usta ciągle napadały. Nieraz się rozkrzyczał i pół dnia trwał krzyk jego; marszczyło mu się czoło, a prawie naga główka krwią nabiegała; wykrzywiały się usteczka i trudno go było ukoić.

— Na zdrowie tak dziecko krzeczy! — mówiła mamka.



Przyzwano lekarza, ten oglądał, obmacywał, badał, a potem ojcu na ucho poszeptał:

— On może nie pożyć!

Było to szóste dziecko, najmłodsze w rodzinie.

Może nie pożyć? Więc go ochrzczono; imię Staś sobie przyniósł i takie mu dano.

Ale miał mamkę, kobietę zdrową, czerstwą. Może jej mleko, energią i wytrwałość ludu wprowadzi w ten wątły organizm?—Któż tam wie, dla jakich powodów mamka Stasia bardzo a bardzo lubiła wódkę? Może ją i obmawiano, że zawsze przy sobie miała ten ulubiony napój, że, gdy się malec rozkrzyczał, maczała w wódce swój palec i ssać mu dawała, a on się upijał i spał, jak zabity. Tego jednak nie wiemy na pewno.

Pewność stanowi tu inny fakt, pierwsza życiowa przygoda Stasia. Mamka sypiała obok kołyski, a gdy się malec rozkrzyczał w nocy, wtedy wstawiała i klęcząc, pochylona nad kołyską, pierś swą do ust mu wkładała.

Tak leżąc raz na dziecku, mamka zasnęła. Byłaby udusiła malca, gdyby przebudzona matka nie była na nią krzyknęła. Pijana kobieta porwała się na równe nogi; ale porwała się nagle, nieostrożnie, zatoczyła się i — przewróciła kołyskę. Ileż łez, boleści i strachu kosztował ten ponury nocny dramat małego człowieka! Krzyczał do białego dnia, aż go wreszcie sen zmorzył a we śnie drgało ciągle jego drobnutkie ciało. I znowu przybył lekarz, znowu badał, a potem

wątpliwości swoich udzielał ojcu w tajemnicy przed matką. Miał teraz Staś inną mamkę, o której mówiono, że jest „przywiązana do dziecka“, że się „zachowuje odpowiednio.“

Wzrósł i tak, a trzymając rączkę w ustach, ilekroć to uczynić mógł, wyglądał jak inne małe niemowlęta. Przy kołysce jego pojawiały się straszne, choć niewidzialne olbrzymy i napadały zajadłe na bezsilny organizm — choroby dziecięce. On był spokojny wtedy, cierpliwie znosił dolegliwe ciosy; bo za niego z olbrzymami choroby walczyły dwa największe genjusze, jakie ludzkość wykształciła w ciągu długich wieków: geniusz macierzyńskiej miłości i geniusz nauki. Miłość matki a wiedza lekarza dniem i nocą czuwały przy kołysce. I podtrzymywany przez nie, utrzymał życie; ale wyszedł teraz na świat bledziutki, cały jakby połamany. W ciepłe słoneczne południe sadzano go w piasku przed domem, a słońce, ten geniusz wszechświata, nie skąpiło mu darów swoich. Dokoła malca latały motyle, trzepotały się kury w pyłe, psy swawoliły ucieszenie, wróble i jaskółki świegotwały pod strzechami.

Dokoła siebie słyszał ludzką mowę i czasami chciał coś powiedzieć, lecz usta odmawiały mu posłuszeństwa; wtedy z piersi jego wypadło jakieś stęknienie, a rączkę zbliżał do główki. Była to tajemnicza dusza, zupełnie zamknięta w sobie, która się przed nikim nie żali ani szczęścia swego nikomu nie zwierza. Jeszcze kwilić — to

umiał; więc płakał, a nikt wtedy nie wiedział, dlaczego dziecko płacze. „Tak sobie popłakuje, zwyczajnie jak dziecko.“ Mówiła mamka.

— Staś płacze? Płakać, to be, be!... Płakać nie trzeba!

Począł nareszcie chodzić na czworakach, lub siedząc, posuwał się po ziemi, jak niedoleżny kaleka. Przyjęto do niego niankę, dziewczynę młodą i urodziwą, która setkę piosenek umiała na pamięć, a więcój niż setkę sama tworzyła. I wtedy dziecko było ciche, spokojne, jak dawniej; czasem słysząc śpiew niani, gdy przebywał na jej rękach, odwracał się i rączką ust jej dotykał, chciał zbadać, w jaki sposób ona śpiewać tak może. Niekiedy znowu coś go zabolalo wewnątrz i już już miał zapłakać; ale ona była taka uśmiechnięta, gładka, śpiewała takim srebrnym głosem; przypomniał sobie zaraz, że płakać — to be, i chociaż usteczka do płaczu miał skrzywione, jednak nie zapłakał. Poszedł *lulu*, i kołysany przy dźwiękach pieśni, wpadał w dziwne upojenie, zasypiał.

Odwiedzał go lekarz, a obejrzawszy, mówił:

— Częste kąpiele w letniej wodzie i z ciechoińskim mulem są temu dziecku potrzebne.

O, Staś zrazu nie lubił kąpieli; ale później do nich przywykł. Z początku, kiedy go do wanienki wkładano, otrząsał się; kąpiel sprawiała mu wrażenie, iż ginie w jakimś oceanie, który go zewnątrz parzy i zalewa. Nareszcie otrząsał się

z wodą, leżał w niej spokojnie; owijano mu główkę pieluszką, podkładano pieluszki pod całe ciało, później sadzano go w wanience, podtrzymywano pod boczki i polewano wodą. Pluskał nogami, rączkami trzepotał jak ptaszek skrzydełkami, kiedy się w strumieniu kąpie. Nareszcie polubił kąpiel, i kiedy niania powiedziała — *kąpcio*, wyciągał ku niej bardzo chętnie rączęta. Po kąpieli sypiał, jak zabity; wystarczyło niani jedną piosnkę prześpiewać i parę razy zabujać kołyską. Podczas snu takiego występował mu na buzię rumieniec, a niekiedy na czoło — krople potu. Matka na palcach podchodziła do kołyski, uśmiechała się z zadowoleniem i zawsze miała go chęć pocałować, ale nie śmiała obudzić. Gdy się sam zbudził, to tylko kołyska pleciona zatrzeszczała, a już do niego biegli i już mu przygotowano rozmaite garnuszki, miseczki. Jadł a potem się światu przyglądał.

Z tą nianią miał Staś również bardzo tragiczną przygodę. Piękną dziewczynę kochają różni ludzie, a jój jest przyjemnie że kochają. I tylko z tego jednego powodu lubiła ona wystawać w oknie, bo pod oknem zawsze jakiś wielbiciel przechodził. Tym razem interesa miłości i interesa wychowania dziecka krzyżowały się ze sobą. W dni słotne bowiem niania nie mogła wychodzić na dziedziniec, a przechadzka po pokoju z dzieckiem na ręku naprzykrzy się każdemu. Kiedy więc jednego dnia niania wystawała przy

szybie, z bijącym sercem oczekując przejścia przez dziedziniec młodego człowieka, który do niej wzdychał, podtrzymywała jedną ręką Stasia siedzącego na oknie i garnącego się do zewnętrznego świata. Matka chłopczyka wzbraniała takich wygladań przez okno, więc dnia owego nastąpiło niespodziewane starcie się interesów miłości z interesami wychowania. Jedne z nich musiały być zaniedbane. Właśnie przez dziedziniec przechodził oczekiwany młody człowiek, a w tej samej chwili za nianią rozległ się groźny głos matki Stasia. Starła się potęgą miłości z siłą obowiązku i, odpowiednio do stopnia nateżenia obu uczuć, miał miejsce następujący wypadek: niania, przerażona, drgnęła i mimowoli popchnęła malca. Brzęknęła szyba, a razem z nią Staś wypadł za okno. Przerażenia i strachu było bardzo dużo; dziecko bowiem potłukło się i poraniło, padając na szkło rozbite. Blizna ze skaleczenia pozostała Stasiowi na czole już przez całe życie. Wydalono piękną nianię, a przyjęto brzydką, która była uczciwa, czarna, dziobata i żadnych piosnek nie umiała.

Już się trochę wyprostowały malcowi dziwnie pogięte i rozkraczone nóżki; niekiedy zdołał powstać i chodzić, trzymając się ściany lub stołka; ale upadał on bardzo często—to na buzię, to na bok, na wznak. Czasami matka podawała mu swój palec; on dźwigał się do tego białego paluszka; przy matce zawsze mu było najlepiej,

więc choć czuł w nogach olów, a w krzyżu omdlenie, jednak się wysilał, aby powstać. Bięda-czek upadł; od twardej posadzki odbiła się główka, guz na niej wyskoczył. To najpierwsze cierpienia w imię miłości. Jakże mu się płakać chciało! Ale płakać chłopczykowi—to *be*; więc tylko łez strumienie z oczek wzdłuż noska do ust mu spływały. Skosztował własnych łez, czuł w nich jakąś gorycz. A tu do niego zaraz biegną i czystą chusteczką łezki ocierają.

— Staś grzeczny, grzeczny!... Nie płacz!...

I Staś się nawet wśród gorzkich łez swoich roześmiał. Niania ręką biła w posadzkę, wołając.

— A ty, ty jakaś! Będziesz ty Stasiowi drugi raz robiła *kuku*?...

Czasem wyciągał on rączkę po jaki kawałek błękitnego lub czerwonego papieru, wziął go, popatrzył, a coś go tak bardzo kusilo, że konieczne nie musiał ów papier do ust sobie włożyć. Zaledwie to spostrzegli, już zaraz biegną, wołając:

— *Bla*, Stasiu!... *Bla*, *bla*!...

Odebrali papierek, wytarli usteczka tak troskliwie, że aż zabolalo. O jakaż to dla niego była przykrość! Ale już sobie pamiętał, iż taki papierek—to *bla*. Cóż kiedy niedługo znowu potem znalazł na ziemi szpilkę taką ładną, świecąca, aż miło! Trzymając ją w obu rączkach, obraca wkóło, ogląda i naraz poczyna wrzeszczeć w niebogłosy:

— Aaaaa!... Aha, aha, aha!... Uhu, uhu, uhu!
Ui, ui, ui!—i Bóg wie jeszcze jak.

Przypadają, zapytują, co się takiego stało. A on tylko wyciągnął rączkę i pokazał paluszek z kropelką krwi, która go przerażała bardziej jeszcze aniżeli ból przez szpilkę sprawiony. Jęczy i od płaczu się zanosi, a tu mu paluszek ze krwi ocierają, chuchają, na niego; przysła matka i paluszek ten obcałowała na wszystkie strony.

— Nie płacz, Stasiu, nie płacz!... Paluszek się zagoi, paluszek boleć przestanie.

— A nie trzeba szpilki ruszać, bo to *gaga!* — nauczała niania.

Wnet potem znalazł zapałkę, patyczek biały z czarnym łebkiem na wierzchu, a wcale niepodobny do szpilki, która robi *gaga*. Kto wie, co to takiego? Staś ogląda, dotyka, rozpoznaje wyraźnie że nie *gaga* i w usteczka wkłada: słodkie—nie słodkie, nie kwaśne, ale jakieś niedobre, nie takie jak *cucu*. Skrzywił się okrutnie, a jednak ciągle smakuje. Oho, już spostrzegli, już biegną, dopadają, już Stasiowi wydarli zapałkę.

— Jezus, Marya! to dziecko się jeszcze kiedyś otruje!... A *bla*, a *gaga!*...

Więc płacz,—to *be*; ziemia robi *kuku*; czerwony papierek *bla*, szpilka,—to *gaga*, a zapałka,—to *bla* i *gaga*.

Kilka dni upłynęło od tego zdarzenia. Był wieczór, Staś się rozbawił; on jeszcze nie spał, a już zapalono wiszącą lampę i, oprócz lampy, płonęła

także świeca na stole. Niania z dzieckiem zasiadła bo jak się ubawi, to będzie spał w nocy lepij. On się wpatrywał w jasny płomyk świecy, w płomyk podobny z kształtu do łyżeczki, którą Staś jadał gotowane mléczko i bulion. Począł się na stół wdzierać, do płomyka tego garnąć. Machnął raz jeden i drugi rączkami, a płomyk dziwnie jakoś migotał, chwiał się, jakby chciał uniknąć chłopczyka. Niania trzymała stojące na kolanach dziecko pod boczki i, swoją drogą, rozmową z kimś była zajęta. Czyż mogła myśleć, że dziecku nadzwyczajnie się podoba zapalona świeca? Tymczasem płonąca świeca jest bardzo a bardzo ciekawém zjawiskiem i z tego powodu chłopczyzna chciał koniecznie rączkami płomień jój uchwycić; pochylił się, sięgnął, ale się strasznie sparzył i wrzasnął tak przeraźliwie, aż matka z trzeciego pokoju przybiegła. Znowu więc tłumaczono Stasiowi, że ogień sprawia *gaga*, że jest niedobry, a za karę, iż takim jest właśnie, niania dmuchnęła i zgasła świecę. Był to widok dla malca niesłychany, istnie nadprzyrodzone zjawisko i dlatego Staś przestał płakać; dziwno mu było, że takie jedno proste dmuchnięcie stłumiło taki piękny płomyczek: patrzył to na zgaszoną świecę, to na usta niani, chcąc dociec przyczyny, która ogień gasi. Potém z kolei spoglądał na swój oparzony paluszek, na którym widniała maleńka czerwona plamka.

Przytulany często do łona swój matki, brany

przez nią do łóżka podczas swoich bezsennych nocy, nauczył się był Staś poznawać i cenić wszystko, co jest gładkie, delikatne, jak puch miękkie. Taką właśnie niezmiernie przyjemną powierzchnię miał na sobie długi, bury kot, króry z urzędu zawsze uczestniczył na wszystkich rodzinnych posiedzeniach; jemu wolno było spoczywać na kolanach pani lub pana domu. Podsuwał się i do Stasia, a chłopczyk lubił gładzić rączką jego jedwabistą siartkę; wówczas kizia mruczał, wyprężał się, podnosił w górę ogon, a kiedy go chłopczyk przestał gładzić od głowy do ogona, on się znowu podsuwał i pożywał jeszcze głaskania. Jednego razu znalazł się ten kizia na kolanach niani, gdzie także Staś przebywał. Obu było im tam dobrze, ale prawdopodobnie za ciasno. Rozpoczęła się walka o przestrzeń, podczas której kizia wysunął pazury i dotkliwie zadrasnął chłopczyka w rączkę. Otóż znowu krzyk, znowu wrzawa, bo i to przecież było — *gaga*. Niania wymierzyła kizi bardzo liczne klapsy, tak że przerażone zwierzę ze strachu aż na piec wyskoczyło. Ta ucieczka kota w szpryncach ucieszyła Stasia do tego stopnia, że o cierpieniu swoim zupełnie zapomniał.

II.

Już podrośł, przeszedł pierwsze próby życia; stykał się z bólami, wywołanymi nieubłaganą twardością rzeczy; doświadczył klucia ostrych kol-

eów; poznał, jak ogień parzy i woda ziębi; o ma-
ło się nawet nie struł jadem trucizny. Czyż ludz-
ka istota na ziemi tak dalece znacznie więcej
doświadczyć może?

Kiedy już przeminęła epoka najważniejszych
doświadczeń, których dostarczają wszystkie cztę-
ry żywioły, miał Staś wtedy pięć lat życia. Sie-
bie samego nazywał wtedy—*Utaś*; matka była—
mjamą, pies—*ciuciu*, kot—*kizi-mizi*, mleko—*miś-
to* (mléczko) spać—*lulu*, jeść—*papu-jac*, pić—*pyé*
i. t. d. O starszém rodzeństwie mówił, że to są
zięcy—dzieci; w ogóle zaś używał głównie wyra-
zów zdrobniałych. Ponieważ go atoli zmuszano
do starannego wymawiania wyrazów, przeto Staś
począł przedewszystkiem starannie unikać mówie-
nia; o ile tylko mógł, posługiwał się gestami
i pantominami. Zabawy innych dzieci zdawały
się nie mieć dla niego żadnego powabu; nietylko,
że nie brał w nich udziału, ale nie lubiał się na-
wet przyglądać. Najwięcej upodobania znajdo-
wał w tém, że się uczepił ręką sukni matki
i, oparłszy głowę o jęj kolana, założywszy jedną
nogę na drugą, mruczał sobie niezrozumiale coś
pod nosem. Czasem téż stawał przed domem,
i, pozostając na jedném miejscu ciągle, grzebał
pod sobą piętą dołek w ziemi, a potém pluł w ten
dołek. Jeszcze najchętniej rozmawiał ze starym
psem, ponieważ ten nie wymagał starannego wy-
mawiania wyrazów. Rozmowy tego rodzaju prowa-
dziły się na różne temata; tak np. zapytywał Staś psa:

— Czy to prawda, Bielas, żeś ty jest synem Mitry z Bylic?...

Pies na zapytania odpowiadał merdaniem ogona, co widocznie zadawałniało Stasia. Niekiedy człopezyk wnosił temu Bielasowi kawałek czekolady, a kiedy pies brał przysmak do pyska i wypluwał, wtedy Staś mówił:

— Oj, głupi, głupi! nie wiesz co dobre! (*Oj, djupi, djupi, nie wis co dobre!*)

Innym razem rachował sobie na głos do dwóch, powtarzając ciągle:

— Raz, dwa! Raz, dwa! (*Jaz, dwa—jaz, dwa!*)

Dźwięki jego języka trudne były dla ucha do pochwycenia, bo żaden z nich nie był stale jednakowo wymawiany. Do dziesiątego roku życia a i później nawet, Staś się jąkał i nie wymawiał tak, jak inni ludzie...

W czasie pomiędzy szóstym a dziesiątym rokiem życia, kiedy go już poczynano zmuszać do różnych nauk, przychodziło mu czasem do głowy, aby się wtrącał w rozmowę starszych. I tak: kiedy raz podczas obiadu starsi rozmawiali o tém, że ludzie chorzy na wątrobę, są źli, Staś się wyrwał:

— Dobrze, że ja jestem zdrow na wątrobę...

Innym razem prosił matki podczas picia herbaty, aby mu dała ciastko.

Staś uważał atoli, iż matka za długo pije herbatę, przeto podszedł do niej i rzekł:

— Niech mama nie pije tak dużo herbaty, bo z tego będzie w domu choroba.

Matka przestrzegała wszystkie dzieci, ażeby podczas jedzenia zachowywały przyjętą etykietę; kiedy więc pewnego dnia Staś jadł niedbale, mlaszcząc ustami, matka tak go napominała:

— Stasiu, jedz przyzwoicie, żeby cię nie było słychać przy stole!

A on na to:

— Mama zawsze mówi, żeby dzieci robiły to, co robi pan Słoński; jaby chciałem tak jeść, jak pan Słoński.

Ów pan Słoński był nauczycielem domowym, a chociaż miał znaczne wykształcenie i zacny charakter, jednak mlaszał podczas jedzenia i Staś go właśnie naśladował.

Zapytany w siódmym roku życia, czém będzie, kiedy dorośnie, odpowiedział:

— Jaby chciałem być księdzem, żeby się tylko troszeczkę ożeniłem.

Do domu jego rodziców przyjeżdżało dwóch sąsiadów, z których jednego uważano za człowieka bardzo rozumnego, drugiego za umysł wielce ograniczony. Najstarsza siostra Stasia, widząc raz przez okno, iż obaj ci panowie nadjechali, odezwała się do kogoś:

— Mądry głupiego przywiózł!

Staś wyszedł naprzeciw gościom i z całą naiwnością zapytał:

— Który z panów jest mądry, a który głupi? Zdarzyło mu się téż słyszeć, jak ta sama siostra obmawiała urodę pewnej panny z okolicy, mówiąc, iż sąsiadka owa ma „usta od ucha do ucha.“

Dobitne wyrażenie Staś zapamiętał, a skoro tylko nieurodziwa panna przyjechała w odwiedzi-ny do domu jego rodziców, natychmiast zabrał się do obserwacyi; obchodził ją na wszystkie strony i ustom jęj bacznie się przyglądał.

— Dlaczego mi się ty, Stasiu, tak przyglądasz? — zapytała panna.

— Chcę się przekonać, czy to prawda, co Andzia mówi, że pani ma usta od ucha do ucha — odpowiedział chłopczyk.

Lekarz, który często przyjeżdżał do chorowitego chłopca, tak go raz pytał:

— Cóż, możebyś, Stasiu, chciał być doktorem?

— Brrr! — odpowiedział chłopiec ze wstrętem.

— Nie? No, a dlaczego nie? — pytał lekarz.

— A bo pan ciągle ludziom ogląda brzuchy i języki.

Posłyszał raz znowu, jak ojciec mówił do matki:

— Po co téż ty, moja kochana posyłasz guwernerowi kawę na podwieczorek? Przez takie wygody psuje się tylko ludzi.

Zaraz na drugi dzień guwerner wylażał za coś Stasia, a chłopiec rzekł:

— Ja wiem, dlaczego pan taki zły; tatko po wiedział, że pana mama psuje.

Nauka nie szła Stasiowi do głowy; wszystkie tak zwane naukowe przedmioty stanowiły dla niego nadzwyczaj trudne zadanie. Przedewszystki^{em}, co się tyczy ojczystego języka, posiadał on swoją własną gramatykę i ortografią, których się nie chciał wyrzec żadną miarą. Szło o napisanie wyrazu „żołnierz“ i Staś napisał tak, jak to uważał za najwłaściwsze. Nauczyciel kazał mu błąd przepisać pięćdziesiąt razy i chłopiec pięćdziesiąt razy napisał „żołnież.”

— Kiedyś taki nieuważny, napisz teraz za karę sto razy!—powiedział nauczyciel.

Tym razem Staś napisał sto razy „rzołnierz.“

Sprawa wytoczyła się przed matkę, która synowi robiła wyrzuty za brak uwagi.

— A ja mamę przekonam, że napisał dobrze!—rzekł Staś i podał matce swój kajet, mówiąc:

— Niechże mama czyta na głos, com napisał.

Matka czytała za każdym razem: „żoł-nierz;” „żoł-nierz;“ wtedy chłopiec rzekł:

— Czy mama nie słyszy tego, że mama dobrze czyta? Więc musiałem dobrze napisać, bo inaczej czytałaby mama źle.

Tabliczka mnożenia udawała mu się jeszcze gorzej. Nauczyciel stawiał mu pytania na wyrywki, a Staś zdobył sobie przekonanie, że najlepiej jest tu zgadywać. Trafiło się czasami, że na cztery z rzędu zadane pytania Staś zgadywał trzy odpowiedzi; wtedy otrzymywał pochwałę nauczyciela w tych słowach:

— No; chwałaż Bogu, dobrze! Zrobileś nareszcie postęp.

Ale już w kilka dni potem Staś nie mógł zgadnąć ani jednej odpowiedzi; zakłopotany nauczyciel mawiał wówczas:

— Straszne rzeczy! Czego się tylko nauczy, zaraz zapomina.

Nauka geografii, prowadziła się, naturalnie, na mapie; przytém nauczyciel nigdy nie omieszkiał dodać:

— Pamiętajże sobie raz na zawsze, że ziemia jest kulista, a co tutaj na mapie widzisz płaskie, to na ziemi jest wypukłe.

Chłopiec tego argumentu nie a nie nie rozumiał; nauczycielowi wcale się nie sprzeciwiał, ponieważ mu wszyscy mówili, że starszych trzeba słuchać. Częstokroć téż dowód kulistości ziemi uzmysłowiano Stasiowi za pomocą pomarańczy, wtedy uczeń wdychał do tego, aby się nudny wykład skończył jak najprędzej, ponieważ niebawem zjadał pomarańczę, obłupując ją ze skóry w kierunku południków.

— Jakże, rozumiałeś?—pytał nauczyciel.

— O, i jak!—odpowiadał uczeń.

— To powiedzże mi teraz ostatecznie, jakież kształt ma ziemia: kulisty czy płaski?

Staś się namyślał, co tu powiedzieć, i czasem zgadnął, a czasem—nie.

Raz, po wielu już a wielu powtarzaniach, że

ziemia jest kulista, Staś się ostatecznie wyrwał że jest płaska.

— No, to ja ci teraz powiem, że jesteś prawdziwy osiel!—zawołał zniecierpliwiony nauczyciel.

— A proszę pana, czy taki prawdziwy osiel uczy się czego?

— Nad osłem musi się nauczyciel męczyć tak samo, jak nad tobą, i niczego go nie nauczy — odparł z goryczą domowy pedagog.

To ten człowiek śmie mówić, że się nademną męczy...—myślał Staś.

III.

Nareszcie nadszedł czas, w którym dwóch starszych braci Stasia należało do szkół oddać; najstarszy bo już był w wyższych klasach gimnazjum. Wybrał się przeto ojciec do Warszawy na egzamin z dziećmi, a przy sposobności postanowił zasięgnąć rady jakich głośnych pedagogów, co tu począć z chłopcem, który i na świat przyszedł nieprawidłowo, i mamkę miał pijaczkę, z kołyską się na ziemię wywrócił, i z okna go niańka wyrzuciła, i innych przygód było bez liku. Jak tu takiego rozwinać? W sztuce wychowywania ludzi, podobnie jak w medycynie lub między prawnikami, są naprzód wielkie powagi, znające kodeks na pamięć; następnie ludzie, którzy cicho pracują i nikt ich nie zna; po za tymi zaś — mnóstwo pokątnych pisarzy. Zdaje się, że ojciec

Stasia wpadł na autorytety, to jest na ludzi, posiadających jakoby tajemnicę swego fachu. Z tych jeden doradzał:

— Trzeba zastosować system pogładowego nauczania; trzeba pokazywać rzeczy i koniec!

— A czy on tylko będzie mógł złożyć egzamin, jak starsi jego bracia? — mówił ojciec, wzdychając.

— Dla rozwiniętego chłopca niema żadnych trudności!

Inny znowu pedagog mówił:

— Nie należy chłopca zmuszać do nauki, niech biega, niech się bawi; bo brak umysłowego rozwoju ma swą przyczynę w organizmie, a kiedy przyczyna ustąpi, umysł sam przez się rozwinać się musi.

Rada trzeciego brzmiała:

— Niech syn pański ma kolegę, albo, jeśli można, kilku nawet kolegów, rówieśników; niech się uczy w ich towarzystwie, a w przerwach między lekcjami niech używa gimnastyki: stopniowo wzmacniać równomiernie ciało i duszę.

Nareszcie inny głośny pedagog nie chciał nic radzić, dopóki Stasia na własne oczy nie zobaczy. Ta sumiennosc tak się spodobała ojcu, że w kilka dni potem przywiózł syna do Warszawy. Pedagog obejrzał pacjenta chorego na brak rozwoju i tak rozstrzygnął sprawę:

— Dalibóg, jemu nic nie brakuje! Jak się go

weźmie w kadry porządnego rygoru, zaręczam, że będzie robił swoje.

I ta rada znowu się ojcu podobała najlepiej, przeto postanowił oddać Stasia bezzwłocznie w kadry rygoru. Takie kadry kosztowały około siedmiuset rubli rocznie; ale czegoż się nie robi, aby kupić rozwój dziecka. Ojciec Stasia był wprawdzie dziedzicem, lecz dziedzictwo jego podobno smutną ukazywało przyszłość.

Są takie systemata wychowania, które wszyscy wprawdzie nazywają wypróbowanymi, ponieważ je już stosowano w Sparcie, Rzymie i t. d., a jednak nikt i nigdy wartości ich nie doświadczył ani nie dowiódł. Tu właśnie należy takie urządzenie czasu oraz przestrzeni, ażeby młody człowiek nigdy nie myślał o czém inném, tylko o tém, czego sobie życzą jego pedagogowie. Na rzecz wychowania tego rodzaju zużywa się pewną ilość stosownie przygotowanych sił i środków; każdy zaś malec, który sobie przyswoił kilkanaście nałogów owego systemu, zostaje mniejszym lub większym ideałem pedagogów, czuwających nad przygotowaniem dobrych obywateli przyszłości. Jest to ciężka i duża robota!

Stasia ostrzyżono nisko, wykąpano i posadzono na ławce ze sprężyną, przedstawiwszy mu przedtém, jak ma opierać kolumnę pacierzową, a jak nogi i łokcie. Panowała tutaj taka powaga w tym przybytku wychowawczym, że chłopiec w pierwszych dniach nie śmiał ani się poruszyć, ani mó-

wieć, ani nawet myśleć. A później, choć śmiał i poruszać się, i mówić i myśleć, jednakże nie miał nigdy dosyć czasu, ażeby to porządnie wykonać. Ruch więc, mowa i myśl zanikały stopniowo, jak skrzydła u podbiegunowych pływających ptaków.

Lecz dużo przecież warte jest mądre usystematyzowanie podawania wiedzy. Staś próbował i tutaj z początku w rzeczach arytmetyki systemu własnego wynalazku, to jest zgadywania, co mu się wielokrotnie powiodło. Nauczyciel zadał był raz do rozwiązania na pamięć takie zadanie, w które wchodziło dwa działania; jeszcze się wszyscy uczniowie dobrze nie namyślili, a Stasiowi przyszło do głowy, że wypadek będzie tu 30. Zaledwie więc nauczyciel postawił obwarowane pytanie: „Ile będzie kosztowała kopa gruszek?“ Staś już powstał i zawołał — „trzydzieści!“

Tak zwany matematyk bacznie spojrział na ucznia, który mu się wydał być wielką młodą inteligencją i powiedział.

— Tak jest, trzydzieści groszy czyli piętnaście kopiejek albo jeden złoty!.. Bardzo dobrze! Jak się nazywasz?

I w dzienniku zanotował uczniowi piątkę.

Niedługo jakoś po tém odznaczeniu się, na lekcji języka polskiego nauczyciel rozbierał bajkę Jachowicza „Żółw i orzeł;“ musiał on się długo namozolić, ażeby uczniom wpoić przekonanie, że żółw wyobraża tutaj człowieka leniwego i ocięża-

łego a *orzel*—bystrego i genialnego. Ale kiedy po takim wykładzie zapytywał najlepszych uczniów, czyby który znał w życiu człowieka-żółwia i człowieka-orła, żaden malec nie umiał ust otworzyć. Wzruszali tylko ramionami na znak, że nie znają nietylko takich ludzi, ale poprostu—żółwia i orła. Tylko jednemu Stasiowi, z powodu ocieżalości przyszyła na myśl otyła kucharka z domu rodzicielskiego, przeto zawołał z ławki:

— Ja znam takiego żółwia!

— Powiedz!—rzekł nauczyciel.

— Kucharka jest u nas taka!

Nauczyciel zanotował sobie natychmiast w katalogu, że uczeń odznacza się zdolnością upatrywania analogii i stosowania teorii do praktyki; potem zaś spytał jeszcze Stasia:

— A może znasz i orła-człowieka?

— Takiego weale nie znam! — odrzekł uczeń.

Dzięki tym dwom odpowiedziom, na najbliższej sesji szkolnej ciało pedagogiczne podzieliło się na dwa stronnictwa; jedni utrzymywali, że Staś jest stanowczym osłem, drudzy dowodzili, iż posiada bystrość umysłową, ale mu brakuje uwagi.

Był też w szkole nauczyciel który wchodził do klasy jak maszyna, do żadnego ucznia nigdy się nie odezwał ani słowa, otwierał tylko dziennik i zaraz z kopyta zabierał się do przesłuchiwania zadanych lekcyj; jeżeli kto lekcją umiał, nauczyciel zapisywał stopień dobry, jeśli nie umiał—zły. Zaraz po dzwonku wchodził i zaraz po dzwonku

wychodził. Nikogo nie chwalił, nikogo nie ganił, a uczniowie nazywali go sprawiedliwym. Stasiowi podobał on się tak bardzo, iż chłopiec pragnął w jakibądź sposób okazać mu swoją sympatya; jednego więc razu zaszedł Staś drogę temu nauczycielowi i rzekł:

— Mam panu profesorowi coś powiedzieć, tak żeby nikt nie słyszał.

— Mów prędko!—rzekł oschle pedagog—bo mi się spieszy.

— Oto, ja pana profesora bardzo lubię...—mówił chłopiec.

— Głupiś jest, ośle!...—powiedział nauczyciel i poszedł.

Wymaganém jest, ażeby uczeń jak najwięcej przemyślał o tém, czego się w szkole uczy. Ale Staś nigdy nie myślał o takich rzeczach. Ponieważ jednak człowiek koniecznie o czémś myśleć *musi*, przeto zachodzi pytanie, o czém mógł myśleć nasz bohater. Tę tajemnicę raz, o ile wiemy, on zdradził. Mianowicie téż, kiedy nauczyciel wykladał, co to są obłoki, Staś mu się bardzo pilnie przyglądał, a zapytany, o czém była mowa, nie mógł dać żadnej odpowiedzi.

— Przecież tłumaczyłem wyraźnie! — zawołał pedagog.—I o czémże ty myślisz, ośle — he?

— Nie mogę powiedzieć tego!—rzekł Staś nainwnie.

— Siadaj, głuptasie, ty wcale nie myślisz! —

mówił nauczyciel i uśmiechnął się z odpowiedzi chłopca.

Po lekyi atoli koledzy zaciekawieni nadzwyczajnie na Stasia nalegali, aby im powiedział, o czém téż myślał.

— Myślałem o tém—rzekł Staś—czy temu nauczycielowi wprzód urosła broda, czy wąsy...

Po roku pobytu w kadrach rygoru postać Stasia wyprostowała się jak drut; teraz weale do brze nosił już głowę i ręce, a nogi stawiał jak się należy.

— Zrobiliśmy z pańskiego syna bardzo duzo—mówił do ojca Stasia pedagog, przełożony wychowawczego zakładu—ale rok czasu, to mało, ażeby sprowadzić zupełną reformę w dziecku. Jeszcze się nie nauczył uważać, nie wyćwiczył pamięci, myślenia; jednakże i ta zmiana wystąpi najniezawodniéj...

Przyjechał Staś do domu na wakacye, był bledszy, niż zwykle i bardziej jeszcze spoważniał. Namawiano go, ażeby jeździł konno, ale nie chciał; usiłowano skłonić do przechadzki — nadaremnie. Wśród sióstr i braci był zawsze jakby obcy. Mawiał że najlepiej lubi się bawić sam ze sobą.

Kiedy wszyscy jedli obiad z apetytem, on zwykle nie jadł weale, albo jadł mało. Za to rzucał się na niedojrzałe owoce, polykał listki róży, zbierał i jadł szczawie, surową marchew, kalarepę; bardzo chętnie chował do kieszeni potajem-

nie kawałki cukru, ciastko jakie. W ogóle wszelkie czynności lubił Staś wykonywać sam jeden w samotności. Pierwiastków uspołecznionego człowieka było w nim jaknajmniej.

Podczas drugiego roku pobytu w szkole już nawet najpobłażliwsi nauczyciele przedstawiali i dowodzili, że Staś jest chronicznym osłem.

Czy na chroniczne umysłowe niedołęztwo nie ma lekarstwa? Odpowiedź jest dotychczas tajemnicą natury.

Mimo to wszystko, Staś miał chwile dobrych chęci, co mu się jednak nie na wiele przydało. Sprostacć zdolniejszym kolegom było niepodobieństwem przecież, a jednak wstępował weń niekiedy duch bohaterski i tytan wyzwalał się z idyoty. On się nauczyć lekyi nie był w stanie, a jednak zrobił nieraz tyle, na ile tylko siły jego pozwalały. Wtedy dawały się słyszeć głosy:

— Ho, ho! Ma on zdolności, tylko mu chęci dodać trzeba.

A że od czasów stawiania piramid egipskich najlepszym sposobem dodawania chęci jest wywoływanie strachu przed mającą nastąpić karą, przeto sztuka wychowania skrzętnie zużytkowała ten środek. Ale kary mogą spowszednieć tak, że grzbiet osła nie odczuwa nareszcie chłosty, umiała więc pedagogika tak ustopniować i urozmaicić każdy gatunek kary, ażeby recypient zawsze doznawał świeżego cierpienia. Staś przechodził zatem przez całe piekło wychowawczo usyste-

matyzowanych nagan i aresztów, a gdyby tylko w owych sposobach tkwiło jakieś maleńkie ziarnko wychowawczości, byłby niezawodnie został idealnie wychowanym człowiekiem.

Gdy w owym pamiętnym roku przybył do domu na wakacje, był nie tylko smutny, ale i bejzaliwy. W duszy chłopca tkwił jakiś niepojęty strach wobec wszystkiego, co przekraczało normę powszedniości. Dosyć było, ażeby ktoś podniósł wyżej głosu, a już się wzdrygał cały; obawiał się koni szybko pędzących, uchodził nawet przed indykiem i gąsiorem; wybuchy wesołego śmiechu siostr i braci koreciły go również i przykreść mu sprawiały.

Wynalazł on sobie i rozrywkę szczególnego rodzaju, której się oddawał z zamiłowaniem, jeżeli w ogóle miał ten chłopiec do czegoś zamiłowanie. Mianowicie też odszukał między książkami ojca stary jakiś podręcznik weterynaryi dla użytku gospodarzy wiejskich i książkę tę czytał sobie na głos, ale tak, że sam nic a nie rozumiał z tego, co czytał; nie zachowywał bowiem znaków przestankowych, nie doczytywał do końca różnych wyrazów, lub jedne wyrazy łączył z drugimi. Nie treść sprawiała mu tutaj zadowolenie, lecz ćwiczenie głosu, a może wywoływanie w umyśle pojedynczych wyobrażeń, nie pozostających w żadnym związku z sobą. Tak wczesnego raz w sposoby leczenia karbunkuła

u bydła zeszedł ojciec, zadziwił, się tém nadzwyczajnie i pochwalił syna.

Ale skończyły się wakacje i chłopca należało wyprawić do szkoły. Ojciec napisał list do przełożonego, wyrażając mu swą wdzięczność za dotychczasowy zbawienny kierunek w edukacyi syna, dołączył pod kopertę trzysta rubli i Staś w towarzystwie pana ekonoma wyruszył na dalsze nauki do Warszawy. Zaraz przy wyjeździe z domu zrobiło mu się przykro, że musi wracać do szkoły; przyglądał się koniom i myślał, że te zwierzęta są o wiele szczęśliwsze od niego, ponieważ nie pozostaną w Warszawie. Jednakże przykre uczucia nadzwyczajnie wzrosły wtedy dopiero, kiedy zdaleka ujrzał wyniosłe gmachy miasta; wyobraził sobie natychmiast, że w tém ogromném rojowisku ludzkim jest jedna bardzo ciasna klatka, w której go za chwilę zamkną. Zapachniały mu resztki swobody, której przecież nie umiał nawet użyć, i otrząsnął się, jakby miał wskoczyć do zimnej wody. Najwyraźniej coś go odpychało od miasta, słyszał jakiś cichutki podszep: „Stasiu, wyskocz z bryczki i uciekaj bez pamięci w pola!“ A jednak do siedzenia na bryczce coś go także przykuwało jednocześnie; zdawało mu się, że blady, chudy i gniewny przełożony już go tu nawet widzi, a z przełożonym—wszyscy nauczyciele... Wjechali w miasto, po którego ulicach snuło się mnóstwo ludzi, a każdy był jak ptak swobodny. Na skwerach bawiły się psy,

dzieci: „Szczęśliwe psy i dzieci!“ Tymczasem zakład wychowawczy ze wszystkimi środkami swymi zdał się olbrzymim krokiem zbliżyć do Stasia, a w miarę tego wzrastało niepojęte uczucie przykrości. „Ha, może się jeszcze co takiego stanie i nie dojedziemy do tego miejsca!“

Naraz woźnica skrzył konie i Staś spostrzegł w oddaleniu dom, w którym się mieściła szkoła, ten dom kadrów rygoru; zdawało mu się nawet, że szkolny sługa stoi przed bramą.

— O, teraz już po wszystkiém! o ddadzą mię niema żadnego ratunku!...

Uczucia strachu wychowują się tak dobrze, jak każde inne; obudzamy je, aby dodać chęci do nauki, lecz zapominamy, że one także naukowy wstręt budzą.

Ni stąd, ni zowąd Staś spadł na bruk z bryczki. Świadomie czy nieświadomie?...

Woźnica zatrzymał konie, tłum ludzi otoczył bryczkę.

Podniesiono Stasia z ziemi, był omdlały, a ze zranionój głowy krew mu płynęła. Przynajmniej eraz nie wiedział wcale, w jaki sposób dostał się do wychowawczego przybytku.

Sprowadzono natychmiast lekarza, a ojca zawiadomiono o wypadku; zrobiono wszystko, co tylko zrobić mogą ludzie dbali o dobro dziecka.

Przez cały czas przebiegu choroby lekarz z nadzwyczajną pilnością badał Stasia, a w końcu zalecił ojcu, że chłopca trzeba koniecznie zabrać

do domu, ponieważ stan jego zdrowotny w ogóle nie pozwala na dyscyplinę, jaka się zwykle praktykuje po zakładach wychowawczych.

Powrócił przeto nasz młody bohater na łono rodziny, gdzie przez całe sześć miesięcy nie a nie nie robił. Chłopiec, mający z górą dwanaście lat życia, bawił się dosyć nieodpowiednio swemu wiekowi. W téj epoce życia najbardziej jeszcze zajmowało go puszczenie baniek mydlanych ze słomki. Czasami téż szedł nad kałużę i całemi godzinami rzucał w nią kamienie, szczęśliwy, jeśli jaki płaski kamień odbił się kilkakrotnie od powierzchni wody. A nie, to usiłował dosięgnąć pociskiem stada kaczek pływających, których przestraszonych napelniał go szczęściem. Inną jego rozrywkę stanowiło puszczenie kamieni zpod ręki, czyli tak zwanych bąków.

Zwierzętom lubił w ogóle dokuczać, chociaż głównie tym, o których z góry wiedział, że się nie będą broniły. Do śpiącego psa podchodził cicho na palcach i, jeśli go zniemacka nie uderzył kijem, to mu do nosa przykładał rozżarzony węgiel lub huknął w ucho tak głośno, że przerażone zwierzę z całych sił uciekało. Śpiącym kotom puszczał znowu w nos finfy, to jest dym z rurek papierowych, w których się tliła wata. Zaczajony gdzie w kącie lub w krzaku, wyskakiwał nagle, aby przestraszyć dziecko, albo jaką starą kobietę; jeżeli mu się powiodło, pękał od śmiechu.

Po takim półrocznym wałęsaniu się około domu, Staś nieco zmężniał i ojciec pomyślał, że jednak trzeba, ażeby się chłopiec uczył. Ponieważ inni bracia byli już w szkołach, przeto specjalnie do Stasia przyjęto guwernera, człowieka, który zawsze o jednej tylko rzeczy mówił, a mianowicie dowodził, że za pomocą łaciny można każdego młodzieńca cudownie rozwinać. Rodzice Stasia zrazu niebardzo temu dowierzali, ale nauczyciel tak dzielnie bronił swych zasad, a przytém powoływał się na rozmaite fakta tak dotykające, że się w końcu zgodzono, ażeby łacina została osią edukacyi, mającej uzaćniać umysł chłopca. I istotnie, ten Staś osieł, którego już do rozmaitych nauk systematycznie zniechęcono, znalazł dla siebie dużo powabu w języku łacińskim. Chłopcu sprawiało dziwną jakąś przyjemność klepanie na pamięć i wyliczanie mnóstwa wyrazów; przyjemność tę zwiększała dla niego jeszcze okoliczność, że ani ojciec, ani matka, ani służący nie rozumieli po łacinie. Nieraz zachodził drogę lokajowi i mówił:

— A czy Franciszek wie, jak się po łacinie nazywa żaba?

— Skądżebym wiedział?... Żeby mię tyle uczyli, co panicza, tobym do tego czasu już był aptekarzem!

— A to ja téż będę aptekarzem! Ale Franciszek niech zgadnie, jak po łacinie żaba?

Dopiero rozwijał swoją erudycyą, mówił, jak

się po łacinie nazywa trawa, drzewo, pies, kot, chleb. W ten sposób tryumfował niekiedy nawet wobec matki. Guwerner cieszył się z postępów Stasia, mówił, że chłopiec jest bardzo zdolnym uczniem, że się nadzwyczajnie szybko rozwija, że z takim łatwo dojść do wielkich rezultatów.

Rodzice tém bardziej utwierdzili się w przekonaniu o postępie Stasia na punkcie łaciny, kiedy najstarszy syn ich przybył właśnie na wakacje i orzekł, iż Staś wprawdzie nie a nic nie umie, ale się nauczył dużo łacińskich wyrazów i zdań. Ten najstarszy syn ukończył właśnie szczęśliwie gimnazjum.

— Dobrze i to, że się choć po łacinie trochę nauczył; ale na cóż mu się to w życiu przyda? — mówił ojciec o Stasiu. — Księdzem możeby od biedy i został; ale lekarzem go przecież z jedną łaciną nie zrobisz, a tu zawód jakiś koniecznie w ręku mieć trzeba w dzisiejszych czasach.

— Ja niczém nie będę, tylko aptekarzem! — zawołał Staś.

— I aptekarzem nawet być dzisiaj lepiej, niż gospodarzem! — mówił ojciec, wzdychając. — Ale czy się to ty kiedy wyrobisz?

Półtora roku trwało takie domowe łacińskie wychowanie i ojciec znowu postanowił oddać Stasia do szkoły w Warszawie. Dzięki wielkiemu znaczeniu, jaki ma starożytny język między uczonymi, i na usilne ojcowskie prośby, prywatna fi-

lologiczna szkoła przyjęła Stasia „na próbę” do trzeciej klasy. Jakkolwiek wybornie znał wszystkie wyjątki, trzepał konjugacye, jak wiatr, jednakże z łaciny miał postęp mierny, to jest *dwójkę*, ponieważ nie umiał pisać wypracowań; zresztą postępy jego we wszystkich innych naukowych przedmiotach były jak najmniejsze, to jest palki. Dwa lata przebył w owój szkole tytułem *próby* i czas ten zupełnie wystarczył, ażeby Staś stracił nawet do łaciny zamiłowanie. Już go nie teraz nie zajmowało, a pozostała tylko na dnie duszy nadzieja, że zostanie aptekarzem. Postanowienia tego, które powziął przypadkiem po rozmowie ze służącym, nie zrzekał się odtąd, jak gdyby z pewnością wiedział, co to znaczy być aptekarzem.

IV.

Szesnaście lat miał Staś, kiedy ukończył edukacyą. Był bardzo szczupły, głowę miał wydłużoną, w mowie zawsze się zająkiwał, brakowało mu na twarzy rumieńca, a w oczach przebijała lęklivość i niepewność siebie: spuszczał je ku ziemi, mrugał powiekami i nigdy na jednym miejscu długo nie zatrzymywał wzroku. Ponieważ nieustannie wyjawiał chęć swojej zostania aptekarzem, przeto ojciec mówił:

— Może i ma powołanie do tego zawodu; nie trzeba mu tamować woli, żeby potem na mnie nie narzekał. Niech będzie aptekarzem!

Z tém aptekarstwem znowu było trochę kłopotu, ponieważ od przysłego praktykanta farmacyi wymagano świadectwa z ukończonych czterech klas gimnazyalnych i właściciel apteki bardzo się upierał przy tém wymaganiu. Już tego sposobu nie znamy, w jaki udało się obejść przepis, opiewający o świadectwie z ukończonych czterech klas; wiemy tylko, że Staś pozostał w aptece jako uczeń, od którego ojciec opłacał utrzymanie.

Chłopcu podobały się tutaj zajęcia i sumiennie odrabiał wszystko, co mu polecono. Z różnych napisów na słojach oraz szufladkach przypominał sobie łacinę, a zapach, jaki zwykle panuje w aptekach sprawiał mu przyjemność. Jeden atoli napis stanowił dla niego zagadkę; był to wyraz *heroica*, umieszczony w górze na szafce, mającej drzwiczki zwierciadlane.

— *Heros herois* — powtarzał sobie Staś w myśli — wiem, że to znaczy bohater; ale co znaczy wyraz *heroica* w aptece? Muszą w téj szafce być chyba jakieś rzeczy dla bohatera.

Ciekawość chłopca tém bardziej wzrastała, że *heroica* na klucz zamykano; ale swoją drogą klucz też nieraz w zamku zostawał.

Kiedy starszyzna aptekarska szła do pobocznego pokoju na obiad, Stasia zostawiano w aptece na pikiecie, aby w razie potrzeby wzywał kogo

należy. W takich to chwilach chłopiec dostawał się do słodowych pastylek, cukru lodowatego i innych rzeczy, które poza własnościami leczniczymi sprawiają jeszcze smakowe zadowolenie.

Ale jednego dnia, w takiej właśnie porze, spostrzegł, że w drzewczkach od *heroica* pozostał kluczyk. Błysnęły mu oczy, wspiął się po stołku, otworzył zwierciadlane drzwi i przekonał się, iż w szafie jest pełno mniejszych oraz większych słoików, flaszek, pudełek, jak w całej zresztą aptece.

— Widać, że oni to zamykają oddzielnie dlatego, aby się kto nie złakomił...

Tak pomyślał i otworzył jeden słoik, w którym było pełno małych, białych, piramidalnych kryształków; rzucił okiem na etykietę, przyklepioną do słoika i przeczytał: „*Strychni-na*,” ale nie rozumiał znaczenia, bo nie było ani *radix*, ani *herba*.

— Ładnie się nazywa — pomyślał — a wygląda prześlicznie.

I wysypał na dłoń nieco tych kryształków...

Ale nagle posłyszał, że ktoś nadchodzi; postawił więc czémprędzej słoik na właściwem miejscu, szafę zamknął i zeskoczył ze stołka, trzymając ciągle w ręku kryształki strychniny. Włożył je do ust i poczuł straszną gorycz; chciał wypluć, ale oto wszedł pryncypał apteki. W pośpiechu, Staś nieco łyknął, lecz igły nie chciały

mu przejść przez gardło; zakrztusił się, odszedł na bok i część wypluł.

Gdy starsi subjekei wrócili z obiadu do apteki, Staś miał z kolei prawo iść na obiad. Wyszedł, ale czuł, że mu jakoś niedobrze, bał się czegoś. Zaledwie usiadł do stołu, a głowa w tył mu się wyprostowała, grzbiet zgiął się w kabłąk, nogi stężyły—upadł na ziemię. Służąca narobiła krzyku, przybył sam pryneypał, popatrzył chwilę, potem mruknął:

— Otruł się!...

I z temi słowy pobiegł do apteki, przyniósł jakiś wymiotny środek, który zadał Stasiowi.

Tymczasem jednocześnie posłano po lekarza.

Właściciel apteki zajrzał do szafki, gdzie były heroica i, przekonał się naocznie, iż Staś miał do czynienia ze strychniną.

Przybył niebawem lekarz i heroiczną truciznę udało się jednak heroicznie pokonać; wieczorem Staś czuł tylko wielkie znużenie mięśni. Ale w aptecce już go dłużej trzymać nie chciano — jak mówił pryneypał — „za żadne pieniądze.”

Staś jest osobą dziś jeszcze żyjącą — ma lat trzydzieści.

Z apteki powrócił do rodzinnego gniazda i tam dotąd przebywa. Rodzice jego obecnie nie żyją. Pozostaje on na łasce sióstr i braci, względem których uważa się za człowieka zupełnie obcego.

Jest zawsze umyślowo tępy, a oprócz tego—gbur ordynarny.

Siostry powychodziły za mąż, bracia się pożeni-
li; wszyscy dostali jakieś posagi, a Staś pozostał
na granie bez żadnego wiana. Nikt się nie tro-
szczy o jego zdrowie, popychają go czasem do
dozoru w gunie, w polu; ale niewiele stąd po-
żytku, bo ludzie się z niego naigrawają i z po-
wodu kształtu głowy dają mu nazwę *czubka*.
Czasem popada we wściekłość i wtedy klnie, wy-
myśla; jednakże nikt sobie z tego nic nie robi.
Gdyby się nawet morderstwa dopuścił, uniewin-
niłyby go sądy, bo ma stałą opinią idyoty.



Furo 7824.



SPIS NOWEL.

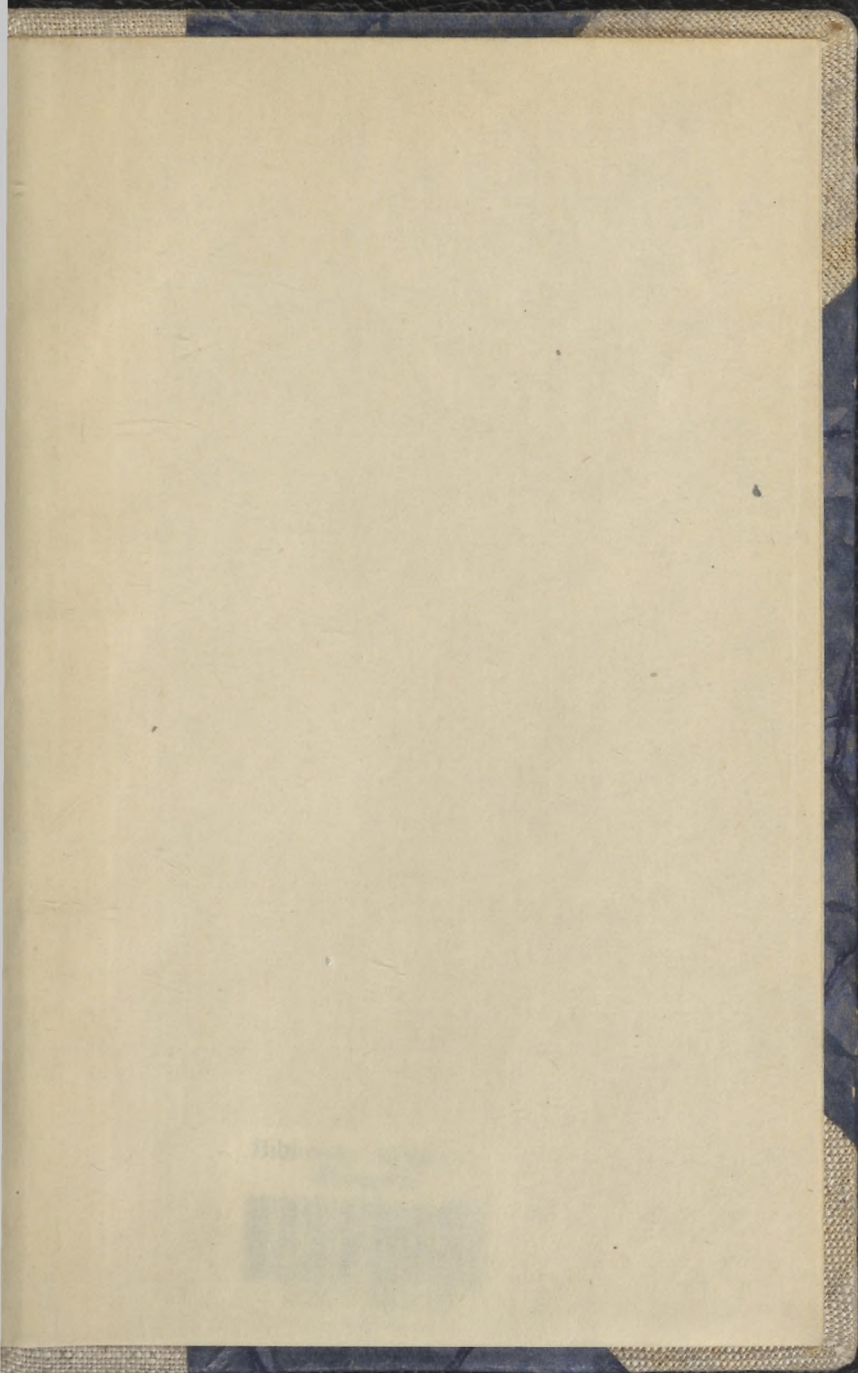
| | <i>Str.</i> |
|----------------------------------|-------------|
| Na trzeciém piętrze | 3 |
| Z niedoli kobiety | 23 |
| Śmiertelne koszule | 33 |
| W wielkiej własności | 65 |
| Niezdara | 101 |
| Jeszcze jeden niezdara | 199 |

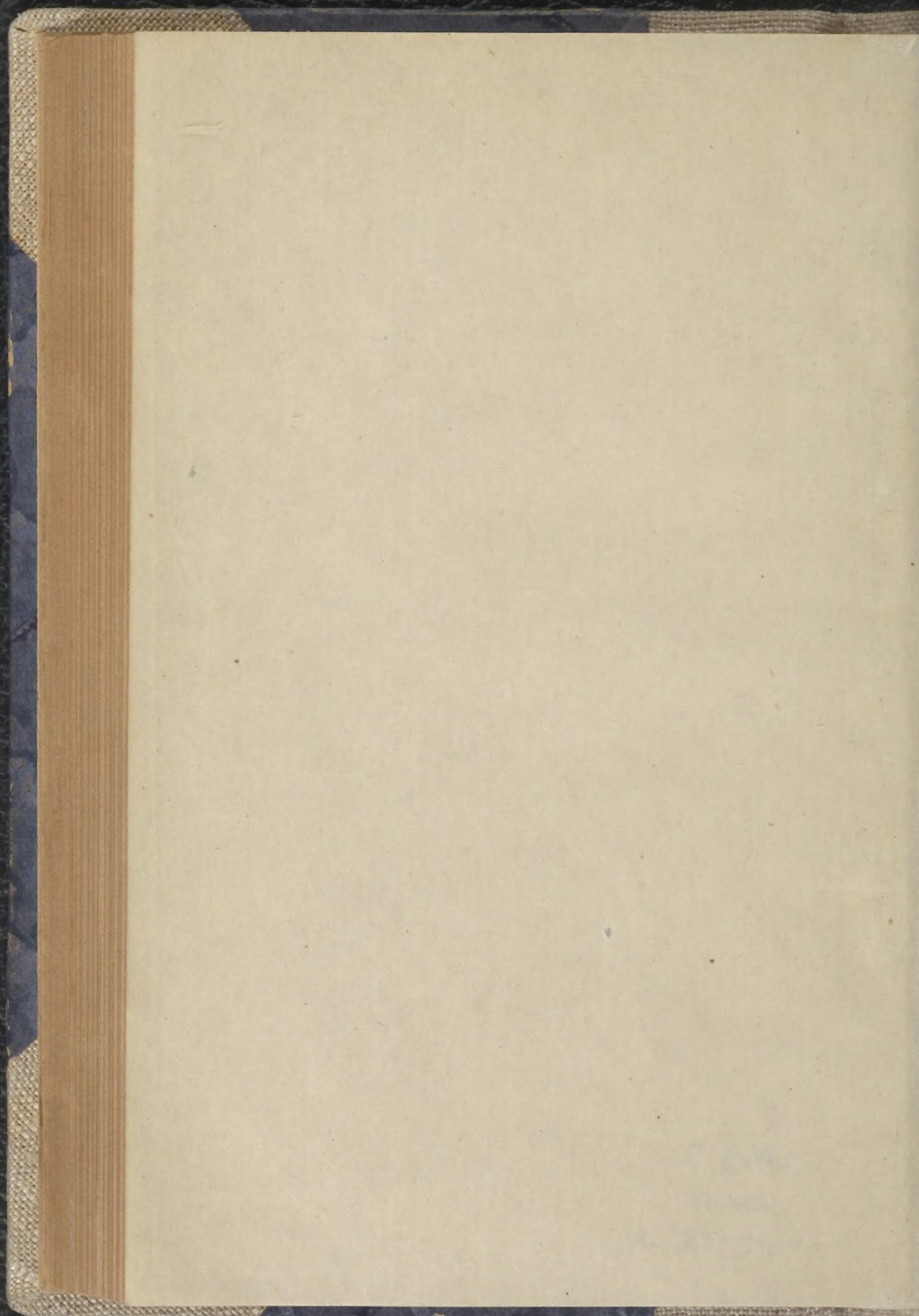


C.B.H.

H-wa

v. I. 23-iii-72v.





Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001018621035



292846

t.2